



Howard Shaw

Trattoria na ulicy Skrybów

Tytuł oryginału angielskiego
THE CRIME OF GIOVANNI VENTURI
Tłumaczył Tadeusz Evert

CZYTELNIK 1963

Część pierwsza

Cóż jeśli nie przekorny los uczynił przestępcę z Giovanniego Venturi? Próżne pytanie – zaoponowałby rzeźnik – bo któż może być pewnym, że ten sam Bóg, który stworzył Przyczynę, stworzył też i Skutek. A pewna gospodyni z ulicy Skrybów zauważyła później, że żaden człowiek nie jest w stanie przejrzeć drugiego. Z pewnością jednak ani fałszywa ambicja, ani jakaś zła cecha charakteru nie zdołałyby sprowadzić na manowce tego flegmatycznego, metodycznego i nieskończenie skromnego restauratora. Zieleniarz, który miał sklep w górze ulicy, słusznie powiedział, że to księgarz był owym szatanem-kusicielem. Wszyscy zaś zgodnie przyznali, że Giovanni zawsze łatwo ulegał impulsom.

Racja: czy to bowiem nie impuls przywiódł go do Rzymu w 1928 roku? Albo czy już w Rzymie nie popchnął go do buntu, który rozpoczął się na Zatybrzu, tej dzielnicy, gdzie można jeszcze spotkać najbardziej cynicznych i prowincjonalnych mieszkańców Rzymu, najbardziej wyzywające, piersiste i urodziwe dziewczęta z całego Lacjum? Cóż, jeśli nie impuls pchnął tego młodego wieśniaka – wyposażonego jedynie w końskie zdrowie, powściągliwe błogosławieństwo ojca, skąpy zasób lirów, świadomy celu upór i w łeb napchany przepisami z rodzinnej Toskanii na smakowite spaghetti, karczochy i wołowinę – do owej dzielnicy krętych uliczek, antycznych przypór, winiarenek, biedy, rozgwaru i wesela? I czemu to, kiedy z biegiem

lat sława trattorii Giovanniego sięgnęła aż tak daleko na południe jak Latina, a na północ jak Rieti, kiedy jakiś parlamentarny mówca z Palazzo Montecitorio lub bywały kupiec z Sycylii umyślnie przeprawiał się za rzekę, by spożyć *pastasciuttę* i kurę przy jednym z siedmiu stolików tej restauracyjki, kiedy Giovanni przytył i za pokazną kwotę wyłożoną gotówką nabył kawał ziemi obok swojej knajpki i mały apartamencik nad nią, kiedy w gruncie rzeczy stał się człowiekiem zamożnym i posesjonatem – czemuż nie wziął sobie za żonę milutkiej, czarnookiej, niewinnej córki najbogatszego handlarza oliwą na Zatybrzu? Byłby to korzystny związek i – jak mówili realiści – rozsądnie pojęty interes. Handlarz chętnie zacząłby pertraktować o tym już w 1939 roku, ale Giovanni Venturi zadziwił wszystkich dzieląc zamiast tego łożę z jakąś tam dziewczyną z Vicenzy. Była ładna i umiała urzekająco przyrządzać spaghetti *alle cozze*, toteż niektórzy mieszkańcy ulicy Skrybów doszli do wniosku, że ich sąsiad bardziej ceni sobie rozkosze podniebienia niż dobrą partię. Nie zdziwili się też, kiedy w roku 1947 oznajmiła ona Giovanniemu, że powinna już chyba wyjść za mąż i że pewien porucznik bersalierów poprosił ją o rękę; zdziwili się natomiast, kiedy Giovanni rozbił na głowach tej pary cztery krzesła i lichtarz. „Strzeż się impetyków” – pouczał syna złotnik z tej samej ulicy, a pobliscy kupcy zaczęli nawet mawiać: „Ten Giovanni jest impulsywny jak mątwą” – i kiwali głowami.

Za młodu Giovanni był nieopanowany: często wybuchał, a

wtedy jego pięści spadały na niejedną głowę. Zgadzano się, co prawda, że młodości należy dużo wybaczać, ale uważano, że długie lata ciężkiej pracy i z trudem zdobyta opinia solidnego człowieka nawet jego powinny były oduczyć nieprzemyślanych czynów. Lecz któż, jeśli nie on, w czterdziestych latach odważył się ukrywać księgarza w piwnicy swej trattorii, kiedy tajna policja zawzięcie wylapywała zagorzałych wrogów faszystowskiego reżymu? Wszyscy na ulicy Skrybów zgadzali się, że księgarz miał szczęście, skoro jeszcze chodzi po ziemi. No, a gdyby tak wtargnęły tu nazistowskie bojówki i znalazły poszukiwanego człowieka w piwnicy między beczułkami wina, co stałoby się wtedy z Giovannim Venturi?

Lata jednak zmieniają człowieka. W 1954 roku Giovanni obchodził pięćdziesiątą rocznicę narodzin, a w rok później – dwudziestą siódmą założenia „Trattorii Giovanniego Venturi”. W tym okresie jego życie nabrało już regularności i metodyczności; stało się nawet monotonicznie uregulowane; sąsiadki mawiały, że można nastawić zegarek według zwyczajów Giovanniego. Wstawał wcześnie, szedł kupować jarzyny, konferował ze swym rzeźnikiem, wypisywał menu na cały dzień, wydawał polecenia kucharzowi i wypijał z księgarzem aperitif, jedno Campari. Po południu ucinał sobie drzemkę, sprawdzał rachunki, wydawał polecenia kucharzowi, schodził do piwnicy, by przejrzeć wina, i przed zjawieniem się pierwszych gości wypijał jedno Negroni. Późnym wieczorem kiwał się sennie nad jakąś powieścią. A przechodzień, który o wpół do pierwszej w nocy mijał

„Trattorię Giovanniego Venturi”, mógł, spojrzawszy w górę ukradkiem, dojrzeć gasnące światło na piętrze w sypialni, gdzie restaurator sypiał teraz samotnie.

Co trzecią niedzielę Giovanni służył do mszy; dwa razy na rok przystępował do komunii; czasami się modlił. I zawsze w sierpniu, kiedy tradycyjne święto „Festa dei Noiantri” znaczyło koniec roku na Zatybrzu, na trzy tygodnie zamykał restaurację i wyjeżdżał do Pistoii, by posmakować sosów i słodczy rodzinnego miasta oraz odwiedzić groby rodziców. Takie wakacje krzepiły go i uspokajały; wiadano też ogólnie, że *vermicelli al sugo* podawane u niego było najlepsze przez pierwsze trzy tygodnie po jego powrocie z północy.

Tak rzecz wyglądała w lutym 1956. W głębi serca Giovanni był łagodnym człowiekiem. Życie obdzieliło go umiarkowaną dozą spokojnego szczęścia. Dawno już wyrzekł się osobistych ambicji. Nie pociągały go ani żadne nowostki, ani przygody. W doczesne dobra był dość dobrze zaopatrzony. Nie miały nim wielkie namiętności, nie doznawał kłujących żalów czy niepokoju.

W młodości był zapalczywy, ale teraz młodość już przeminęła. Może więc rzeczywiście tylko przekorny los uczynił z niego przestępcę?

Aby zrozumieć, na czym polega istota zagadnienia i sama zbrodnia, czytelnik powinien uświadomić sobie położenie niektórych budynków i sklepów po jednej stronie ulicy Skrybów. „Trattoria

Giovaniego” znajdowała się pod numerem 36, w środku bloku domów. Następne drzwi prowadziły do wąskiej księgarenki. Dalej, pod numerem 40/46, wznosiła się niezdarna i długa budowla, która pod wpływem długotrwałego działania żywiołów nabrała ponurego wyglądu. Była to prywatna rezydencja signory Luizy Pandolfi. Owa dama, która zapewne przyszła na świat za czasów Garibaldiego (albo może nawet – jak twierdzili niektórzy – za Juliusza Cezara), nieraz już zostawała wdową, a kilka lat temu zdobyła sobie przelotną sławę ekscentryczki: była bowiem pierwszą Włoszką, która pływała na okręcie podwodnym, wynalazła sensacyjny, choć nie działający silnik odrzutowy i ogłosiła dźwiękiem długi, bohaterski poemat wykpiwający abstynentów. W ostatnich latach jednak odsunęła się od ludzi i rzadko kiedy wypuszczała się na ulicę.

Obok jej domu, pod numerami 48 i 50, były sklepy złotnika i zieleniarza. Wreszcie na końcu, na rogu, w przysadzistym betonowym budynku mieściła się apteka signora Andrei.

Od muru między „Trattorią Giovaniego” a księgarnią do muru oddzielającego aptekę od sklepu zieleniarza było 37,6 m.

16 lutego 1956 roku zmarł właściciel apteki. Giovanni Venturi dowiedział się o tym dopiero po południu, kiedy z grubym ołówkiem w ręku ślęczał, jak zwykle, nad rachunkami. Znamiennym dla jego wrodzonej dobroci jest fakt, że to on samorzutnie zorganizował wśród kupców i mieszkańców ulicy Skrybów zbiórkę na żałobny wieniec. A rano, w dzień pogrzebu, z gołą głową szedł za karawa-

nem, mimo mżącego deszczu, który do szpiku kości przejmował chłodem. Przez pamięć dla zmarłego zamknął nawet swoją trattorię na ten dzień i następny.

W pierwszy marcowy poniedziałek 1956 roku, wracając późnym rankiem z codziennych zakupów, Giovanni ujrzał gęste rusztowania przed apteką signora Andrei. Pomyślał więc sobie, że najwidoczniej dom już został sprzedany. Bardzo szczęśliwie dla wdowy!

Na witrynie dawnej apteki widniał duży plakat. Giovanni, wiedziony ciekawością, jaki to sklep powstaje po tej stronie ulicy, przeszedł plac i zatrzymał się przed plakatem. Obwieszczał on co następuje: „URITI ma zaszczyt zawiadomić, że niebawem otworzy tu największą i najlepszą restaurację na Zatybrzu”.

Przestępując z nogi na nogę, krępy restaurator z namysłem raz po raz odczytywał plakat. Próbował zdać sobie sprawę z jego znaczenia. Kiepska wiadomość. Bez wątpienia kiepska. Przyjrzał się robotnikom uwijającym się na prowizorycznym rusztowaniu nad fasadą apteki: śmiejąc się i żartując, z zaczepnym wyglądem dobrze opłacanych ludzi zdejmowali stary szyld. „Zły omen” – pomyślał Giovanni i odwróciwszy się ruszył po bruku ulicy. Minął sklepiki zieleniarza i złotnika, minął wspaniałą rezydencję signory Pandolfi i księgarenkę, usiadł przy jednym ze stolików własnej trattorii i zwiejsiwszy głowę na piersi popadł w tak głęboką zadumę, że w godzinę później nie zauważył nawet nadejścia kucharza.

Przed obiadem, pociągając jak zwykle Campari, Giovanni i

księgarz starannie unikali rozmowy o nowym wydarzeniu. Giovanni tegoż jeszcze popołudnia spędził parę godzin na telefonicznych rozmowach ze swoimi przyjaciółmi w Rzymie. Chciał się dowiedzieć, co to jest to URITI.

„To skrót od *Unico Ristorante Italiano ed Internazionale* – powiedział mu jeden z tych przyjaciół. – Przedsiębiorstwo powstało w Turynie zaraz po wojnie. Finansują je przemysłowcy z Mediolanu. Na amerykańską modłę zakupuje żywność całymi wagonami, a potrawy przygotowuje masowo. To potężny koncern”.

Inni zaś poinformowali go, że przedsiębiorstwo URITI ma teraz ze dwadzieścia restauracji w samym Mediolanie, że czterdzieści jego filii robi doskonale interesy w Wenecji, siedem otworzyło swe podwoje we Florencji, dziewięć wkroczyło do Bolonii ku rozpaczce tamtejszych restauratorów, a cztery doskonale prosperujące filie tej wielkiej firmy działają w Livorno. Krótko mówiąc wtargnięcie na ulicę Skrybów zapowiadało atak URITI na Rzym.

Jeszcze gorszych wiadomości udzielił Giovanniemu jego stary przyjaciel, właściciel pizzerii w pobliżu Piazza del Popolo, po drugiej stronie rzeki. – Łobuzy – mówił – przechwalają się, że ani jedna restauracja w odległości sześciu kwartałów od nich nawet przez miesiąc nie wytrzyma konkurencji. I – dorzucił z głęboką nienawiścią – mają rację. Powiedz mi, Giovanni, kto może dać *minestrone* za dwadzieścia pięć lirów i wyjść .na swoje? Szkoda marzyć. Albo szynkę z melonem za siedemdziesiąt lirów? Lub słonkę z groszkiem i pieczar-

kami za sto?

„Nikt – pomyślał Giovanni. – To niemożliwe. Na całym rynku nie dostanie się słonki poniżej trzystu lirów”.

– Tak, tak – bełkotał głos w słuchawce. – Ale to nie są uczciwi ludzie. Nie dbają o żołądki klientów.– Gotują i pieką hurtem. Hańba!

„Zbrodnia” – pomyślał Giovanni.

– Mówię ci, hańba. Ale jeszcze gorsze jest ich lekceważenie zawodowej etyki. Włóżą ci pod bok i przez kilka miesięcy – oczywiście z olbrzymią stratą – karmią ludzi za grosze. Jasne, że po tym czasie i przy tej niełojalnej konkurencji każda przyzwoita restauracja czy knajpa w promieniu pół kilometra musi zbankrutować. A wtedy już podnoszą ceny, jak chcą. – Rzucił kilka nieparlamentarnych słów, życzył Giovanniemu przyjemnego popołudnia i odwiesił słuchawkę.

Przez cały marzec, nawet w deszczowe dni, Giovanni chadzał na skwer przy końcu ulicy i przyglądał się postępowi robót przy nowej restauracji. Na jakiś czas jego początkowa trwoga zamieniła się w zwykły niepokój, bo po pierwsze, „Trattoria Giovanniego” miała wyrobioną markę i przynosiła zysk, a po drugie, zawyrokował po namyśle, ten przyszły konkurent będzie mógł przekształcić dawną aptekę jedynie w małą restauracyjkę, albowiem potężne sklepienia podziemnych składów blokowały cały tył budynku.

W kwietniu zląkł się jednak nie na żarty, kiedy zobaczył, że robotnicy dynamitem rozsadzają sklepienia. Udając zwykłego gapia

podszedł bliżej i wdał się w rozmowę z jednym z nich. Za papierosa uzyskał informację, o jaką mu chodziło.

– Kuchnia? – powiedział robotnik. – Kuchnię zrobi się w piwnicy. Potrawy będą przesyłane windą. W ten sposób URITI zyska więcej miejsca w środku. Stanie tam ponad czterdzieści stolików. Fajny pomysł, co?

Nazajutrz Giovanni wezwał malarza. Wieczorem po raz pierwszy od wielu lat okna jego trattorii i fasada lśniły czystością. Nad drzwiami zaś własnoręcznie zawiesił świeżutki napis: *Qui Si Mangia Bene e Si Beve Meglio* (Tu się jada dobrze, a pije jeszcze lepiej).

W cztery dni później wzburzyło go odkrycie, że zarząd URITI na rusztowaniach swojej przyszłej restauracji umieścił znacznie większy i bardziej pomysłowy napis: *Qui Si Mangera Meglio e Si Bera Meglio che Da Giovanni* (Tu będzie się jadło i piło lepiej niż u Giovanniego).

Przez parę następnych dni Giovanni nie opuszczał swojej trattorii głowiąc się nad trafną odpowiedzią na tę obelgę. W końcu jednak poszedł poradzić się księgarza, który był człowiekiem wykształconym i realistą.

Księgarz siedział w łóżku – całą zimę dręczyły go gruźlica płuc i reumatyzm – i słuchał uważnie. Martwił się przy tym szczerze; nie tylko bowiem był ogromnie przywiązany do swojego przyjaciela, ale pamiętał także, że to on uratował mu życie z wielkim dla siebie ryzykiem

Skupił się więc, aby jak najlepiej przeanalizować powstałe zagadnienie, ale mimo całej erudycji, doświadczenia i bystrości umysłu zdobył się tylko na taką radę:

– Nie przejmuj się. Twoja kuchnia zawsze była bezkonkurencyjna. Uczyniłeś z niej arcydzieło. Twoi klienci to wiedzą. Na pewno ciebie nie opuszczą.

Ale i on był przygnębiony. Może rada była i dobra, lecz jego przyjaciel miał zbyt impulsywny charakter, by jej usłuchać.

Nie przestawał więc umieszczać wyzywających napisów nad swoją trattorią, a zarząd URITI regularnie i irytująco nie przestawał ich parodiować. Wreszcie, na początku maja tegoż roku, Giovanni zawiesił ostatni ze swoich napisów: *Qui Sono, Qui Rimango* (Tu jestem i tu zostanę) i zaniechał wędrówek na skwer, by przyglądać się robotnikom budującym twierdzę wroga.

Jednakże złowieszcze wiadomości wciąż doń docierały. Trzej restauratorzy z sąsiedztwa – jego koledzy, których znał i poważał od piętnastu lat – zamknęli swoje przedsiębiorstwa i przeprowadzili się gdzie indziej, mimo że nowa restauracja jeszcze nie otworzyła swoich podwoi. A któregoś dnia odwiedził go stary znajomy z Toskanii i napędził mu porządnego stracha: ten ongiś jowialny, zamożny tłusćcioch, właściciel porządnej, trattorii we Florencji, wyglądał teraz jak obraz nędzy i rozpacz.

– Oni mnie zrujnowali – powiedział grubym, ochryplym głosem i wskazał ręką w kierunku ulicy. – W dwa miesiące po otwarze-

niu przez nich filii we Florencji byłem już wykończony, tylko że zabrakło mi rozumu, aby dojrzeć tę wypisaną na ścianie wróżbę. Wierzaj mi, Giovanni, nie możesz się mierzyć z URITŁ. Zaufaj starymu przyjacielowi i zmykaj stąd, póki czas.

A potem zarząd URITI beczelnie przysłał Giovanniemu zaproszenie na otwarcie nowej restauracji w dniu 1 czerwca. Bezgraniczna udręka malowała się na puciołowatym obliczu restauratora, kiedy pokazywał księgarzowi ową oznakę zuchwalstwa.

– *Sono bestie* – mówił patrząc spode łba. – Nie zasługują na miano ludzi. *Animali!* Ale nie dość na tym: zbóje przysłali mi także swój jadłospis – i cisnął go na stół.

Księgarz uważnie przestudiował jadłospis i zadrżał: nie tylko wybór dań był duży, o wiele większy, niż mogłaby dostarczyć mała kuchnia Giovanniego, ale i ceny były śmiesznie niskie.

– To oszustwo! – Giovanni krzepką pięścią walnął w stół. – Same tylko produkty, oliwa, wino, mięso, nawet gdyby je mieli z własnego gospodarstwa, kosztowałyby drożej!

I jeśli dotychczas sypiał niespokojnie, to teraz, kiedy się dowiedział, że URITI ustawiło kilka rzędów stolików na placu przed swoją restauracją, sypiał jeszcze gorzej.

– Mają czterdzieści stolików wewnątrz i jeszcze pięćdziesiąt na zewnątrz – ponuro poinformował księgarza.

Zupełnie zaś przestał sypiać, kiedy po łagodnych czerwcowych wieczorach nastąpiły jeszcze łagodniejsze lipcowe. W konkurencyjnej

restauracji co wieczór było pełno i gdy nawet jego stali bywalcy zaczęli go opuszczać, plac w górze ulicy rozbrzmiewał dźwiękiem szklanek i śmiechem licznych klientów siedzących pod rozgwieżdżonym niebem.

W ciągu pięciu poprzednich lat trattoria przynosiła Giovanniemu przeciętnie po 47 500 lirów czystego zysku tygodniowo. W ostatnim tygodniu czerwca 1956 roku zysk ten spadł do 17 200, a w trzy tygodnie później wyniósł zaledwie 2745 lirów. Następnego tygodnia Giovanni wymówił kucharzowi. Teraz już sam gotował, podawał, szorował podłogę i zmywał naczynia. Zniżył też ceny do poziomu tych, jakie brano w restauracji przy końcu ulicy. Daremnie. W trzy tygodnie później, po raz pierwszy od dwudziestu ośmiu lat, „Trattoria Giovanniego” przyniosła straty.

A mimo to nie zamknął jej. Był człowiekiem upartym. Któregoś wieczora zwierzył się księgarzowi:

– W dawnych, dobrych czasach podawałem około pięciuset dwudziestu pięciu posiłków co tydzień i zarabiałem mniej więcej po osiemdziesiąt lirów na każdym, choć miałem kucharza, kupowałem najlepsze produkty i najlepsze wino, jakie można było dostać, i nie żałowałem węgla pod kuchnię. Teraz podaję najwyżej dwieście posiłków tygodniowo, nie opłacam kucharza i oszczędzam gaz, a węgla używam tylko do mego *bistecca alla Fiorentina*. I skutek jest taki, że

na każdym daniu tracę przeciętnie dziewięćdziesiąt lirów – wzruszył ramionami. – Straty URITI oczywiście są nieporównanie większe: oni, jak mi mówiono, zatrudniają gromadę ludzi i chyba wiele tysięcy dań podają co tydzień z olbrzymią stratą. Ale dysponują milionami lirów, gdy ja mam tylko swoje oszczędności. Mimo wszystko wytrzymam jeszcze jakieś siedem miesięcy. – Uśmiechnął się kwaśno. – Wszystkie sąsiednie restauracyjki już zbankrutowały. Czy myślisz, że zwariowałem? Uważasz, że powinienem się poddać, zwinąć interes i wynieść się gdzieś indziej?

Księgarz próbował nadrabiać miną.

– Nie wyobrażam sobie ciebie pokonanego – posiedział z zapalem.

Giovanni rozpromienił się. Klepnął przyjaciela po ramieniu.

– Tu jestem i tu zostanę – oznajmił, czule spojrzawszy na księgarza. – Dobry przyjaciel to dar boży! – Ale ta poprawa humoru nie trwała długo i niebawem znów mówił:

– Nie wiem już, jak z nimi walczyć. Obciążłem wszystkie zbędne wydatki. Pracuję po osiemnaście godzin na dobę. I mimo to tracę. Nie wytrzymuję konkurencji i nie widzę, jak mógłbym ją wytrzymać. To mnie przygnębia! Dadzą mi w końcu radę, nawet gdyby to miało potrwać jeszcze dalszych siedem miesięcy, i dobrze o tym wiedzą. Muszą mnie złamać. Muszą mnie wykończyć jako konkurenta – potrząsnął głową. – Nie mam już na czym oszczędzać. Tu i tam dałoby się jeszcze coś urwać, ale jasne jest przecież, że po to, aby prowadzić

restaurację, muszę kupować żywność i gotować ją, a po to, żeby po-
dawać klientom wino, muszę je nabywać.

Zszedł do piwnicy po drugą butelkę Soave-Bertani z 1948 ro-
ku.

„Jakie to typowe dla niego. Jak to ładnie, że się tak przejmuję
moimi sprawami – myślał o księgarzu. – Chociaż, jeśli o to chodzi,
to czy człowiek w nieszczęściu nie ma prawa liczyć na pociechę ze
strony przyjaciół?”

„Ale księgarz jest. słabego zdrowia – mówił sobie – nie należy
obarczać go moimi zmartwieniami?”

Kiedy wynurzył się z piwnicy, księgarz był wyraźnie zamyślo-
ny i przez kilka chwil jeszcze w milczeniu pociągał wino i gryzł cy-
buszek fajki.

– To ciekawe, coś przed chwilą powiedział – rzekł wreszcie.

– Co jest ciekawe? – zapytał Giovanni błędząc myślą gdzie in-
dziej. Księgarz w zadumie ssał cybuszek.

– Powiedziałeś, że po to, by móc prowadzić restaurację, musisz
kupować żywność i gotować, aby sprzedawać wino, musisz je naby-
wać.

Giovanni przyglądał mu się flegmatycznie.

– Nadzwyczaj ciekawe – powiedział księgarz. – Niezwykle
ciekawe – powtórzył.

Ponad dwa tygodnie nie pokazywał się potem w trattorii. Przez

tydzień nie pokazał się nawet na ulicy, a żaluzje jego księgarni pozostawały opuszczone. Wreszcie rankiem 3 września 1956 roku stanął na progu restauracji Giovanniego, wieloznacząco kiwnął głową i odszedł. Wrócił późnym wieczorem. W rękę trzymał rulon białego brystolu.

Giovanni zapalił lampkę w salce jadalnej i postawił na stole litrowy dzbanek Frascati Bianco.

– Z pewnością chciałbyś się dowiedzieć, dlaczego tak długo byłem nieobecny – zaczął księgarz. – Tydzień spędziłem w górach. Wysokogórskie powietrze dobrze mi robi na płuca. A także dodaje jasności i wigoru memu umysłowi.

Giovanni przyglądał mu się posępnie.

– Przed wyjazdem z Rzymu – ciągnął księgarz – dwa razy zadałem sobie trud zjedzenia obiadu w restauracji URITI – uniósł rękę, jakby się sumitował, bo twarz Giovanniego napęczniała gniewem. – Przez chwilę nawet nie myśl, że była to zdrada czy odstępstwo. W czasie wojny, na przykład, nieraz trzeba pójść na rękę nieprzyjacielowi, żeby go pobić. Strateg też musi coś czasem poświęcić, chcąc ustalić rozlokowanie i liczebność wroga. Niezmiernie ważne jest poznanie jego najsłabszych miejsc. Pozwolę sobie powiedzieć, że jest to nawet podstawowa zasada prowadzenia wojny. Chciałbym, abys należycie ocenił moje motywy.

Giovanni był zmęczony całodzienną mozolną pracą. Nie rzekł więc ani słowa.

Księgarz promieniał:

– Od lat już bez ustanku, bez przerwy, czy to przy pakowaniu książek, czy przy remanencie, czy też w nocy leżąc w łóżku rozmyślałem, w jaki sposób – choć trochę – odwdziżyć się przyjacielowi, który w swojej wielkoduszności odważył się ukrywać mnie przed faszystowską inkwizycją – jego krótkowzroczne oczy błyszczały z zadowolenia. – To dla ciebie, Giovanni, dwa razy udałem się na obiad do restauracji URITI na Zatybrzu. To z myślą o tobie przysporzyłem obrotu nieprzyjacielowi, bo jakże inaczej zdołałbym wykryć, że jeżeli restauracja na placu zatrudnia trzech dyrektorów, dwóch kierowników, dziewiętnastu kelnerów, czterech kucharzy...

– C z t e r e h kucharzy? – zapytał oszołomiony Giovanni.

Księgarz uroczyście skinął głową.

– To wielkie i rozległe przedsiębiorstwo, na szczęście dla nas. Och – zachichotał – nie ukrywałem swego zachwytu i podziwu. Podałem się za kupca z Rimini i pod niebiosa wychwalałem ich mdłe jadlo. Durnie, byli tak tym uszczęśliwieni, że nakłonili mnie do obejrzenia każdego kącika ich restauracji. Za pomocą takiego to podstępku wykryłem, że się tak wyrażę, achillesową piętę skądinąd imponującej organizacji tych łajdaków. A więc: przy trzech dyrektorach i dwóch kierownikach, dziewiętnastu kelnerach, czterech kucharzach i trzech kuchcikach zatrudniają tylko jednego windziarza. Nie ma on ani pomocnika, ani nikogo, kto by go dozorował. Pracuje samotnie i z dala od innych.

– Czterech kucharzy – medytował Giovanni – pomyśleć tylko!
Księgarz zaś ciągnął dalej:

– Pojechałem potem w góry, aby się zastanowić nad tym, czego się dowiedziałem. Do Terminillo, znasz te okolice? Nie? Jaka szkoda! Kwiaty, potoczki, błękit nieba... Cudo! – Uśmiechnął się. – Na przyszłą jesień musisz tam pojechać i samemu przekonać się, jakie to urocze miejsce.

– Na przyszłą jesień – rzekł Giovanni – będę zupełnym bankrutem. Czy w Terminillo są pensjonaty dla nędzarzy?

Księgarz zachichotał. Odsunął na bok szklanki z winem i rozwinął na blacie stolika arkusz brystolu.

– Przyznaję, że nie jest to wypieszczony rysunek – rzekł – pierwsze praktyczne zastosowanie moich technicznych studiów uprawianych przez parę lat. Rozpatrzmy wspólnie ten projekt.

Znużony Giovanni wstał z trudem i przysiadł się bliżej do swego przyjaciela.

– A więc – zaczął księgarz wskazując na kilka zbiegających się linii w lewym rogu arkusza – ten punkt to podstawa północno-zachodniego muru twojej piwnicy w miejscu oddalonym o dwa metry od rogu. A ten tutaj – położył dłoń na drugim, końcu papieru, gdzie znów zbiegały się linie – to, powiedzmy, przedłużenie windy do potraw w restauracji URITI. Przestrzeń pomiędzy tymi punktami – wskazał na gmatwaninę liczb i ciągniętych linii – to podłużny przekrój terenu, oddziela mur twojej piwnicy od projektowanego, końco-

wego przedłużenia wspomnianej windy.

Giovanni obojętnie, nic nie rozumiejąc, patrzył na wykres.

Księgarz nie zdradzał zniecierpliwienia. Napchał i zapalił fajeczkę.

– Przypominasz sobie naszą ostatnią rozmowę? Kiedy powiedziałeś, że po to, aby przygotować i podawać jedzenie i wino, musisz jedzenie i wino kupować?

– Tak, pamiętam – odparł Giovanni. – Pamiętam także, że powiedziałaś: „to bardzo ciekawe”. Nie widzę jednak w tym nic ciekawego.

Księgarz marzycielsko przymknął oczy.

– Przypuśćmy, Giovanni... – dla większego efektu zrobił dramatyczną pauzę. – Przypuśćmy, że nie będziesz potrzebował ani kupować jedzenia, ani go przygotowywać? Przypuśćmy, że nie będziesz musiał kupować wina, aby je podawać? Co wtedy?

W zmęczonych oczach Giovanniego zabłyśły iskierki zaciekawienia.

Księgarz zaczął znowu:

– Kiedy parę dni temu jadłem w restauracji URITI, zwróciłem uwagę na bogactwo ich jadłospisu, na jego okazałe rozmiary. Jest tak długi, jak męskie ramię. *Sul serio*. Nie przesadzam. Twój zaś rzadko kiedy jest długości palca. Przypuśćmy, Giovanni – pochylił się nad stołem, żeby tchnąć zapał w obojętne oblicze przyjaciela – przypuśćmy, że bez żadnych kosztów dla siebie będziesz mógł po-

dawać każde danie z jadłospisu URITI i każde wino z ich karty win...

– Szukają dwudziestego kelnera? Proponujesz, abym poszedł pracować na tych szatanów? – sarkastycznie zapytał Giovanni.

Księgarz przecząco potrząsnął głową i radośnie pyknął z fajeczki.

– Przeciwnie – powiedział – proponuję, abyśmy pozwolili im pracować na ciebie.

Giovanni zmarszczył brwi.

– *Non ho capito* – rzekł. – Nie rozumiem.

Jego przyjaciel wstał i zaczął chodzić po małej jadalni.

– Czy zdajesz sobie sprawę – mówił, gestami podkreślając słowa – że ci intruzi w nieuczciwy sposób podkopują się pod ciebie? Że drwią sobie z ciebie? Że usiłują pozbawić cię pieniędzy, które w ciągu długich lat zarobiłeś uczciwie i w pocie czoła? Zrujnować cię, zniszczyć? – Ciężko opadł na krzesło i mówił dalej głosem, w którym brzmiała perswazja: – Lubisz może zrywać się codziennie o świcie i w pogodę czy niepogodę pędzić na rynek po zakupy? Sprawia ci przyjemność targowanie się z gburowatymi chłopami z Castelli o cenę beczułki wina? Znajdujesz rozkosz w krzątaniu się po kuchni pełnej pary, kiedy pot oblewa ci obolałe ciało, a goście przy tych tu stolikach krzykliwie dopominają się o szybszą obsługę?

– *Non ho capito*.

Głos księgarza nabrał lirycznych nut: – Rozważ inną możliwość: wypoczęty, po lekkiej drzemce, wyświeżony i wyelegantowa-

ny schodzisz wieczorem z sypialni, by powitać pierwszych gości. Nie śpieszysz się, jesteś uprzejmy i masz czas wypytywać o ich zdrowie i o życzenia. Oni również bez pośpiechu studiują twoją kartę długości męskiego ramienia. Bez pośpiechu zapisujesz obstalunek. W kilka minut stawiasz na stoliku pierwsze potrawy i odkorkowujesz wino. A kiedy uśmiechem dziękują ci za zręczną i szybką obsługę, kłaniasz się grzecznie i przechodzisz do innego stolika na chwilę uprzejmej rozmowy. I ani razu – zauważ – ani razu przez cały czas nie potrzebujesz wsadzać nosa w rozgrzane garnki. . . :

– *Non ho capito.*

– Kiedy ci idioci z URITI oprowadzali mnie po swojej kuchni, zastanowiły mnie trzy rzeczy – wyjaśnił księgarz i uniósł wskazujący palec. – Po pierwsze, jej wielkość; jest tak duża, że z powodzeniem mogłaby obsłużyć dwie restauracje.

Giovanni szeroko otworzył oczy.

– Po drugie, uderzająca, szaleńcza wprost ruchliwość czterech kucharzy. Jeden krząta się tylko przy olbrzymich kotłach z zupami i makaronem; drugi nie odrywa głowy znad kuchni, gdzie piecze i smaży najrozmaitsze, jakie tylko można sobie wyobrazić, mięsiwa; trzeci bez przerwy uwija się między drugą kuchnią z ośmioma wielkimi rondlami pełnymi jarzyn i stołem, na którym raz po raz przyrządza góry sałaty; czwarty jest tak zajęty doglądaniem pomywaczy, którzy zmywają i ustawiają tysiące talerzy i szklanek, że ledwie znajduje czas na szykowanie deserów, koszyków z owocami i sała-

tek. Wszyscy czterej są stale w ruchu. Gdy któryś kończy z jakimś mięsnym daniem czy jarzynami, biegnie do takiego stołu, który chyba nazywa się parowym podgrzewaczem, stojącego pośrodku kuchni, opróżnia zawartość garnka czy patelni do odpowiedniego przedziału w owym stole i pędem wraca, by przygotowywać dalsze potrawy. Tak wygląda masowa produkcja á la URITI.

Giovanni przeżegnał się, a księgarz uniósł trzeci palec.

– Jak łatwo przewidzieć, w takiej kuchni panuje niemałe zamieszanie. Na moich oczach, w przeciągu trzech minut, kucharze zderzyli się sześć razy. A wszyscy wrzeszczą jak opętani. Pewnie dlatego zarząd restauracji zrezygnował z tuby głosowej do przekazywania zamówień z sali jadalnej na górze. Przyczyniłaby się tylko do jeszcze większego hałasu – pochylił się w przód; jego oczy zwięzły się w szparki. – To szczęśliwa dla nas rysa w ich organizacji: zamówienia bowiem wypisywane są w sali jadalnej nad kuchnią i zsyłane na dół windą.

– *Ho capito* – rzekł Giovanni. – Zaczynam rozumieć.

– *Allora* – powiedział księgarz zacierając ręce. – A więc w tej to kuchni uważałem za stosowne bacniej przyjrzeć się pracy, jaką wykonuje młodzieniec przy windzie. Spostrzegłem, że umieszczono ją w głębokiej niszy w południowej ścianie domu i – właściwie – jest zupełnie ukryta przed wzrokiem kucharzy i pomywaczy. Zresztą, jeśli o tym mowa, odchodzi tam taka masowa produkcja, że nikt nawet nie ma czasu spojrzeć, co robi jego sąsiad. Na górze setki ludzi

czekają na zamówione potrawy, toteż znikają one z podgrzewacza niemal w takim samym tempie, jak przybywają. Kucharze nie mają minuty do stracenia. – Znów napchał fajkę. – A cóż robi ów młodzieniec przy windzie, kiedy zamówienie doń zjedzie?

– Bardzo bym chciał wiedzieć – rzekł Giovanni.

– Po pierwsze, chwyta tacę i stawia na niej talerze i półmiski. Potem bierze z podgrzewacza zupę, mięso, jarzyny, zgodnie z zamówieniem. To samo z sosem, sałatą i deserem, które stoją na innym stole. Następnie zwinnie kłusuje w kąty po wina i inne trunki i wybiera te, które figurują na kartce w jego ręku. Gdy się z tym już uporał, wraca do windy i posyła na górę całe zamówienie w minutę po jego otrzymaniu.

– *Ho capito* – znów rzekł Giovanni.

– Po dokładnym obejrzeniu tego wszystkiego wróciłem do swej księgarni – jak łatwo pojąć – mocno zadumany. Sen nie przyniósł ulgi memu skołatanemu mózgowi. Zapakowałem więc walizkę i na parę dni wyjechałem w góry. I dopiero tam, ukojony rześkim chłodnym powietrzem i spokojem lesistego krajobrazu, mogłem zastanowić się nad jedną z pierwszych zasad fizyki, której uczyłem się wiele lat temu. Krótko mówiąc, zasada ta, nazwana prawem Breachy'ego od nazwiska wielkiego litewskiego fizyka Włodzimierza Breachy'ego, głosi, że każda rzecz, która idzie w górę, może również iść w dół.

Giovanni wyjął z kieszeni toskańskie cygaro i w milczeniu

przez jakiś czas żuł jego koniuszek. Potem odchrząknął i zapytał:

– Do czego zmierzasz?

– Oczywiście, to nie jest uczciwe – mruknął księgarz. – Myślisz jednak, że zarząd URITI zasługuje na jakieś względy? Ci ludzie chcą cię zniszczyć, obojętnie jak, uczciwymi czy nieuczciwymi metodami. Zamierzają... – oburzenie odebrało mu głos.

Giovanni napełnił karafkę winem. Wytracony z równowagi mruczał coś bez związku. A kiedy księgarz urwał swoje wywody, powiedział cicho:

– Stałem się złym człowiekiem. Nawet nie pomyślałem o tym, czy to uczciwe, czy nie. Chcę tylko powiedzieć, że urzeczywistnienie twojego pomysłu będzie wymagać moc czasu. No i ciężkiej pracy.

– Tak. Z pewnością nie da się tego zrobić w jedną noc, mimo że będziemy się przekopywać przez miękką wapień i że – jak można sądzić – nie napotkamy na żadną przeszkodę pomiędzy twoją piwnicą a południową ścianą restauracji URITI. Szczerze mówiąc myślę, że kopanie tunelu potrwa do końca miesiąca. Trudno się łudzić, że krócej.

– A co z tym facetem przy windzie? – zapytał Giovanni. – Czy zechce z nami współpracować?

Księgarz posmutniał.

– Ach, ten biedny młodzieniec. *Povero ragazzo* – siorbnął trochę wina i ponuro potrząsnął głową. – Był taki miły, uprzejmy, przystojny, męski i żeby w tym wieku podobne nieszczęście!

– Nieszczęście?

– Tak się złożyło, że wśród moich znajomych mam młodą kobietę, wprost wyjątkowej urody. Zgrabną, o wspaniałych białych ramionach, czarnych, błyszczących oczach, cudnym biuście i nie mniej cudownej reszcie. Otóż wystarczyła mi nawet krótka obserwacja, by stwierdzić, że młody windziarz jest niezwykle czuły na kobiece wdzięki. Po powrocie z gór udało mi się jakoś – przypadkowo, oczywiście – spotkać późnym wieczorem owego młodzieńca i zaprosić go na kieliszek koniaku do baru. Nasza rozmowa potwierdziła moje spostrzeżenie: był niezwykle wrażliwy na piękno cielesne. Zrozumiałem, że wdzięki mojej znajomej mogą mu przypaść do gustu. I rzeczywiście. Nazajutrz szczęście znów mi dopisało, bo zdołałem mu ją wskazać na Lungotevere Flaminia. Nawet zdołałem zapoznać ich ze sobą i zauważyłem, że to wystarczyło, aby młodzieniec od razu zapalał miłością – księgarz zacisnął wargi. – Teraz, gdy to sobie przypominam, przychodzi mi na myśl, że może postąpiłem niewłaściwie zapewniając go, że młoda dama przychylnie potraktuje jego zaloty. *Povero ragazzo!* Niestety, z wielkim żalem przeczytałem dziś rano w gazecie, że znaleziono biedaka ciężko poturbowanego nad rzeką, o cztery kilometry stąd. Kto wie? Może gdyby nasza przyjaźń potrwała dłużej, zdążyłbym go uprzedzić, że mąż owej pani jest zawodowym zapaśnikiem – westchnął. – Życie, mój drogi, składa się z niespodzianek.

– A więc posada windziarza jest wolna?

– Nie. Nic podobnego. Przewidziałem, że może zająć podobne nieszczęście, a tak się złożyło, że mam w Ivrea dalekiego krewnego, który jest i sprytny, i bezrobotny. A raczej był bezrobotny, kiedy do niego zatelefonowałem trzy dni temu i kazałem przyjechać do Rzymu. Dziś rano bowiem, po przeczytaniu owej strasznej wiadomości w gazecie, natychmiast posłałem go do restauracji URITI. Oczywiście z góry ułożyliśmy sobie, co powie. Z przyjemnością muszę stwierdzić, że zrobił dobre wrażenie; toteż kiedy zgodził się na nędzną zapłatę, którą mu zaproponowano, z miejsca został przyjęty. – Księgarz uważnie przyglądał się swojej szklance wina. – Sądzę, że będzie pilnie i chętnie pracował dla obu restauracji.

Giovanni żuł koniuszek cygara i rozmyślał.

– To szaleńczy plan – rzekł w końcu.

– Tak – spokojnie potwierdził księgarz. – Szaleńczy.

A jednak zaraz po północy 4 września 1956 roku Giovanni Venturi uniósł kilof nad głową i z zamachem, po raz pierwszy, wbił go w północno-zachodnią ścianę piwnicy swojej trattorii.

Godzina trzecia nad ranem, 10 września. Giovanni mruknął z niezadowoleniem, kiedy kilof znów pogrążył się w miękkim tufie, a odłamki skały, które posypały się na ziemię, wzbiły szary obłok kurzu. Ukląkł i powoli jął ładować wykuty tuf w płócienny, prawie już pełny worek. Dyszał, przy tym ciężko. Jego ciało lepilo się od potu. Prawą ręką, mocno owłosioną, przesunął po czole rozmazując na nim

nową warstwę tłustego kurzu i brudu. Stęknął z wysiłku i wstał. Zawiązał sznurkiem worek spęczniały od trzydziestu kilogramów kamieni, schylił się i zarzucił go sobie na ramię. Odwrócił się i ruszył ku schodom na początku tunelu. Zawieszane u stropu żarówki rzucały blade światło na jego nagie plecy i kładły gęste, długie cienie na szare ściany tunelu, tam gdzie wyrastały grube belki obudowy.

W pół drogi Giovanni przystanął i zakasłał: w płucach miał pełno wilgotnego kurzu z rozkopanego tufu. Wsunął rękę do kieszeni, namacał i wyciągnął zakurzoną chusteczkę, przyłożył ją do ust i chwilę przez nią oddychał. Znużony, ociężale powlókł się dalej.

Księgarz siedział na najwyższym stopniu świeżo zbudowanych schodów, wiodących z tunelu do piwnicy trattorii Giovanniego, i sypał cement do kadzi, którą ustawił sobie między nogami. Giovanni rzucił worek z ramienia i łapczywie chwytając w usta powietrze osunął się na schody.

– Tuf to zadziwiający materiał – rzekł ciężko dysząc. – Mieszkam tu od dwudziestu ośmiu lat i nawet nie zdawałem sobie sprawy, że grunt pod moją trattorią jest tak miękki, iż można go dłubać palcem.

– Zgadza się – księgarz kiwnął głową i uważnie przyjrząwszy się zawartości kadzi dosypał do niej piasku. – A jednak tuf, choć niezwykle porowaty, jest ogromnie wytrzymały na ciśnienie.

Giovanni zachichotał.

– Przedwczoraj w nocy – powiedział – bałem się, że lada minu-

ta spadnie mi na głowę dziesięć tysięcy książek wraz z podłogą twojego sklepu.

Zabrał się do rozmasowywania prawego uda, bo kurcz go chwycił.

Księgarz przyglądał się temu ze smutkiem.

– Żałuję, że musieliśmy zrezygnować z użycia świdra pneumatycznego. Pracujemy prymitywnie, ale hałas, jaki sprawiałby świder...

– *Non importa* – odparł Giovanni. – Nieważne. Kopanie tak nie męczy. Najgorsze to ładowanie tufu w worki i noszenie go do mojej piwnicy. Uff...

Wstał z wysiłkiem i schylił się po swój ciężar. Gdy wchodził po schodach, worek obijał się o wilgotne ściany.

– To dziewięćdziesiąty szósty, który wniosłem – oznajmił po powrocie.

Księgarz wyglądał na zaaferowanego.

– Chyba starczy miejsca – powiedział.

– Starczy jeszcze na tysiąc worków. Ustawiam je w stosach po dwanaście pod sam pułap.

Uniósł rękę i stuknął w grubą dębową belkę, którą księgarz wpuścił w strop tunelu.

– Porządna robota – zauważył.

– Dziękuję – rzekł księgarz pilnie mieszając zawartość kadzi. – Muszę przyznać, że lepszy ze mnie stolarz niż murarz. Zdaje mi się

jednak, że ten piasek i wapienne kruszywo dają wspaniałą mieszani-
nę.

– Z pewnością schnie prędko. Te schody zrobiłeś wczoraj w
nocy, a już są suche – Giovanni postukał w beton. – Wiesz – powie-
dział – nasz tunel wytrzyma chyba z pięćset lat.

Przez kilka minut siedział spokojnie, masując zdrętwiałe koń-
czyny. Potem wstał, wziął taśmę mierniczą i powędrował w szary
kurz przekopu. Po paru minutach przykuśtykał z powrotem i położył
taśmę na pożyczony teodolit.

– Ma już sześć metrów. Gdzie teraz jesteśmy? – zapytał.

Księgarz starannie wytarł ręce i rozłożył plan. Wskazał w głąb
tunelu.

– Widzisz tę ostatnią podpórę, którą podbiłem? Stoi akurat pod
murem między moją księgarnią i rezydencją signory Pandolfi.

– Dopiero tu? – Giovanni był rozczarowany. Ciało miał obola-
łe, a nerwy rozdygotane.

– Poszłoby prędzej, gdybyśmy mogli zmechanizować pracę.
Ale to byłoby niebezpieczne. Musimy posuwać się ostrożnie i cicho.
Dlatego zabieramy się do roboty dopiero po północy i dlatego nale-
gałem, abyśmy najprzód kopali jak najdalej w głąb, nim zaczniemy
kopać wzdłuż, w kierunku restauracji URITI. Z tego też powodu
mam zamiar zakręcić się koło signory Pandolfi.

– *Che cosa?* Po co?

Księgarz pokiwał głową.

– Jakieś osiemnaście godzin temu posłałem jej liścik prosząc, aby zechciała zrobić mi zaszczyt i pójść ze mną na wieczorny koncert i na kolację. Była na tyle uprzejma, że się zgodziła. – Zapalił fajeczkę i przyglądał się tunelowi. – Tam, przy końcu, jest już chyba za ciemno. Jeszcze jeden metr i znów będę musiał przeciągnąć dalej światło.

– Ale co z tym zakręceniem się koło signory Pandolfi?

Księgarz podrapał się w brodę. Nie przestawał gryźć cybuszka fajki.

– Może – powiedział – to przesadna obawa z mojej strony. Rozsądnie zrobiliśmy kopiąc w głąb, zanim zaczęliśmy kopać we właściwym kierunku. Wątpię, aby na górze było słycać hałas, jaki robimy. Ale... – potrząsnął głową – pomyłka to rzecz ludzka. W nocy zawsze ktoś jest w domu signory Pandolfi. Na szczęście – tylko jedna osoba. Chcę więc wyciągnąć ją stamtąd na czas naszej pracy. A ściślej mówiąc – twojej pracy. Kiedy przekopimy się za jej rezydencję, nie będę już potrzebował zajmować się tą panią. Sklepy złotnika i zieleniarza są w nocy zamknięte i puste: nic więc już nie będzie nam groziło, kiedy posuniemy się za dom signory Pandolfi. Na razie jednak zamierzam wywabić ją na noc w inne dzielnice miasta, żeby, nieczuła na hałas, zasnęła, nim się przyłoży do poduszki.

– Dobrze – rzekł Giovanni. – To prawda, że im wcześniej wyciągniesz ją z domu, tym wcześniej będę mógł dalej kopać. Ale z drugiej strony nie podoba mi się, że o tej zdradliwej porze roku bę-

dziesz narażony na nocny, wilgotny chłód. – Troskliwie przyjrzał się przyjacielowi. – Chciałbym, abyś bardziej dbał o siebie.

Lekki dreszcz wstrząsnął ciałem księgarza.

– Wypocznę jutro rano – powiedział. – Z pracami stolarskimi i murarskimi mogę się uporać po południu. To stosunkowo cicha robota. – Przez chwilę zastanawiał się nad czymś. – Wiesz – rzekł wreszcie – od wielu lat nie widziałem się z signorą Pandolfi. Ale nawet i wtedy nie była, jak się to mówi, wiośniana.

– Ja nie widziałem jej chyba od 1950 roku – Giovanni uśmiechnął się. – Czy to nie wtedy napytała sobie biedy, wysadziwszy w powietrze chemiczne laboratorium w Rzymskim Uniwersytecie? Nie przypominam sobie, jakie to doświadczenie robiła, ale pamiętam, że wszystkie gazety co najmniej przez tydzień rozpisywały się o tym wydarzeniu. Słyszałem od sąsiadów, że od tamtego czasu nosa nie wytyka z domu.

Księgarz z zadumą wpatrywał się w główkę fajki.

– No, tak – odezwał się po chwili. – Może uda mi się wmusić w nią naparstek wina i straci przytomność. W przeciwnym wypadku będzie to pierwszy z wielu szarpiących nerwy wieczorów.

Kiedy nazajutrz o piątej nad ranem księgarz wszedł do tunelu, widać było, że przeżył ciężką noc. Bezwładnie osunął się na schody i oparł głowę o teodolit.

– Gdy wczoraj ujrzałem ten stwór – powiedział słabym głosem – pomyślałem sobie, że nie zdołam wytrwać przy moim planie. Baba

wyschła na mumię, a ubiera się w coś, co już w czasach Karola Wielkiego uchodziło za antyczne. Zlewa się też jakąś ohydną wodą kolońską. O mały włos całkiem się nie załamałem, kiedy usnęła przy pierwszej uwerturze. Spała nawet przez całą przerwę. A potem, po zakończeniu Piątej Symfonii Beethovena, zbudziła się świeża jak majowy ranek. Chciałem być szarmancki, zaholowałem ją więc do wytwornej restauracji przy Ara Pacis i zapytałem, czy zgodzi się wypić ze mną szklaneczkę spumante. Uśmiechnęła się czarująco i wypila jej zawartość jednym łykiem. Musiałem zamówić cztery butelki, które sama wytrąbiła – potarł czoło. – Potem zachciało jej się tańczyć. Rozumiesz, o drugiej w nocy! – westchnął. – W „Cantina della Rose” znowu piliśmy szampana i nawet kiedy muzycy spakowali już instrumenty i poszli do domu, tańczyliśmy coś, co chyba nazywa się cza-cza-cza...

– Gdzie ona teraz jest? – zapytał Giovanni wycierając spocone ramiona wilgotnym ręcznikiem.

Księgarz niepewnym ruchem wskazał w górę.

– Kiedy wróciliśmy w końcu na Zatybrze, złożyła mi głowę na ramieniu i zażądała, abym ją odprowadził na górę i położył do łóżka. Musiałem się zgodzić. – Zadrżał na samo wspomnienie, wstał i chwiejąc się na nogach powłókł się obejrzeć zakończenie tunelu. – Jeżeli tylko zdołam się dziś obudzić – powiedział przy tym – zejść i założę kilka dalszych żarówek, bo chyba nie będę miał dość siły, aby zająć się obudową. – Jęknął i złapał się za głowę. – Upiera się, abys-

my dziś znowu poszli potaćczyć. Chce mi się zrewanżować za zaproszenie. – Błędnym wzrokiem spojrział na Giovanniego. – Nie lubię obmawiać bliźnich, *caro amico*, ale mówię ci, że ta kobieta pozbawiona jest jakichkolwiek zasad moralnych.

Giovanni zarzucił kilof na ramię.

– Nie skarżyła się na jakieś hałasy pod podłogą?

Księgarz miał już całkiem szklane oczy.

– Myśli, że to ktoś gra na bębnie – odparł matowym głosem. – No, bierzmy się każdy za swoją robotę – znów westchnął i zamyślonny kopnął stos worków z kamieniem wapiennym leżących na betonowych stopniach.

Księgarz nie pokazał się przez kilka wieczorów. A w tym czasie zaszły dwa znamienne wypadki.

Do rana 15 września 1956 roku Giovanni Venturi posunął się w tunelu o 2,75 m i tym wynikiem pobił rekord swojej dotychczasowej pracy.

Następnego ranka dotarł pod jadalnię rezydencji signory Pandolfi. W czterdzieści osiem godzin później, już o świcie, klęcząc z taśmą mierniczą w rękę stwierdził, że posunął się ogółem o 28,3 m. Z pewnością dotarł pod sklep złotnika. Ramiona miał obolałe, kulał tak, że aż żał było nań patrzeć, ale po kąpieli, kiedy w nocnej koszuli stanął w oknie swojej sypialni, mógł w pogodnym nastroju spoglądać

na spieszących do legalnej pracy współrodaków i na przezornie umieszczony napis nad drzwiami swojej trattorii: Chiuso per Restau- ro (zamknięte z powodu remontu).

O 2.47 nad ranem 19 września Giovanni wpadł do grobowca. Dokładną godzinę można było ustalić dzięki temu, że przy upadku pękła sprężyna w jego zegarku.

Nieco wcześniej tego ranka przekopał się o jakiś metr dalej, wyłupał kawał stropu podwyższając tunel nad sobą i wygładził ścia- ny po jego bokach. Wywłókł też dwa worki tufu pod betonowe scho- dy prowadzące do piwnicy, a potem przystanął w świetle zakurzo- nych żarówek, by dokładniej obejrzyć przekop. „*Molto ben fatto* – rozmyślał z satysfakcją. – Dobra robota”.

I znów zabrał się do kopania. Kilof unosił się i opadał meto- dycznie: stalowe ostrze głęboko wbijało się w miękki kamień kru- sząc go łatwo. Giovanni krok za krokiem posuwał się naprzód po- gwizdując z cicha, aż nagle zachwiał się i omal nie upadł, bo kilof odskoczył z wielką siłą.

Wtedy przykląkł i począł usuwać tuf w tym miejscu.

Niebawem z wielkim zdumieniem odkrył potężny, wy- polerowany gład. „*Molto strano*” – pomyślał – bardzo dziwne – i zabrał się do łupania i odgrzebywania miękkiego szarego tufu. Po chwili stwierdził, że do tego pierwszego gładu przylega inny, ma-

sywny i prostokątny. Kopał dalej. A kiedy natrafił na jeszcze jeden głaz, zrozumiał, że tworzą one płaszczyznę z ociosanych kamieni wklonowanych w grunt i złączonych jakimś spoiwem.

Wyarł ręce i przyjrzał się mapce księgarza. Niewątpliwie znajdował się pod sklepem złotnika, a zgodnie z mapką nie należało się tu spodziewać żadnych ścian ani przeszkód.

Powoli kopał dalej. Po paru minutach zastanowiło go, że powierzchnia pod jego nogami jest z lekka wybrzuszona.

Wkrótce odsłonił powierzchnię z dziewięciu wielkich marmurowych bloków i teraz jasno mógł dojrzeć tajemnicze wysklepienie: gładkie bloki marmuru to występowały z ziemi, to kryły się pod tufem po obu stronach tunelu.

Giovanni schylił się i postukał kilofem w jeden z marmurowych bloków, a kiedy po całym tunelu rozeszło się dźwięczne echo, z lękiem spojrzał w pułap nad sobą. Stuknął znowu i zdumiał się, gdy usłyszał głuchy odgłos pustki. Zerwał się z kolan i tupnął nogą w płytę: odpowiedziało mu głuche dudnienie. „*Stranissimo*” – pomyślał. Przelknął łyk wody i przez chwilę zastanawiał się nad tym ciekawym zjawiskiem. Zadumany, dwoma brudnymi i grubymi paluchami miętosił skórę na karku i patrzył na wybrzuszone bloki u swych stóp. Denerwowały go, niepokoiły. Żałował, że nie ma tu księgarza, który mógłby mu coś poradzić.

– *Me ne frego*. Do diabła z tym! – mruknął. Postąpił krok naprzód i uniósł kilof. Trafił akurat w cienki pasek zaprawy między

dwoma blokami marmuru. Ostrze weszło głęboko, Wyszarpnął więc je i rąbnął znowu. Raz, drugi, trzeci...

Po czwartym ciosie odstał w tył ciężko dysząc. Szpara, którą wybił, była już znacznie większa. Ha! Kiedy znów uderzył kilofem, głązy najwyraźniej się poruszyły. Chrząknął więc i splunął w dłonie.

Zamachnął się właśnie do nowego uderzenia, gdy głązy poddały się i runęły w gęsty mrok, a marmurowe bloki pod jego nogami niepokojąco drgnęły. Chciał więc odskoczyć, ale już było za późno. Ziemia się pod nim zapadła. Z kilofem zaciśniętym w dłoni i uniesionym nad głową poleciał w dół.

Światło nad nim przygasło i zniknęło. Ciemności go ogarnęły. Nogami natrafił na coś twardego, poczuł dojmujący ból w biodrze, upadł i głową uderzył w pradawną posadzkę. Leżał teraz na wznak i niewidzącymi oczami wpatrywał się w otwór nad sobą. Kilof wypadł mu z ręki i dźwięcznie stuknął o marmur podłogi grobowca.

W dwie godziny później, kiedy księgarz w wieczorowym ubraniu wszedł do tunelu, Giovanni jeszcze był w grobowcu. Siedział na jednym z głązów, które spadły tam razem z nim. Księgarz ostrożnie zajrzał do ciemnego wnętrza.

– To ty, Giovanni? – zawołał piskliwym głosem.

– A kogo spodziewałbyś się tutaj o tak wczesnej godzinie? – odparł Giovanni i głośno jął czynić wyrzuty przyjacielowi. Kiedy już zmieszał go z błotem, wyprostował się i potarł skronie.

. – Gdzieś tam u mnie w kuchni stoi drabina – rzekł znużonym

głosem. – Zejdź i pomóż mi się wydostać.

Księgarz, ciężko sapiąc, nienawykły do dźwigania ciężarów, przywłókł wreszcie drabinę, a gdy Giovanni wstał i dopomógł mu ustawić ją w ciemnym dole, zszedł po niej niezgrabnie.

– *Amico mio* – poważnie rzekł Giovanni. – Ja też lubię kawały. Nawet te najbardziej złośliwe. Ale zrozum, przecież mogłem skrócić kark przy tym upadku.

– Upadku? Przy jakim znowu upadku? – zapytał księgarz skądś z nieprzeniknionej ciemności.

Pytanie to zdenerwowało Giovanniego Venturi. Siadł z powrotem na kamieniu. Rozmyślał ponuro: „Nie skarżę się, że sam kopię ten tunel. Jestem silny i przywykłem do ciężkiej pracy fizycznej, gdy mój przyjaciel jest intelektualistą i nigdy nie był mocnego zdrowia; nie skarżę się, że on chodzi na koncerty i do nocnych lokali i mnie pozostawia całą pracę. A przecież i ja lubią muzykę.”

Miał ochotę wejść po drabinie, wciągnąć ją za sobą i zostawić tu księgarza samego na całą noc. Wszedł już nawet na jeden czy dwa szczeble, jednakże wyrzekł się swego zamiaru. Uznał go za niegodny siebie. Ale ten ruch przeraził księgarza.

– Giovanni! Giovanni! – wołał zagubiony w jakimś oddalonym kącie. – Odezwij się! Gdzie jesteś?

– Gdzieżby, jak nie tu – ponurym głosem odparł Giovanni. – Myślisz, że mógłbym wyfrunąć?

Księgarz ruszył ku niemu. Złapał przyjaciela za ramię,

– Gdzie my jesteśmy? Jakżeś tu trafił?

– To niewesoła historia.

– Zapewniam cię – rzekł księgarz bardzo przejęty – że nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie jesteśmy. Przysięgam ci.

To wyznanie zabrzmiało całkiem szczerze.

– Nie byłeś tu nigdy przedtem? – zapytał wreszcie Giovanni. – To naprawdę dla ciebie niespodzianka?

– Nie! – z emfazą odparł księgarz. – Naprawdę.

Jego słowa odbiły się dwukrotnym echem w ciemnej komorze grobowca.

– No to chodź, coś ci pokażę – rzekł Giovanni. Ujął księgarza za ramię i poprowadził przez gęsty mrok. – Siadaj – popchnął go lekko. – Nie, nie tu! – wykrzyknął. – Nie potrzebujesz na nim siadać.

Księgarz wyczuł chłodny, kamienny blok pod sobą i zerwał się gwałtownie.

– Na nim? Na nim? Na kim!?! – wykrzyknął.

Giovanni nie odpowiedział, bo już odszedł. Księgarza zdjął lęk, zaczął krzyczeć przeraźliwie.

– Cicho! – uspokajał go znużony Giovanni. – Zaraz zaświecę zapalną.

Księgarz uspokoił się.

Po chwili rozległ się cichy trzask pocieranej zapalniczki i słaby płomyk błysnął w ciemności. Drewno się zajęło i kuliste światło rozjaśniło nieco wnętrze grobowca.

Wtedy księgarz zobaczył, że stoi przed sarkofagiem, którego pokrywę zdobi kamienna postać wojownika naturalnej wielkości. Rzeźbiona w kamieniu twarz była niezwykle poważna.

– *Mamma mia!* – jęknął.

Wąły płomyczek zgasił. Giovanni ujął przyjaciela za ramię i powiódł w innym kierunku. A kiedy zapłonęła druga zapałka, księgarz ujrzał cztery wielkie brązowe wazy od góry do dołu pokryte rzeźbami wyobrażającymi konie, rydwany wojenne i triremy. Stały w nich kwiaty sprzed wielu lat. Drżącym palcem dotknął jednego ze zwiędłych płatków, który natychmiast rozsypał się w szary proch.

– Spójrz na to – Giovanni podreptał gdzieś, w ciemność i gdy zapalił nową zapałkę, księgarz ujrzał go na tle długich żelaznych włóczni. Ujrzał też kilkanaście toporów wojennych ustawionych w równym rzędzie na wysokim bloku czarnego, gładkiego marmuru. Ich wypolerowane ostrza błyszczały w żółtawym świetle.

Giovanni uniósł zapałkę. Rozedrgany płomyczek strzelił w górę, a w jego blasku dostrzegli nad sobą wielką kopułę, sklepioną z wielu setek marmurowych bloków.

W ciemności, która potem zapadła, księgarz zimnymi z przerażenia palcami próbował namacać twarz tajemniczego posągu. Najprzód jego dłonie natrafiły na kamienne sandały, potem na nogi, tunikę, napierśnik i wreszcie na twarde rysy kamiennego oblicza. Wtedy z trudem opanował wybuch histerycznego śmiechu. Zapałka prysnęła iskrami: jej blask oświetlił najbliższą ścianę, którą kiedyś po-

kryto gładką zaprawą. Na tej ścianie jakiś pradawny artysta wymalował tajemniczą scenę. Za drobiazgowo przedstawionym biesiadnym stołem uginającym się od kosztownych pucharów, srebrnych mis i półmisek ze smakowitymi potrawami, kilkunastu śniadych niewolników trzymało uniesione w górę brązowe amfory. Ich ciemne oczy były doskonale obojętne. Nieco niżej, na długich łóżach ustawionych po bokach stołu, w pół leżąc spoczywały cztery przystrojone klejnotami kobiety. Rysy miały ładne, spojrzenie zwrócone w bok, a na ich ustach błąkał się zagadkowy uśmiech. W lewej zgiętej ręce, na wyprostowanej smukłej dłoni każda trzymała jakiś mały, krągły przedmiot podobny do jajka. Obraz namalowany był w żywych, jasnych barwach.

Na przyległej ścianie był inny fresk: przedstawiał dwóch muskularnych atletów w zwarciu. Mięśnie mieli napięte w szalonym wysiłku. Grupka młodych patrycjuszów w bladoniebieskich tunikach przyglądała się tej walce z pobliskiego wzgóрка porośniętego trawą. Za nimi rozciągał się pas spokojnego morza, z którego w słonecznym blasku wyskakiwały ryby.

Cynober, złoto i zieleń lśniły bogactwem kolorów na drugiej części tejże ściany: przysiadła tam pantera w trawie. Sprężywszy mięśnie w niecierpliwym oczekiwaniu szykowała się do skoku na zbliżającego się, niewidocznego wroga.

– Została mi już tylko jedna zapalka – odezwał się Giovanni.

I znów wątle światelko rozproszyło nieco mrok. Wysoko na

innej ścianie grobowca malarz sprzed wieków namalował chudego kapłana w białej, surowej szacie. Wyniosły i ascetyczny stał nieruchomo, a w jego przymrużonych oczach nie było cienia uśmiechu. Uparcie wpatrywał się w zamknięte drzwi. W wiotkich, kościstych palcach trzymał zwitek pergaminu.

Zapałka zgasła. Giovanni pokuśtykał ku miejscu, gdzie w ciemności siedział księgarz.

– Jest tu jeszcze wiele innych takich malowideł. Ale ja idę spać – powiedział.

Bezgłośny, niesamowity śmiech wstrząsnął ciałem księgarza. Każdy nerw był w nim napięty. Oszołomiony mózg nie podsuwał żadnych słów dla określenia rzeczywistości, której był świadkiem.

– Przestań się śmiać – powstrzymał go Giovanni. – Mówiłem ci już, że nie widzę nic zabawnego w tym żarcie.

Księgarz nie panując nad sobą śmiał się dalej. Giovanni zgarbił się.

– Słuchaj... – głos księgarza przeszedł w szept dławiony nerwowym chichotem.

– Idę spać – powtórzył Giovanni i odwrócił się.

Ale tamten schwycił go za rękę.

– Mówisz, że nie wiesz, gdzie jesteśmy? – zapytał ochryple.

– Przecież to ty rysowałeś mapę. Jeżeli wyliczyłeś wszystko dokładnie, to powinniśmy być gdzieś pod sklepem złotnika – ostro odparł Giovanni.

Księgarz czuł suchość w gardle. Jego mózg pracował gorączkowo.

– To nie może być prawda. To niemożliwe – szeptał bardziej do siebie niż do przyjaciela. Nie mógł zebrać myśli. Oparł głowę o chłodne drzewo drabiny. – A jednak to prawda.

– Co jest prawda? – zapytał Giovanni zarzucając kilof na ramię.

– Słuchaj – księgarz cedził słowa – tej nocy dokonałeś jednego z największych archeologicznych odkryć w historii Włoch.

– *Come?*

– To jest – ze zdumieniem kiwając głową ciągnął księgarz – etruski grób sprzed dwudziestu wieków co najmniej. Był już tu, nim Chrystus się narodził. Był tu przed, epoką Aleksandra Wielkiego. I był tu za życia Platona. A może jest nawet starszy? I aż do dzisiejszej nocy nikt go nie widział. – Znów potrząsnął głową. – Nie do wiary, a jednak prawdziwe. Trudno w to uwierzyć, a przecież nie ma żadnych wątpliwości.

Rano 23 września 1956 Giovanni i księgarz przekopali się już za mur oddzielający sklep złotnika od sklepu zieleniarza. A w cztery dni później o 2.55 księgarz po raz ostatni spojrział przez teodolit, raz jeszcze wymierzył długość tunelu, przysiadł na kupie wykopanego tufu, sprawdził wyliczenie, skontrolował je i skinął głową.

– Teraz kopieemy w górę – rzekł i zwinąwszy taśmę mierniczą, schował ją do kieszeni.

Obaj przyjaciele uścisnęli sobie ręce i ucałowali się serdecznie, po czym Giovanni wbił kilof w szary wapień sklepienia; kurz i odłamki prysnęły im w twarze.

– To będzie chyba najtrudniejsza część zadania – powiedział Giovanni. – Jak daleko mamy do windy?

– Według mojego obliczenia, podstawa windy powinna się znajdować dokładnie o cztery metry i 27 centymetrów nad nami.

– Tak będzie nieporęcznie – stwierdził Giovanni. – Kilof, nie nadaje się do podobnej roboty. Będę musiał wziąć dłuto. No, jeszcze kilka nocy i wyładujemy w kuchni URITI.

Później siedli w jadalni trattorii i jak zwykle postawili przed sobą litr białego wina.

Nowa troska nie dawała spokoju Giovanniemu.

– A jeżeli u nich w kuchni jest nocny stróż?

– To niewątpliwie nas usłyszy – roześmiał się księgarz. – To znaczy, jeżeli nie będzie spał, jak przypuszczam.

. – Co w tym śmiesznego? – Giovanni wcale nie był ubawiony słowami przyjaciela.

– Widzisz, już dawno przyszło mi na myśl, że zarządcy restauracji URITI należą pewnie do tego wstrętnego gatunku ludzi, którzy na wszelkie sposoby starają się wyzyskać swoich pracowników. Dyskretna obserwacja potwierdziła moje przypuszczenie. Otóż, do

niedawna w restauracji był stały dozorca nocny, któremu – jak się dowiedziałem – płacono osiemnaście tysięcy lirów na miesiąc. Jasne, że bezustannie narzekał na głodową pensję. Namówiłem więc mego kuzyna Carlo, aby mu jeszcze podbił bębenka, aby go buntował mówiąc, że znał dozorców w restauracji na Capri i w Postino, którym co miesiąc płacono po trzydzieści pięć tysięcy lirów co najmniej. Znajomość psychologii mnie nie zawiodła. Krótko mówiąc, pewnego dnia, jakieś dwa tygodnie temu, ów człowiek nie stawiał się do pracy. Powiedział mi o tym Carlo, którego zaraz posłałem do dyrekcji URITI, aby oznajmił, że gotów jest dodatkowo i bezpłatnie przez pewien czas wykonywać i tę pracę.

– A kierownictwo URITI niczego nie podejrzewa?

– Och, mój kuzyn wspaniale odegrał tą scenkę. Nie potrzebuję chyba mówić, że parokrotnie wypróbowaliśmy ją w mojej księgarni, nim pozwoliłem mu wystąpić przed kierownictwem URITI. – Raz jeszcze przypomniał sobie ten epizod i pokiwał głową z uznaniem. – To, co im powiedział, było bardzo przekonujące. Ogromnie wiarygodne, jeśli wolno mi tak rzec. Z Carlo byłby świetny prowincjonalny aktor. Powiedział, że dopiero od niedawna jest w Rzymie – co było łatwe do sprawdzenia – i nie zdołał jeszcze znaleźć sobie odpowiedniej i taniej kwatery. Poprosił więc, aby pozwolono mu sypiać w restauracji, za co bezpłatnie będzie pełnił obowiązki nocnego stróża. Słowo „bezpłatnie” wywarło magiczne wrażenie na kierownikach restauracji. Po krótkim namyśle wyrazili zgodę. Wstawili nawet łóż-

ko polowe memu kuzynowi, a główna dyrekcja URITI w Turynie wyraziła mu na piśmie swoje zadowolenie z powodu tak lojalnej postawy wobec przedsiębiorstwa.

Tak więc Giovanni przyglądając się tego ranka świtowi, który wstawał nad dachówkami domów Zatybrza, mógł optymistycznie zapatrywać się na losy swojego przedsięwzięcia.

Położył się spać. A kiedy sen nie przychodził, sięgnął po książkę, którą wczoraj dał mu księgarz. Spiętrzył poduszki pod głową, zapalił cygaro i zabrał się do czytania.

„Prastare państwo Etrusków obejmowało ongiś całe północne Włochy od Tybru do Alp, a do szczytu swej potęgi doszło między siódmym i piątym wiekiem p.n.e. Żaden literacki utwór Etrusków nie dotrwał do naszych czasów, nie istnieje żaden historyczny ich przekaz, toteż dzisiejszym historykom nie dają spokoju ani tajemnica pochodzenia, ani dzieje tego utalentowanego narodu. Herodot uważa, że Etruskowie przybyli z Lidii, z Azji Środkowej, Dionizy z Halikarnasu nie zgadza się z tym poglądem i twierdzi, że Etruskowie to włoscy autochtoni. Dawni historycy, Liwiusz i Polibiusz, jak również Siliusz Italikus i Stacjusz podzielają zdanie Herodota. Zresztą w dużym stopniu potwierdzają je też ostatnie odkrycia archeologiczne...

W siódmym wieku przed naszą erą Etruskowie rozprzestrzeleni się na południe od dzisiejszej Toskanii aż do Lacjum i Kampanii, i założyli tam takie miasta jak nasza. Bolonia (etruska Felsina), Mantua i Melpum. W szóstym wieku udało im się zapanować nad Rzy-

mem, gdzie rządzili żelazną ręką. W wyniku ich tyranii, a zwłaszcza na skutek gwałtu, jakiego w roku 509 p.n.e. Sekstus, rozpustny syn despotycznego króla Tarkwiniusza Superbusa, dopuścił się na wielce cnotliwej rzymskiej matronie Lukrecji, zbuntowany lud wypędził Etrusków z miasta... Koło 495 roku p.n.e. Rzymianie odnieśli ostateczne zwycięstwo w bitwie nad jeziorem Regillo, kiedy to rozbili Etrusków, którymi dowodził Oktawiusz Mamillus. W dziesięć lat później Rzymianie odparli też atak połączonych sił Etrusków i Ateńczyków, a flocie etruskiej zadali klęskę, z której już się nigdy nie podźwignęła. W roku 423 Samnici ze środkowo-południowych Włoch zajęli etruskie miasta Kampanii, a w roku 396, po dziesięcioletnim oblężeniu, Rzymianie zdobyli Veii, główne miasto Etrusków... Śmiertelny cios został jednak zadany temu narodowi w roku 309 p.n.e., kiedy Rzymianie pod wodzą Q. Fabiusa Rullianusa rozbili ich wojska. Wraz z tą klęską nad jeziorem Wadimońskim Etruskowie ostatecznie stracili niepodległość. Rzymianie stopniowo okupowali resztą ich państwa zakładając swoje kolonie na podbitych terenach. W końcu obszar zajmowany przez nich stał się już tylko terenową jednostką administracyjną imperium rzymskiego, ustanowionego przez cesarza Augusta, a Etruskowie jako czynnik polityczny na zawsze zniknęli z historii...

Grecki historyk Herodot już dawno temu zauważył, że język etruski w niczym nie przypomina innych języków. Uczonym ogromnie trudno znaleźć klucz do rozszyfrowania jego tajemnicy, ze

wzglądu na małą ilość napisów, które do nas dotrwały, i zagadkowy ich charakter. Wydaje się, że alfabet Etrusków składał się z dziewiętnastu liter i w pewnym stopniu przypominał starogrecki, ale gramatyka i słownictwo tych języków nie dają się ze sobą pogodzić...

Etruskowie chowali swoich zmarłych, a zwłaszcza tych z arystokracji, w kosztownych grobach podziemnych, często nawet bardzo głębokich, aby je uchronić przed odkryciem i obrabowaniem przez najeźdźców. Obudowywali je też wielkimi blokami marmuru, starannie wyciosanymi i spojonymi zaprawą... Znajdowane tam freski pozwalają historykom poznać zwyczaje i zabawy Etrusków. Wiele z tych grobów, zwłaszcza położonych w pobliżu Tarkwinii i Cerveteri (etr. Caere), zawiera świetnie zachowane wzory etruskiej sztuki. Freski wykonane są nadzwyczaj starannie, przy użyciu bogatej skali barw. Ulubionymi motywami etruskich malarzy były sceny z zabaw, tańców, uczt, walk atletów, rybołówstwa i myślistwa...

Etruskowie byli też niezwykle zręcznymi rzemieślnikami! W grobowcach w Arezzo i Volterra odnaleziono wspaniałe wazy srebrne i brązowe ze starannie wyrytymi na nich postaciami ludzi i zwierząt. Szczególnie pogodne i zupełnie wolne od wszelkich aluzji do życia pozagrobowego są malowidła grobowe w Tarkwinii, o jakieś sto kilometrów na północny zachód od Rzymu. Zresztą te imponujące grobowce, jak i te z Cerveteri znajdują się najbliżej dzisiejszej stolicy Włoch, toteż nikt, kogo to ciekawi, nie powinien..."

~ Nonsens – warknął Giovanni. Odłożył książkę i zapalił zga-

słe cygaro. Przeciągnął zmęczone członki i przez chwilę słuchał dobiegającego z ulicy porannego gwaru. Potem wstał, wsunął stopy w pantofle, narzucił szlafrok, wyjął latarkę z szuflady i powoli zawlókł się do piwnicy swojej trattorii. Zapalił światło w tunelu i po betonowych schodach zszedł w jego wilgotną głąb. Pod domem signory Pandolfi przystanął na moment i nadstawił ucha. Nie doszedł go żaden dźwięk. Przystanął także pod sklepami złotnika i zieleniarza. Ale głęboką ciszę przerywał tylko jego własny oddech i szmer kropel od czasu do czasu spadających z wilgotnego sklepienia.

Dotarł wreszcie do wielkiej marmurowej kopuły grobowca i zajrzał do wnętrza. Promień światła latarki oświetlił kamienny posąg na olbrzymim sarkofagu stojącym pośrodku podziemnej komory. Kamienne oczy wojownika groźnie patrzyły w górę.

Przez chwilę Giovanni stał bez ruchu i ze spokojem pykał cygaro. A potem skłonił się poważnie kamiennemu posągowi.

– *Buona notte, caro*. Spij, śpij, stary druhu. Ha, najbliższy etruski grób dopiero w Cerveteri! Dobre sobie!

A gdy wrócił do łóżka, zabrał się znów do czytania.

„Jak już wspomnieliśmy, żaden literacki utwór Etrusków nie przetrwał do naszych czasów. Cicero wspomina o »Etrusca disciplina«. Zdaje się, że była to kodyfikacja etruskich praw... Z dzieł starożytnych pisarzy można też wnioskować, że w ich czasach istniał jeszcze komplet ksiąg powszechnie zwanych »libri disciplinae«. Pierwsza z nich, »libri haruspinci«, oraz druga, »libri fulgurales«,

dotyczyły sztuki przepowiadania. Trzecia, »libri rituales«, była zbiorem prawa miejskiego, cywilnego i...”

Ale Giovarini już usnął.

Świetnie sypiał owego września 1956. Krew żywiej krążyła w jego żyłach. Mięśnie brzucha mu stwardniały, oddychał głębiej i bardziej regularnie, a drugi podbródek, który przedtem zarysowywał się coraz wyraźniej, teraz zanikał. Sypiał dobrze i długo; rzadko kiedy wstawał przed dwunastą. Robił sobie pożywne śniadanie, a na przechadzkę wychodził dopiero pod wieczór. Nie unikał znajomych. „Zrobiłem sobie wakacje – mawiał im. – Każdy powinien robić sobie wakacje od czasu do czasu.” Jeśli zaś próbowali wyrazić mu współczucie i wyrzekali na URITI, potrząsał głową i przybierał zrezygnowaną postawę: „*Si, e vero*. Tak, to prawda. Banda łobuzów. Cieszyłoby się, gdyby mnie ujrzeli na marach.” Kiedy zaś handlarz win nie mógł się nadziwić jego kwitnącemu wyglądowi, uśmiechnął się z zadowoleniem: „W moim wieku człowiek łatwo kostnieje. Nie rusza się z miasta, nie zażywa ruchu. Oto dlaczego w tym roku zrobiłem sobie całkiem inne wakacje. Czuję, że tracę kontakt z przyrodą. Zbliżyłem się więc do ziemi. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak to zmienia nasz pogląd na życie.”

Tymczasem tunel był już prawie gotowy.

Rankiem 30 września 1956 promyczek światła z restauracji

URITI po raz pierwszy wpadł do szybu pod windą. Giovanni zmrużył oczy, uśmiechnął się od ucha do ucha, otarł kurz z czoła, splunął w dłonie i znów zabrał się do kucia betonu nad głową. Z rękami uniesionymi w górę ku twardemu sklepieniu stał na przedostatnim szczeblu drabiny. Niżej, pod nim, księgarz ładował do płóciennego worka odłamki betonu i tufu spadające na dno tunelu. Giovanni kuł uważnie. Otwór nad nim powiększał się.

Wylot tunelu wypadł w przewidzianym miejscu, w kwadracie podłogi obramowanym masywną, drewnianą ramą windy kuchennej. Kalkulacja księgarza była bezbłędna. Giovanni wciągnął w płuca pył z betonu i rozkichał się.

– *Salute!* Szczęść Boże! – usłyszał grzeczne słowa nad sobą. Zaskoczony zmrużył oczy, odwrócił głowę i skinął na księgarza, który wszedł do połowy drabiny, złożył dłonie przy ustach i zawołał stłumionym głosem:

– Carlo!

– *Si* – odpowiedziano mu z góry. – *Sono io.* To ja.

– Czy jesteś sam? Wszystko w porządku?

– *Si.*

Twarz księgarza rozpogodziła się. Poklepał przyjaciela po kolanach.

– Kuj dalej – rzekł i zszedł z drabiny.

Giovanni kilka razy walnął w dłuto i nadłupał potężny kawał betonu. Wziął go w ręce, pohnął nim chwilę i ostrożnie spuścił na

dno przekopu. Następnie poszerzył otwór dopasowując go do wymiarów windy. Obciosał też beton wokół jej dolnych wielokrażków, wyważył je z obsady i po zrzuceniu z nich lin, podał księgarzowi. A później wszedł na ostatni szczebel drabiny, odsunął na bok tacę windy, wysunął głowę z otworu i zajrzał do kuchni restauracji URITI.

Zobaczył pochyloną nad sobą umorusaną twarz jakiegoś dwudziestolatka. Młodzieniec uklonił się.

– *Buon giorno*. Dzień dobry panu – rzekł.

– *Buon giorno* – odparł Giovanni i wdrapał się do kuchni. Księgarz wgramolił się tuż za nim, otrzepał ubranie z kurzu i żywo rozejrzał się wkoło.

– Giovanni – rzekł – pozwól, że ci przedstawię mojego kuzyna Carlo Pedicohi z Ivrea. Carlo – zwrócił się do młodzieńca – to jest mój serdeczny przyjaciel, signor Giovanni Venturi.

– *Piacere*, bardzo mi miło – rzekł Giovanni i wsadziwszy sobie młot i dłuto pod lewe ramię, podał młodzieńcowi wolną rękę.

– Cała przyjemność po mojej stronie – uprzejmie powiedział Carlo.

– Nie ma tu w pobliżu nikogo? – niespokojnie zapytał księgarz.
– Nikt nas nie słyszał?

Młody człowiek z głębokim przekonaniem potrząsnął głową.

– Ostatni kelner wyszedł zaraz po północy i od tej chwili poza mną nie ma tu żywej duszy. Drzwi na górze są zamknięte, a żaluzje opuszczone.

– Wspaniale – ucieszył się księgarz i zatarł ręce. – No, Carlo, ty jesteś przecież zwinny i młody, zejdziesz, proszę, po drabinie i przynieś mi z dołu liny, narzędzia i drewnianą, brązową pokrywę, która tam leży.

Carlo pochylił się i wszedł do niszy. Przykucnął, namacał nogą szczebel drabiny i po chwili znikł z oczu.

Tymczasem Giovanni przechadzał się po obszernej kuchni. Z niedowierzaniem trząśł przy tym głową. Nigdy jeszcze nie widział aż tylu naraz pieców, stołów, półek, zlewów i chłodni. W jasnym blasku jarzeniówek zewsząd wyzierała ku niemu biała porcelana i nierdzewna stal.

– Oto – rzekł z podziwem – co nazwałbym p r a w d z i w ą kuchnią.

Zajrzał do kredensów: na co najmniej dwudziestu półkach stały w nich kryształowe wszelkiego rodzaju; szklaneczki do aperitifów i do wody, kieliszki do wina, szampana i likierów, komplety talerzy i półmisek, filiżanki, spodeczki i temu podobne. A tych kredensów było pięć.

Mijał skrzynie wypełnione po brzegi setkami kilogramów kartofli, cebuli, jabłek; gapił się na koszyki pełne sezonowych owoców; przystawał, by przyjrzeć się bacznie stosom serów nagromadzonych w kącie, a niektóre były tak wielkie jak młyńskie koła.

Otworzył po kolei wszystkie sześć chłodni i ujrzał niewiarygodne ilości masła i śmietanki, z pół tony baraniny, całe polcie

trzech wołów, siedem tuzinów homarów i bez liku przeróżnych śródziemnomorskich ryb. Jedną wielką chłodnię wypełniały tłuste gołębie, słonki, głuszce i piersi kurcząt.

Na dłużej przystanął przed półkami z winem. Były tam wina z Piemontu przypominające Burgunda, oryginalne Soave, Bardolino i Valpolicella – z okolic Werony; złote wina z Orvieto; tokańskie Chianti i wina z Sycylii barwy jasnego bursztynu. Nie brakło też win z Bordeaux i Medoców z Girondy. Naliczył osiemdziesiąt butelek Chateau d'Yquem z 1945, dwieście czternaście St. Emilion-Pomerol z 1947 i dziewięćdziesiąt pięć Montrachet z 1950; siedem marek wytrawnego szampana, cztery Chablis i sześć Vouvray. Z koniaków były tam Remy Martin, Courvoisier, Bisquit i Martell Firie Champagne. Sześć półek poświęcono Johannisbergerom, Rudesheimerom i Hochheinerom.

Łącznie, według jego oceny, znajdowało się tu z siedem tysięcy butelek.

Tymczasem księgarz przedłużał liny od windy.

– Schowaj nożyce do pudła – rozkazywał kuzynowi – i podaj mi cęgi. Nie, te większe. A teraz przytrzymaj linę, kiedy ją będę łączył.

Giovanni wędrował od kredensu do kredensu bliski całkowitego oszołomienia.

– Co za kuchnia! – powtarzał.

– Chodź! – zawołał nań księgarz. – Nie mamy tu już nic do ro-

boty. Przedłużyłem liny. Wracamy!

Giovanni zszedł pierwszy, mocno trzymając się drabiny. Księgarz przystanął jeszcze na najwyższym szczeblu, by pouczyć swego kuzyna.

– Kiedy już zejść, załóż pokrywę. Musimy sprawdzić, czy szczelnie przylega. To ogromnie ważne. *Capito?*

Po zejściu do tunelu położyli drabinę na ziemi, po czym księgarz zawołał:

– Carlo, załóż pokrywę!

Ujął się pod boki, zadarł w górę głowę i niespokojnie ssał dolną wargę. Giovanni stał przy nim spoglądając na otwór w podłodze kuchni.

Po chwili ujrzeli wysoko nad sobą w mocnych rękach młodzieńca drewnianą pokrywę, którą zmajstrował księgarz. A kiedy przysłoniła ona otwór pod tacą windy, odcinając światło padające z kuchni URITI, ogarnęły ich ciemności. Na rozkaz księgarza Carlo zdjął pokrywę i światło znów rozjaśniło szare ściany szybu.

– Czy otwory pasują do lin? – zawołał księgarz. – Czy nie są duże? Przyjrzyj się dobrze.

Carlo znów opuścił pokrywę. Po chwili uniósł ją i odparł pochylając się nad otworem:

– Świetnie pasują. Jak ulał! Pokrywa też całkowicie zakrywa wylot. Nawet ja nie podejrzewałbym jego istnienia.

– Rozumiesz chyba – rzekł księgarz – że pokrywę powinienes

zdejmować tylko wtedy, kiedy będzie potrzeba, w żadnym innym wypadku. Pojąłeś, co?

– Pojąłem – odparł młodzieniec.

– Dobrze. A teraz nie zamykaj jeszcze/otworu. Spróbujemy, jak działa winda.

Giovanni przykląkł i pomrukując coś pod nosem mocował się z liną. Przeczącym ruchem głowy odpowiedział na propozycję księgarza, który chciał mu pomóc, i znów coś mrucząc mocno naciągał linę dopóki nie wpadła w rowek na jednym z dwóch stalowych wielokrążków. Księgarz jeszcze zaprzeszłej nocy wbetonował je w podłogę tunelu, a przedłużając linę windy nie pomylił się nawet o centymetr: pasowała znakomicie. Długa na pięć metrów i sięgająca dawniej z jadalni restauracji do kuchni, teraz miała dziewięć metrów i biegła od wspomnianej jadalni aż do wielokrążków w tunelu.

Giovanni zabrał się do zakładania liny na drugi wielokrążek.

– Kiedyś – rozmyślał głośno – i ja będę miał taką kuchnię w mojej restauracji..

– W pewnym sensie już ją masz, bo ta kuchnia równie dobrze jest twoja – uśmiechnął się księgarz. – A raczej będzie nią od dzisiejszego obiadu począwszy

Lina była założona. Giovanni wstał i otarł pył z rąk.

– *Tutto finito* – rzekł. – Można już z niej korzystać. Spróbujemy?

– Zastanawiam się, czy masz pod ręką jakiś bloczek zamówie-

niowy?

– W kuchni pewnie leży ich cały stos. Po oddaleniu kucharza już mi nie były potrzebne.

– Chodź, przyniesiemy któryś z nich i prześlemy zlecenie w górę. Niech się Carlo przyzwyczaja – rzekł księgarz. – Sporo ich teraz będzie widywał. Nie daj Boże, aby pomylił twoje z tymi z URITI.

Poszli długim tunelem, wspięli się po schodach do piwnicy trattorii i rażno wkroczyli na górze do kuchni Giovanniego. Po krótkich poszukiwaniach znaleźli plik bloczków.

– Czego byś się napił? – zapytał księgarz.

Giovanni poskrobał się w brodę.

– Strega – rzekł po namyśle.

Poślinił ołówek i napisał na kartce wydartej z bloczku: „Ześlij nam dwa duże Strega.”

Wrócili do piwnicy, przeszli wąskim korytarzem między workami pełnymi tufu, znów zeszli po nowych, betonowych schodach i powędrowali tunelem pod rezydencją signory Pandolfi, pod księgarnią, sklepami złotnika i zieleniarza i ponad grobowcem spoczywającego w spokoju etruskiego wojownika.

Księgarz przyczepił zamówienie do liny i szarpnął nią trzy razy. Ledwie ją puścił, bez szmeru jęła posuwać się w górę wraz z przyczepioną do niej kartką. Po chwili znów zadrgała i winda zjednała w dół: stała na niej mała, srebrna taca z dwoma szklaneczkami

jasnożółtego trunku.

Księgarz podał jedną z nich Giovanniemu, sam wziął drugą i znów trzy razy pociągnął za linę: taca windy natychmiast pojechała w górę i zniknęła w otworze.

– Załóż pokrywę – krzyknął księgarz do młodzieńca – i idź spać! Musisz porządnie wypocząć, bo się dziś napracujesz w porze obiadowej.

Odwrócił się do Giovanniego. Z dumą spoglądali obaj w głąb jasno oświetlonego przekopu.

– Szkoda tylko, że jest taki wilgotny – westchnął księgarz. Dotknął szarej ściany i stał z niej grube krople wilgoci. – Myślę jednak, że w najbliższej przyszłości uda mi się w pewnym stopniu i temu zaradzić.

Stuknęli się kieliszkami. Toast wydawał się jak najbardziej namiejscu.

– Za powodzenie twojej trattorii – rzekł księgarz.

– A ja piję za tego profesora, który nauczył ciebie prawa Breachy'ego.

Księgarz postawił puste szklaneczki obok wielokrążków.

– Nie zapomnijmy odesłać ich jeszcze przed obiadem – rzekł. – Byłoby nieszlachetnie z naszej strony, gdybyśmy ukradli im kryształy.

Zgasili światło w tunelu i weszli do piwnicy trattorii. Ramię w ramię przemaszerowali przez małą jadalnię restauracji Giovanniego i

wyszli na ulicę Skrybów. Gwiazdy zgasły na niebie. Jaskółki latały nad dachami domów. Ulica jeszcze spała.

– No, a teraz do łóżka – powiedział księgarz. Uścisnęli sobie ręce.

– Spij dobrze, Giovanni. Niech ci się śnią tłumy klientów, kupa pieniędzy i klęska restauracji URITI.

Tej nocy Giovanni miał sny. Wykąpał się, wdział nocną koszulę i zasnął prawie natychmiast. Miał sny, ale były to sny o Etruskach.

Część druga

Zgodnie z depeszą Associated Press, która ukazała się w prasie wkrótce po wykryciu przestępstwa, sir Geoffrey Treacle, dziekan Wydziału Teozofii Uniwersytetu w Cambridge, miał oświadczyć, że restaurator padł ofiarą drapieżnych, złych duchów. Najstynniejszy psychoanalityk z Kairu, niejaki Ibrahim Ali, wysunął tezę, że Giovanni Venturi już w dzieciństwie cierpiał na brak równowagi psychicznej. Zieleniarz uważał, że księgarz był wielkim człowiekiem. Złotnik zgadzał się z nim, ale zaryzykował uwagę, że chyba tylko przekorny los mógł uczynić zbrodniarza z Giovanniego Venturi.

Tego ranka budzik dzwonił głośno i długo. Potem pobrzączał jeszcze chwilę i ucichł. Giovanni z trudem otworzył oczy. Jedenasta.

Nasunął koce na głowę. Początkowo nie mógł sobie przypomnieć, czemu nastawił budzik przed położeniem się spać. „Pomyłka” – myślał zaspany i próbował znów usnąć. A potem przypomniał sobie. Tunel już jest gotowy: za parę godzin kuchnia restauracji URITI po raz pierwszy zacznie wysyłać dania i trunki w dół, do przekopu. Od dawna oczekiwany triumf był tuż!

Wstał, ogolił się, umył, wdział najlepszy garnitur, wyszczotkował i wypomadował wąsy, natarł twarz wodą kolońską. Zanucił nawet kilka taktów z „Rigoletto”, co prawda z niezbyt udanym wynikiem, ale dziś nic nie mogło go speszzyć, i w świetnym humorze podreptał do jadalni.

Księgarz już wstał. Przystroił się w jaskrawą kamizelkę i świąteczną marynarkę. Kroczył lekko i zwinnie.

Razem wstąpili do kiosku z kwiatami, by przyozdobić sobie butonierki, potem udali się do baru i zamówili dwie duże białe kawy. Zjedli też po parę świeżutkich brioszek.

– Sądzę, że moglibyśmy wypić po małym kieliszku koniaku – rzekł księgarz.

– Dobra myśl.

Wypili jednak po kilka. Gdy potem wracali do trattorii, Giovanniemu świat wydał się piękny.

Bezkresne niebo było błękitne i pogodne, twarze mijanych bliźnich promieniały życzliwością, a powietrze, które wdychał, miało krzepiącą świeżość. Szedł i gwizdał arię z Verdiego.

Znalazłszy się przed trattorią zdjął napis „Zamknięte z powodu remontu” i zawiesił inny: „Otwarte po remoncie”.

Następnie obaj przyjaciele udali się do jadalni i zeszli do piwnicy.

– Która godzina? – zapytał księgarz.

– Parę minut po dwunastej.

– To za wcześnie. Kuchnia URITI jeszcze nie wydaje posiłków. Napijmy się więc, póki co, po szklaneczce wina.

Wybrali butelkę białego Chianti, znieśli ją do tunelu, zapalili światło i siedli na wilgotnej podłodze u podnóża windy. Giovanni odkorkował butelkę i napełnił szklaneczki.

– Należałoby chyba uprzedzić Carlo – powiedział księgarz i sięgnął po bloczek zamówień. Naskrobał parę słów, przyczepił kartkę do liny i pociągnął za nią trzykrotnie. Utkwili wzrok w ciemnej głębi szybu. Pokrywa w podłodze kuchni URITI poruszyła się i zniknęła, a z otworu wyjrzał ku nim Carlo. Uśmiechnął się, porozumiewawczo pokiwał głową i pociągnął linę do siebie. Kartka z bloczka unosiła się szybko, niby biały motyl trzepoczący się wśród szarych wapiennych ścian. Wróciła jednak po pół minucie. Carlo pisał: „Kucharze już się uwijają. Za dwadzieścia pięć minut możecie przysłać zlecenia. Załączam dzisiejszy jadłospis”.

Księgarz odczepił jadłospis z zacisku na linie, włożył okulary i zaczął czytać.

– Czuję, jak mi apetyt rośnie – oznajmił po chwili. – Co byś

powiedział na świeżego łososia, młodego gołąbka, sałatę i Camembert?

– Zgadzam się z przyjemnością – odparł Giovanni.

Księgarz zwinął jadłospis i podał mu.

– Trzeba to przepisać na twój blankiet, zanim zjawią się pierwsi goście. Pamiętaj, żeby nikt nigdy nie zobaczył u ciebie jadłospisu URITI. – Zdjął okulary, obciągnął kamizelkę i uniósł szklaneczkę. – Za pomyślność! – rzekł.

– Za pomyślność! – z zapalem odparł Giovanni.

Księgarz jednak nie spełnił toastu. Osłupiałym wzrokiem patrzył w dół tunelu. Sapnął, przerażenie wykrzywiło mu rysy: jego kanciasta twarz przypominała lustro, które, uderzone młotkiem, lada chwila ma się rozprysnąć.

Giovanni odwrócił się.

Od paru minut, nie zastanawiając się nad tym, słyszał niewyraźny, lecz dość dźwięczny łoskot, jakby od strony swojej piwnicy. Bagatelizował go jednak sądząc, że to odległy hałas z ulicy. Ale teraz uprzytomnił sobie, że owe dźwięki płyną ze środka tunelu. Wytrzeszczył oczy; odgłos był coraz wyraźniejszy. Poczul, jak serce mu zamiera. Zrozumiał nagle, że ktoś nad nimi przekopuje się w dół. Z pułapu, o jakieś dwadzieścia pięć metrów od miejsca, gdzie siedzieli, spadały kawałki wapiennej skały. Osłupiały słuchał uważnie: metaliczne tap, tap, tap – stuk kilofa w miękkie podłoże – dolatywało do jego uszu. Jak zahipnotyzowany patrzył na kawał wapienia, który

zakołysał się i oderwał od stropu tunelu. A kiedy pył opadł, zdumiał się na widok staroświeckiej oliwnej lampy z wolna opuszczającej się z wybitego otworu. Trzymana w chudej, kościstej dłoni kołysała się na boki, w przód i w tył; jasny żółtawoczerwony blask padł na wilgotne ściany. Po chwili z otworu wyjrzała malutka głowa pokryta zmierzwionymi kosmykami siwych włosów. Wyjrzała i zniknęła. Potem ukazała się para zgrabnych pantofelków na wysokich obcasach, dwie szczudłowate nogi i czarna spódnica, która wydeła się jak balon, a wreszcie jakaś zasuszona postać zeskoczyła w dół wykopu.

– O Boże, tylko nie ona! – łamiącym się głosem jęknął pobladły księgarz i wcisnął się w niszę u podstawy windy. Echo powtórzyło jego jęki. Chuda postać uniosła lampę; poznała księgarza i ucieszyła się na jego widok. Z uniesioną lampą zwawo podbiegła ku niemu.

– *Tesoro mio!* – wołała radośnie. – Skarbie mój!

Dopadła księgarza i zarzuciła mu ręce na szyję. Giovanni, gdy go mijała, ujrzał pokrytą zmarszczkami twarz, uróżowane policzki i błyszczące oczy.

– A wy co tu robicie? – zapytała, kiedy księgarzowi udało się nareszcie uwolnić z jej objęć. Uniosła lampę i bacznie przyjrzała się obu przyjaciółom, a później wielokrążkom i linom. Dotknęła bloczków z zamówieniami. Rzuciła spojrzenie w górę szybu. – Gadajcie, co się tu dzieje? Zaniemówiliście obaj?

Księgarz daremnie próbował zdobyć się na pewny siebie

uśmiech.

– My... hm... – dukał.

A ona przysunęła lampę do jego nosa.

– Kłamiesz – powiedziała i zagdakała radośnie. – Potem zwróciła swoją uwagę na Giovanniego: – A to kto?

Księgarz zakasłał głucho i odchrząknął.

– Myślę, że... hm... on się nazywa Venturi. Właściwie: Giovanni Venturi.

– Słyszałam o panu. Bankrut, co? – powiedziała ta leciwa dama przyglądając się twarzy restauratora.

– Przyszliśmy tu... hm... żeby się napić wina – zdobył się wreszcie na jakieś wyjaśnienie księgarz. – Temperatura tutaj doskonale sprzyja picciu białego wina. Hm... hm... sublimuje w nim ducha estrów. Dodaje bukietu. Wpływa na szybsze osiadanie protein.

Spojrzała na jego ręce; drżały nerwowo wychlapując wino ze szklaneczki.

– Kłamiesz jak najęty! Bzdura! Dorwaliście się do kuchni tam w górze! Nie mydl mi oczu, wstrętny chłopcze – uszczypnęła księgarza w policzek i uśmiechnęła się rozbawiona. – Wspaniale! Ubóstwiam takie podniecające historie.

Dwaj przyjaciele na uginających się nogach opuścili tunel i weszli do jadalni Giovanniego, aby się tam zastanowić nad niespo-

dziewanym rozwojem wypadków. Wino zupełnie wyparowało im z głów.

– Jak się to stało, u diabła?

– Jak żyję, nie byłem jeszcze w takich opałach – przyznał się księgarz. Jego oczy błyszczały niespokojnie. – Kopaliśmy przecież głęboko pod jej domem, w dodatku tylko wtedy, kiedy jej nie było. Nie zaniedbaliśmy niczego – potrząsnął głową. – Platon powiedział kiedyś, że prawdziwego filozofa nic nie może zadziwić. Nieprawda. Mnie zadziwiło.

Kiedy tak ponuro rozpatrywali tę sprawę, drzwi się otworzyły i jakiś człowiek wszedł do trattorii. Był to mężczyzna wysoki, o szczerym wyrazie twarzy i wyglądzie prawdziwego dżentelmena. Pod pachą niósł przewodnik po Rzymie. A kiedy ani Giovanni, ani księgarz nie zdradzili najmniejszego zainteresowania jego obecnością, zakasłał dyskretnie.

– Przepraszam, czy mógłbym tu coś zjeść? – spytał po angielsku i wskazał najpierw na szeroko otwarte usta, a potem na swój żołądek.

– Co on mówi? – zapytał Giovanni księgarza. Księgarz uniósł głowę, spojrział na obcego i apatycznie znów ukrył twarz w dłoniach.

– To chyba Anglik. Mówi, że jest głodny. *Digli di pensare ai casi suoi*. Powiedz mu, żeby się wynosił i nie zawracał: nam głowy. Dość mamy własnych kłopotów, żeby się jeszcze nim zajmować.

– Jeść? – z nadzieją w głosie zapytał Anglik i znów wskazał na

otwarte usta.

Giovanni westchnął. Odezwało się w nim jego zawodowe sumienie. Wskazał przybyszowi stolik, nakrył go serwetką, położył sztućce i zamyślił się, co dalej począć.

– *Cosa vuole per cominciare?* (Od czego chciałby pan zacząć?) – zapytał wreszcie i zabrał się do studiowania jadłospisu z restauracji URITI, przesłanego przez Carlo. Było tego parę kartek. – Dzisiaj mamy... *Oggi si sono...* – czytał głośno nazwy kilkunastu zakąsek, długą listę zup i potraw z makaronu. Anglikowi udało się w końcu zrozumieć jedno słowo: spaghetti.

– *Vino?* – zapytał Giovanni.

Anglik skinął głową z zadowoleniem. Przeszkoda językowa raz jeszcze została usunięta.

Giovanni zszedł do piwnicy. Księgarz, który podreptał za nim, chwycił go za rękę.

– Chcesz go obsłużyć? To rzecz ryzykowna. Cały nasz plan opierał się na tajemnicy. Szaleństwem byłoby, gdybyśmy nadal przy nim trwali. Ta stara wiedźma może akurat telefonuje do policji. Musimy natychmiast zatkać szyb i zasypać tunel wyłupanym tufem. To nasz jedyny ratunek.

Ale Giovanni był upartym człowiekiem.

– Powinniśmy doprowadzić wszystko do końca – odparł.

Zszedł pierwszy do tunelu i ruszyli naprzód, ale nagle zatrzymali się jak wryci. Chmura szarego pyłu wypełniała cały przekop; z

jego środka dolatywał szum pracującego silnika. Przytknęli chustki do ust i szli dalej w tumanach kurzu. Mniej więcej w połowie drogi o mały włos nie zderzyli się z signorą Pandolfi, która odkurzaczem metodycznie, cal po calu, czyściła podłogę podziemnego chodnika. Długi czarny kabel włókł się za nią i ginął w otworze, który wybiła jakieś pół godziny temu.

Księgarz schylił się i wyłączył odkurzacza.

– Co pani robi? – syknął. – Czy pani nie rozumie, że ten hałas mogą usłyszeć tam na górze, w kuchni URITI?

– Nie pleć głupstw – powiedziała signora Pandolfi i odepchnąwszy go wskazała na Giovanniego, który aż zakrztusił się kurzem. – Ten idiota robi więcej hałasu niż mój odkurzacza. Wiedz też, że nie mogę tolerować takiego brudu. Odwaliliście porządniejszy kawał roboty, niż mogłam się po was spodziewać, przyznaję to, ale teraz potrzeba tu kobiecej ręki. Nie poznacie tunelu, kiedy go wypucuję, położę na ziemi parę dywanów i zawieszę kilka obrazów na tych gołych ścianach.

Księgarz zaczął gwałtownie kichać.

– A poza tym tam w kuchni panuje teraz taki gwałt, że nikt nie usłyszy tego słabego szmeru. – Włączyła odkurzacza i powróciła do przerwanej pracy. Giovanni i księgarz szli krok w krok za nią.

– Skąd pani wie, co się tam teraz dzieje w kuchni? – dopytywał się księgarz.

Signora w postawie wyprostowanej sięgała mu ledwie do pier-

si, choć był niski. Teraz znacząco stuknęła w tę pierś palcem.

– Zdażyłam przewąchać, jak sprawy stoją w tej knajpie. Bo skądbym wiedziała? – Podąła odkurzacz Giovanniemu. – Z ciebie chłop jak byk. Bierz się do odkurzania stropu. Jest diabelnie brudny.

Księgarz chwycił odkurzacz, wyłączył go i z całej siły szarpnął za kabel.

– Proszę usiąść! – rozkazał. – Chcę pani zadać kilka pytań.

– Nie wygłupiaj się – łagodnie odparła signora Pandolfi. – Pewnie chcesz wiedzieć, jak wpadłam na waszą słodką tajemnicę, prawda? To bardzo proste. Osiem lat temu obraził mnie śmieciarz, a ja – rzecz jasna – wysypałam nań z okna kubel śmieci. Przysiągł, że już nigdy nie wróci. Od tego czasu musiałam więc zakopywać śmieci w piwnicy. Przez osiem lat można wykopać głęboki dół, toteż od wielu tygodni już wysłuchiwałam waszych rozmów. Ten facet – wskazała na Giovanniego – gada takim basem, że słyhać go na pięć kilometrów. A ty masz brzydki zwyczaj stękania przy mówieniu, ale i tak słyszałam prawie każde wasze słowo – zachichotała. – To chyba najbardziej podniecająca rzecz, jaka mi się kiedykolwiek przytrafiła. Nie obawiajcie się, że was wydam. Nie macie pojęcia, jak się nudzę od śmierci mojego czwartego męża. Ktoś doradził mi, abym czytała wiersze dla rozrywki. Próbowałam. Gdybyście wiedzieli, jakie glindy ludzie drukują! Potem powiedziano mi, że gra na klawesynie świetnie absorbuje umysł. Przez wiele lat brałam lekcje, ale moja nauczycielka zerwała sobie głos na jakimś madrygale i odeszła na

emeryturę. – Z rozmachem palnęła księgarza w plecy. – Nie wyobrazasz sobie, kochasiu, co to za rozkosz znowu być czynną. No, do roboty!

Pobiegła w górę tunelu i stanęła pod wybitym przez siebie otworem.

– Chodź no tu! – zawołała. – Nie, nie ty, ten gruby. Jak masz na imię? Giovanni? – milczała chwilę. – Dobrze. Stań no tu. Pochyl się.

Kiedy osłupiały Giovanni pochylił się posłusznie, chwyciła go za włosy, wdrapała mu się na ramiona i wśliznęła w otwór. Ale zaraz zeskoczyła znowu na dół.

– Wsadziłam wtyczkę w kontakt. A. teraz nie waż mi się ruszać odkurzacza! – ostrzegła księgarza. Włączyła prąd i zabrała się do czyszczenia ścian. – Zobaczycie – zarżała przekrzykując hałas – jaki ten tunel będzie czysty za tydzień.

W kwadrans później wyłączyła odkurzacz zadowolona z osiągniętych wyników. We troje usadowili się u podnóża windy czekając, aż kurz opadnie. I wtedy Giovarini przypomniał sobie o gościu w swojej trattorii.

– Zapomniałem, że mamy już pierwszego klienta – rzekł.

Księgarz zdawał się myślać błędnie gdzie indziej.

– Klienta? – z ożywieniem zapytała signora Pandolfi. – Co to za jeden i co zamówił?

– Obcokrajowiec – odparł Giovanni. – Nie mówi po włosku.

Jedyne słowa, które zna, to *spaghetti* i *vino*.

– Powinieneś mieć angielski jadłospis. Mamy tu pełno obco-krajowców – z niezadowoleniem pokiwała głową. – To jeszcze jedno ulepszenie, które muszę wprowadzić. Naprawdę, nie przemyśleliście wszystkiego do końca. Dobrze, teraz już ja się tym zajmę.

Napisała zamówienie, przyczepiła je do liny i szarpnęła nią trzykrotnie. Biała kartka zniknęła w ciemnym szybie. Po chwili liny znowu zadrzały i winda zjechała w dół. Na tacy stał kopiasty półmisek makaronu polanego mięsnym sosem, pleciony koszycek z pieczywem i karafka czerwonego wina.

Signora Pandolfi zerwała się, pochwyciła półmisek i zanurzyła palec w gęstym sosie.

– Niezły – powiedziała oblizując palec. – Trzymaj! – podawała kolejno księgarzowi *spaghetti*, pieczywo i wino. – Weź to i zanieś Anglikowi. A nie zapomnij włożyć przedtem fartucha.

Księgarz, który poruszał się jak lunatyk, sprawiał wrażenie nieprzytomnego. Wyprostował się i z dumą splótł ramiona.

– Nie jestem przyzwyczajony, proszę pani, do wysłuchiwania podobnych rozkazów – rzekł wyniośle.

Signora Pandolfi nawet nie odpowiedziała. Wetknęła mu w ręce tacę i popchnęła w stronę wyjścia.

– Prędko! – powiedziała bez ceremonii.

Księgarz znikł w kurzu, który wciąż jeszcze wypełniał tunel.

– Zapomniałam o serze do *spaghetti*! – prawie natychmiast

wykrzyknęła signora. – Daj mi blankiet na zamówienie! – rozkazała Giovanniemu.

Skreśliła nowe zlecenie, przyczepiła je do liny i szarpnęła nią trzy razy. A gdy zlecenie jak zwykle powędrowało w górę szybu, spojrzała przez ramię na Giovanniego. – Szybko – powiedziała – biegnij do siebie i przynieś parę własnych półmisków i tarkę.

Usłuchał bez słowa. W kuchni trattorii ujrzał księgarza, który w półomdlały, ze szklanym wzrokiem siedział na krzeselku. Strojna kamizelka dziwnie nie pasowała do białego fartucha, którym był przepasany.

Anglik nabierał pełne usta makaronu, żuł go pracowicie i czytał przy tym przewodnik. Zdążył już opróżnić karafkę. Ujrawszy Giovanniego oderwał się od czytania i spojrział nań błagalnie.

Giovanni porozumiewawczo skinął głową, wziął tarkę z kuchni, zabrał kilka półmisków i wrócił do tunelu.

Signora Pandolfi siedziała u podnóża windy. Dwa wielkie sery parmezańskie – z tych, których całe stosy widział Giovanni poprzedniej nocy w kuchni URITI – leżały koło niej. Na ten widok wytrzeszczył oczy.

– Ale... po co aż tyle sera? – zapytał.

Przez chwilę przypatrywała mu się w milczeniu. Potem kąciki jej ust opuściły się z dezaprobatą. Nowe zmarszczki pojawiły się na jej twarzy.

– Mam nadzieję, że nie okażesz się największym idiotą, jakie-

go znałam. Tyle tylko mogę powiedzieć, nic więcej. Im dłużej tu siedzę, tym bardziej się dziwię, że potrafiliście przekopać ten tunel. Rusz głową, człowieku. Nie chciałbyś zrobić interesu na wielką skalę? A jak się chce coś zrobić na wielką skalę, musi się też myśleć na wielką skalę. Tak mawiał mój drugi mąż, jedyny z całej czwórki, który miał odrobinę oleju w głowie. – Odebrała mu półmiski. – Rób zapasy! To najpilniejsze. Zgromadź, ile się da, zanim tamci się połączą, że coś jest nie w porządku. Zawsze atakuj – mawiał mój drugi mąż.

Kazała mu utrzyć sera na mały półmisek.

– Dobrze. Już jest pełny. Teraz podaj to temu zagranicznikowi. I przyślij mi tu zaraz swojego przyjaciela.

Kiwnięciem głowy dał znać, że zrozumiał, i rzekł:

– Ten Anglik... chce jeszcze wina.

Signora Pandolfi skreśliła nowe polecenie i jakby zapomniała o istnieniu Giovanniego.

A Giovanni tymczasem brnął wśród kurzu do swojej piwnicy i do kuchni. Ujrawszy księgarza, który wciąż jeszcze siedział zgarbiony na tym samym krzeselku, podszedł i przepaszającym ruchem klepnął go po ramieniu. Księgarz drgnął.

– Woła cię – wyjaśnił Giovanni.

Księgarz kilka razy nerwowo przełknął ślinę i wstał. Giovanni zaś podał Anglikowi półmисeczek z serem, zabrał pustą karafkę i wyszedł przed trattorię. Na ulicy rozejrzał się wkoło i szybkim ru-

chem, zdjął napis „Otwarte”. Wrócił, wetknął napis za zlew w kuchni i zszedł do tunelu.

W pół drogi spotkał księgarza, który niby udręczone, juczne zwierzę, dźwigał na przygarbionych ramionach skrzynkę z białym Velletri, uginając się pod jej ciężarem. Usta mu drżały, wzrok miał błędny, dygotał na całym ciele i w konwulsyjnych podskokach zdążył w kierunku piwnicy Giovanniego.

Signora Pandolfi szybko i zwinnie opróżniła tacę windy z kilkunastu butelek mozelskiego wina. U jej nóg stało już ponad pięćdziesiąt butelek: Chateau Lafite-Rothschild 1945, Chateau Latour 1947, Chateau Margaux 1943, Lacrima Christi, Falerno, czerwone Chianti, „vino negro” z Elby, reprezentacyjne okazy najlepszych roczników reńskich Hochheimerów, szlachetne gatunki Burgunda, delikatne wina z doliny Saary i Mozeli, siedem rodzajów bawarskiego Steina i cała ponętna wystawa Rieslingów, Traminerów, Sylvanerów z Alzacji. Winda poszła w górę i za chwilę zjechała. Nowy plon składał się tym razem z mieszaniny whisky Johnny Walker Black Label, wytrawnego szampana Veuve Cliquot 1947, Old Grand-Dad, Canadian Club i absyntu Pernod Fils.

Signora niecierpliwym ruchem ręki wskazała na nagromadzone wokół siebie butelki.

– Zabieraj je! Twój przyjaciel mówi, że masz regały na wino. Wsadź je tam. Ten młokos na górze zalega mi z ośmioma obstalunkami, które pewnie zaraz tu ześle.

Otarła czoło w rąbek spódnicy i niespokojnym wzrokiem spojrziała w głąb tunelu.

– Twój przyjaciel to mięczak. Potrzebuje pięciu minut na odniesienie małej skrzyneczki wina – znacząco pokiwała palcem. – Coś mi się zdaje, że wybrałaś sobie złego partnera. Jest niewytrzymały. – Stuknęła się w czoło knykciami palców. – Co z wami jest, mężczyźni? Nie spotkałam jeszcze ani jednego z odpowiednią dozą krzepy. Weź chociażby mnie dla przykładu. Miałam czterech mężów. Mogłoby się zdawać, że chociaż jeden powinien być mieć mocny charakter. Ale gdzie tam! Dwaj byli dość czarujący, jeden miał nawet trochę oleju w głowie, to muszę mu przyznać. Oczywiście wszyscy byli bogaci, bo inaczej bym za nich nigdy nie wyszła. Ale wytrzymałość? Jeden wytrzymał trzy lata, to było maksimum. A mój pierwszy mąż – strzeliła palcami – puf! Zgasł po siedmiu miesiącach.

Księgarz, wciąż jeszcze przygarbiony, wyłonił się z głębi korytarza. Winda zjeżdżała. Giovanni zaniósł do swojej piwnicy okazałe naręczce butelek. A kiedy znów wrócił, niezmordowana signora Pandolfi przekładała pół smażonego, kurczaka *alla diavola*, szynkę z zielonym groszkiem, pieczone kartofle polane pieczarkowym sosem oraz sałatkę w pucharku z wytwornej zastawy restauracji URITI na proste białe naczynia trattorii Giovanniego. Potem wepchnęła mu je w ręce, wsadziła mu do kieszeni karafkę z winem i powiedziała:

– Zanieś to temu Anglikowi. Pewnie się niecierpliwi. I popiesz się! – Odsunęła kosmyk wilgotnych, siwych włosów ze spo-

conego czoła.

– Prędeż! – krzyknęła na księgarza, który był dopiero w połowie tunelu, i ustawiła z powrotem restauracyjne półmiski na tacy windy. – Popęłniliśmy jeden błąd – powiedziała. – Spaghetti podaliśmy Anglikowi na półmisku, na którym były aż trzy znaki restauracji URITI. No nic, miejmy nadzieję, że nie zwrócił na to uwagi. – Z dezaprobatą spojrzała na porcelanę trattorii Giovanniego. – Ta zastawa jest do niczego – stwierdziła. – Nie masz gustu. Jutro zamówię nową. Już mnie to zostaw.

Giovanni zaniósł dalsze cztery partie butelek wina do swojej piwnicy. Potem wszedł na górę, by zajrzeć do jadalni. Wysoki Anglik skinął nań 'widelcem.

– Bardzo smaczne! – rzekł z ustami pełnymi kurczęcia.

– Nie ma jeszcze żadnych nowych gości? – zapytała signora Pandolfi, kiedy Giovanni znów zszedł do tunelu.

Przyznał się, że zdjął napis znad drzwi.

– Zwariowałeś! – zaperzyła się. – W taki sposób nigdy nie dojdziemy do pieniędzy! – Wysłała zamówienie na kilogram truflii i na rozmaite przyprawy. – Dowiedziałam się, że tam na górze robią remanent tylko raz na kwartał i że są właśnie po remanencie. Trudno o lepszą chwilę na robienie zapasów. Nie wolno nam tego przegapić.

Giovanni bez przerwy prznosił butelki z winem do swojej piwnicy. Zaczynała to być imponująca kolekcja. Drapał się więc w głowę i uśmiechał. Humor poprawiał mu się z minuty na minutę.

„Wcale miła starowinka – myślał. – Trzeba też przyznać, że ma genialne pomysły”.

Zajrzał do jadalni, gdzie Anglik uporał się już z kurczęciem i właśnie nakładał kapelusz. Przerzucił więc kartę URITI, by zorientować się w cenach, i przygotował mu rachunek. Anglik wyłożył dwa razy tyle, ile się należało, i nie żądał reszty.

– Tak dobrze nigdy jeszcze nie jadłem w Rzymie – rzekł.

Giovanni z wdzięcznym uśmiechem odprowadził go aż do wyjścia. Po chwili w drzwiach kuchni zjawił się księgarz.

– Źle się czuję. Chyba pójdę się położyć – rzekł.

Po oczach widać było, że jest chory: twarz mu się wydłużyła, policzki zapadły. Ospałym ruchem zdjął fartuch, złożył go i wyszedł zgarbiony.

W ciągu kilku następnych godzin Giovanni wyładował z windy i zniósł do siebie następujące ilości trunków: dwie pełne skrzynki koniaku Courvoisier V.S.O.P., skrzynkę Armagnac'u, dwie skrzynki sherry Manzanilla, osiemnaście butelek wódki, czternaście flaszek Benedictine'a i dziesięć Creme de Menthe.

Zadyszał się, spociał i wygniótł odświętne ubranie, ale za to był w świetnym humorze.

– Głodny jesteś? – zaświegotała signora Pandolfi. – Z satysfakcją patrzę, jak się pocisz, bo jesteś za tęgi. Mimo to jednak nie ma powodu, abyś nie jadł. Zasłużyłeś na obiad. Może zjemy razem? Zamówiłam dla siebie sałatkę z homara i kawałek tortu.

– Chcieliśmy, księgarz i ja, zamówić sobie gołąbka.

– A gdzie się podział księgarz? Czuję, że czegoś mi tu brak – rzuciła spojrzenie w głąb tunelu.

– Powiedział, że się źle czuje, i poszedł do domu.

Pogroziła mu palcem.

– Mówiłam, że nie grzeszy wytrwałością. A szkoda, myślałam, że pójdziemy wieczorem gdzieś potańczyć.

Zamówiła gołąbka, który zjechał niebawem windą wraz z dużą porcją sałatki z homara, bukietem z jarzyn i paroma kawałkami tortu. Wtedy wydarła z bloczka nową karteczkę, napisała na niej: „Na razie dosyć. Proszę zakryć otwór” i wysłała ją w górę.

Tymczasem Giovanni przełożył potrawy na własne półmiski, zaniósł je do jadalni w trattorii i nakrył do stołu. Niemordowana signora Pandolfi z doskonałym apetytem zjadła obiad i wypła cały litr wina, prowadząc przez cały czas ożywioną rozmowę z Giovannim.

– Zdaje się, że cię polubię – wyznała. – Dochodzę do wniosku, że mimo wszystko nie jesteś takim znowu idiotą. *Meno male*. Dziś rano nie dałabym za ciebie złamanego grosza, kiedy tak łąziłeś, tu i tam, z wybałuszonymi oczami.

Potem pomogła Giovanniemu zmyć naczynia.

– Wieczorem nakryj stoły – powiedziała. – Będziemy musieli popracować solidnie i mądrze. Ściągnij też księgarza najpóźniej na szóstą, abyśmy mogli udzielić mu instrukcji. Powinniśmy też zrobić

generalną próbę. Sądzę, że tak podzielimy pracę: ty, jako właściciel trattorii, oczywiście musisz pozostać w jadalni, witać gości i przyjmować obstalunki. Księgarz niech zajmie stanowisko na schodach z piwnicy do tunelu. Kiedy już zbierzesz zamówienia, przejdiesz przez kuchnię i oddasz je księgarzowi, który przybiegnie do mnie, abym je przesłała na górę. Ja zajmę się windą i przekładaniem potraw na twoje półmiski, a on odniesie je tobie. – Bacznie rozejrzała się po jadalni. – To ponura salka. Trzeba się nią zająć. Wymaga kobiecej ręki. Widzę, że będę musiała tu dużo zmienić.

Kazała się odprowadzić do tunelu, pod otwór, który wybiła w stropie. Giovanni musiał się pochylić pod tym otworem, ona zaś zręcznie wskoczyła mu na plecy i wśliznęła się do swojej piwnicy. Już na górze odwróciła się, wysunęła pomarszczoną twarz z otworu i powiedziała rozpromieniona:

– Dziękuję za ten uroczy dzień, dawno już nie przeżyłam równie podniecających chwil.

Tak oto Giovanni Venturi rozpoczął swoją karierę przestępcy. Nieco dalej na stronkach tej kroniki dokonamy szczegółowej analizy mechanizmów, które w przygotowaniu tego przestępstwa zostały puszczane w ruch, by w końcu – w połączeniu z wieloma charakterystycznymi cechami trattorii – ze spokojnego restauratora z Zatybrza uczynić wyrafinowanego złoczyńcę, a jego skromną salę jadalną

zamienić w najbardziej wzięty lokal w całym Rzymie.

Oficjalne sprawozdanie policji o istocie i o *modus operandi* przestępstwa, podane do publicznej wiadomości przez Włoskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych w 1959 roku, wyraźnie wspomina, że tunel został przekopany ręcznie i że autorem całego zbrodniczego pomysłu był księgarz. Z zalem przyznaje też, że los drugiego winowajcy, Giovanniego Venturi, jest – i prawdopodobnie pozostanie – niezwany. Wspomniane sprawozdanie napisane jest inteligentnie, zawiera moc szczegółów, nie brak w nim humoru i zasługuje na szersze rozpowszechnienie, niż znalazło dotychczas. Niestety, nie jest jednak pracą doprowadzoną do końca: słowem, nawet nie napomyka o wielu subtelnych udoskonaleniach, które w to przestępstwo wniosła leciwa, lecz dziarska signora Luisa Pandolfi.

Policję zdumiała na przykład doskonałość tunelu. Był obszerny, dobrze przewietrzany i wykwintnie urządzony. Kosztowne dywany przykrywały podłogę. Ilość lamp, początkowo zainstalowanych przez księgarza, została z czasem potrojona, a nagie żarówki przysłonięto gustownymi, różowymi abażurami. Betonowe schody wiodące z tunelu do piwnicy i drewniane – z piwnicy do kuchni trattorii – wyłożono grubym gumowym chodnikiem, by zapobiec ewentualnemu poślizgnięciu się idącego i stłumić brzęk tłuczonych przy tym naczyń. Mogło się to łatwo zdarzyć przy szybkim przenoszeniu dań na przestrzeni kilkudziesięciu metrów, jakie dzieliły windę od jadalni trattorii. W ścianach tunelu umieszczono kilka cichych elek-

trycznych wentylatorów dla lepszej cyrkulacji powietrza. Zimą w tunelu było przytulnie i ciepło dzięki mądrze rozstawionym naftowym piecykom. Doskonale reprodukcje obrazów z Uffizi i Luwru, łącznie z aktami Modiglianiego i wieloma baletowymi scenami Degasa, dodawały jeszcze przytulności i barwy temu podziemnemu korytarzowi. A wszystko było dziełem signory Pandolfi. W październiku 1956 skłoniła ona Giovanniego do ustawienia podgrzewacza na półmiski u podstawy windy, bo – na jej gust – potrawy zsyłane z góry nie były dostatecznie gorące. W styczniu 1957 księgarz pod jej kierunkiem musiał w tym samym miejscu zainstalować kilka pojemnych kredensów dla przechowywania kompletów ozdobnej porcelany, którą od czasu do czasu wyszukiwała i nabywała dla trattorii. W maju tegoż roku ustawiła jeszcze jeden taki kredens na karafki do wina i na przyprawę. Zażądała też dwóch stołów kuchennych. Zniosła na dół wygodny fotel i półeczkę na pisma, aby umilić sobie chwile odpoczynku między dwoma porami wydawania posiłków. W listopadzie 1957 próbowała dodać do tego jeszcze radio-adapter, ale Giovanni, ostrzeżony przez Carlo, iż dźwięki jazzu, za którym przepadała, mogą docierać do kuchni restauracji URITI, urządził tak piekielną awanturę, że radio zostało usunięte i już nigdy nie powróciło na dawne miejsce. W marcu 1958 signora Pandolfi odbiła to sobie jednak wymuszając na Giovannim zgodę na zainstalowanie nowoczesnego parowego podgrzewacza do jarzyn i potraw zsyłanych na dół. Giovanni opierał się temu ponad rok, nie tyle ze

skapstwa, co przez wzgląd na estetykę.

Wspomniane ulepszenia świadczą o niezwyklej przedsiębiorczości i pomysłowości signory Pandolfi.

Rozgniewała się nie na żarty, gdy przy jakiejś okazji wyszło na jaw, że Giovanni nie zastanowił się nawet nad tym, jak w razie czego ma się tłumaczyć z takiej ilości worków z tufem w swojej piwnicy.

– Gazomierz i licznik elektryczny znajdują się pod schodami do piwnicy. Co powiesz więc inkasentowi, który przychodzi co miesiąc po należność?

– On nigdy o nic nie pyta – zapewniał Giovanni.

– Traf, ślepy traf! Przecież w najbliższym czasie może przyjść jakiś roztropniejszy inkasent, a wtedy wyda mu się dziwne, skąd w twojej piwnicy wzięło się tyle worków z tufem. – Zastanawiała się chwilę. – Wiesz, powiedz mu wtedy, że boisz się wojny, że zdenerwowały cię artykuły, które czytałeś w prasie o bombie wodorowej i samolotach odrzutowych i postanowiłeś zbudować sobie prywatny schron.

Ale w dwa dni później zaczęła go znowu.

– Wyobraźmy sobie, że inkasent przejdzie korytarzem między workami i zobaczy otwór w północnej ścianie piwnicy. Przypuśćmy, że zajrzy nawet do tunelu. Jak myślisz, ile czasu będzie wtedy potrzebował, aby wykryć prawdę? – strzeliła palcami. – *Un momentino*. Nie więcej.

W rezultacie księgarz musiał zmajstrować drzwi zasłaniające

wylot tunelu. Wywiązał się z tego sprytnie i zręcznie; był bowiem nie tylko sumiennym rzemieślnikiem-amatorem, ale i miał jeszcze, jak się to mówi, złote ręce. Drzwi te otwierano tylko w godzinach wydawania posiłków, potem zamykano je na cztery spusty. Giovanni zastawiał je nawet workami z wapieniem.

Wykonanie należało do księgarza, ale pomysły wychodziły od signory Pandolfi.

Wszystkie te środki ostrożności były całkowicie usprawiedliwione. Na szczęście jednak przedstawiciele rzymskiej gazowni i elektrowni nigdy nie zaniepokoiłi Giovanniego żadnym pytaniem.

Signora Pandolfi była zabobonną kobietą, toteż nie wcześniej, niż dopiero po roku udało się Giovanniemu nakłonić ją, by zajrzała do etruskiego grobowca, gdzie sam, coraz bardziej zapalając się do studiów nad etruską cywilizacją, spędzał większość wolnego czasu.

Musiał jednak ogrodzić wejście do niego żelazną balustradą, bo signora Pandolfi żyła pod śmiertelnym strachem, że mogłaby tam wpaść. Ale nawet i to jej nie zadowoliło, toteż trzeba było w tym miejscu poszerzyć tunel o jakieś dwa metry. Teraz już się nie bała, a grób wojownika, w przejściu między windą i kuchnią trattorii, można było obejść z daleka.

Uparła się też, aby dla wygody obcokrajowców wprowadzić jadłospis w języku angielskim. Księgarz ucieszył się, kiedy przycięta przez niego do muru wyznała wreszcie, że wcale nie zna tego języka.

– Czemu po angielsku? – pytał jadowicie. – Cóż za jasnowidzstwo skłania panią do przypuszczenia, że każdy obcokrajowiec będzie znał angielski? A dlaczego nie sporządzić jadłospisu po holendersku? Albo w języku Basków? Lub też w starocerkiewnym? Nie zominajmy także o językach północnoałańskim, berberyjskim i o hieroglifach hetyckich. A jakie lingwistyczne ułatwienia obmyślimy dla głodnych Lapończyków? Dlaczego mielibyśmy ich dyskryminować?

Ani rusz nie chciał przyłożyć ręki do realizacji tego pomysłu. Odmówił nawet udzielenia jej rabatu na włosko-angielski słownik, których wiele stało na półkach w jego księgarni. W końcu signora Pandolfi, po długich i głośnych wyrzekaniach na ździeców-księgarzy w centrum miasta, wybrała się do antykwariuszy po jakiś tani egzemplarz. Po zaciekłym, lecz skutecznym targu nabyła wreszcie za pięćdziesiąt lirów mały kieszonkowy słowniczek, który uznała za najzupełniej wystarczający dla jej celów. Wydany w 1798 roku w Paryżu, od dawna już pozbawiony okładki, najdobitniej świadczył, jak długo i .bezwzględnie z nim się obchodzono. Wymowa nie zawsze odpowiadała rzeczywistości, kilku stron brakowało, a wielu słów w ogóle nie można było przeczytać. Nie speszyło to jednak signory Pandolfi. Po trzech miesiącach mozolnej pracy przygotowała wreszcie po angielsku spis tych dań, które najczęściej pojawiały się w jadłospisie restauracji URITI.

Nie zawsze jednak udawało się jej przeforsować swoje zdanie.

W listopadzie 1958, kiedy pewnego popołudnia wtargnęła do trattorii z naręczem nowiutkich perkalowych zasłon, spotkała się z gwałtownym sprzeciwem Giovanniego.

– Ta salka jest przeraźliwie naga! Taka bezbarwna! – krzyczała, kiedy próbował wyprosić ją za drzwi. Ale Giovanni nie chciał dopuścić do żadnych zmian. Siedem dużych masywnych stolików, wielki komin z olbrzymim paleniskiem, parę solidnych mahoniowych kredensów nabytych w 1938 na jakiejś licytacji były dla niego zupełnie wystarczającą ozdobą lokalu. Nigdy nie zawieszał zasłon w jadalni i twardo postanowił, że nigdy nie będą tu wisały. Ściany były wprawdzie tylko bielone, ale bynajmniej nie nagie: zdobiły je reprodukcje przedstawiające profile Mazziniego, Garibaldiego, Cavoura, d'Annunzia i Wiktora Emanuela I, kolekcja zmatowiałych, cynowych kubków, zdjęcia niektórych monumentów i kościołów z rodzinnych stron Giovanniego oraz trzy starannie oprawione rękopisy, ofiarowane mu w porywie wdzięczności przez jakiegoś wędrownego poetę, którego całą zimę karmił i poił za darmo. Ta jadalnia przez ćwierć wieku z górą była, w całym znaczeniu tego słowa, rodzinnym gniazdem Giovanniego: każdy szczegół tutaj wywoływał w nim wzruszające wspomnienia. Już nawet potem, gdy trattoria zdobyła sobie nie byle jaki rozgłos, puszczał mimo uszu wszystkie propozycje najslawniejszych dekoratorów wnętrz, którzy chcieli nadać jadalni bardziej nowoczesny charakter.

Opis owej jadalni i wykwintnej kuchni trattorii, którego auto-

rem jest znany smakosz i znawca przedmiotu dr Karl Heinrich Toller, znajdujemy w popularnym przewodniku „Die Italienische Kochkunst” wydanym przez Stefana Tiecka (Verlagsbuchhandlung, Leipzig 1958, str. 146-147).

„Po codziennym odwiedzaniu gwarynych, barokowych i renomowanych rzymskich restauracji, moi współrodacy, Westfalczycy, niezawodnie z przyjemnością wytną w spokojnej i cichej atmosferze małej trattorii Giovanniego. Jest to lokal zaciszny, kojący ducha. Nawet najbardziej zblazowanych ludzi zachwyci jego bezpretensjonalność i panujący w nim spokój... Jadalnia nosi niezatarte piętno szczerzej i łagodnej natury jej właściciela. Jest jakby fizyczną kontynuacją wewnętrznej istoty tego człowieka. Złagodzona wiekiem skłania do rozmyślań. W tym pokoju filozof mógłby się czuć szczęśliwy... Kuchnia trattorii jest nie mniej imponująca, a bogaty wybór dań, zważywszy jej niewielkie rozmiary, musi zadziwiać... Niech mi wolno będzie uprzedzić jednak moich czytelników, że jest to najdroższa restauracja w Rzymie, a nawet może w całych Włoszech. Ceny w niej dorównują, jeśli nie przewyższają, cenom pobieranym przez najelegantsze zakłady luksusowych hoteli w pobliżu angielskiej ambasady. Jednakże – w czasie pobytu w Wiecznym Mieście każdy znawca wykwintnej kuchni winien bodaj raz wybrać się do trattorii Giovanniego. Oczywiście stolik należy zamówić z góry, bo zgodnie z przyjętym zwyczajem – o ile wiem, zwyczajem wyjątkowym i nigdzie nie spotykanym w całej południowej Europie – nie

przyjmą w tej restauracyjce gości, którzy uprzednio nie zarezerwowali sobie miejsca. W dodatku sympatyczny właściciel ogranicza swoją słynną już gościnność do niewielkiej grupki klientów. Przygodny turysta, który w godzinie posiłków zjawi się na ulicy Skrybów i bez uprzedzenia zechce zjeść w trattorii Giovanniego, narazi się tylko na rozczarowanie. Zamawianie stolików jest obowiązkowe...”

Signora Pandolfi wymogła na Giovannim, że nie będzie się podawać więcej niż dwadzieścia siedem posiłków dziennie, że wstęp do trattorii będą mieli tylko ci, którzy zamówią stoliki, a ceny potraw będą nieomal odstraszać.

– Jeżeli w południe i wieczorem będziemy mieli po dwa komplety przy wszystkich siedmiu stolikach, to codziennie wypompujemy około osiemdziesięciu dań z restauracji URITI. Innymi słowy, do nas pójdzie mniej więcej jedna dziesiąta jadła i wina, którą oni podają swoim tłumom klientów. Szybko połapią się, że ktoś ich podbiera na wielką skalę, Mimo bałaganu w kuchni zauważą, że ktoś tam kradnie na dole. Nie bądźmy zachłanni. Podbierajmy, ale dyskretnie. Zresztą nie możemy dopuścić do tego, aby za wiele tracili. Gotowi zbankrutować. I co wtedy zrobimy?

Giovanni nie znajdował rozsądnych kontrargumentów. Księgarz zaś pozwalał sobie na sarkastyczne uwagi na temat słabych stron w kobiecej logice, ale w końcu zamilkł onieśmielony postawą przyjaciela, który chętnie się zgodził z wywodami signory Pandolfi.

– Ponadto – dodała jeszcze – niezmiernie ważne jest, aby

utrudnić ludziom wstęp do nas. Nie możemy pozwolić na to, aby każdy, kto się tu włóczy w pobliżu, mógł wejść do trattorii i ni z tego, ni z owego zamówić sobie posiłek. Zapytasz go, Giovanni, czy ma zamówiony stół. Jeżeli nie ma, nic nie dostanie.

Niebawem wpadła na inny pomysł.

– URITI ustaliła swoje ceny na dostępnym poziomie. Nasze niech będą dwa razy wyższe. Zamożnych Rzymian to nie odstraszy. I pomyślcie tylko o wszystkich bogatych gwiazdach filmowych i innych sławach; ich zawsze pociąga to, co modne i co uchodzi za szykowne. Tylko zagroźcie im drogę, a za wszelką cenę będą starali się dostać do środka.

Wypadki dowiodły, że miała rację; w pierwszym miesiącu po zakończeniu pracy przy tunelu Giovanni grzecznie, ale stanowczo odprawił od drzwi siedemdziesiąt cztery osoby, które przyszły nie zapowiedziawszy się uprzednio. Oczywiście tylko dziesięć osób dopuszczonych do środka ubawiło się z tego nie pozbawionego zarzucenia przepisu. Ich próżność została mile połączona, a potrawy, które stały przed nimi, wydały im się o wiele smaczniejsze, gdy spokojnie zjadając patrzyli, jak Giovanni ruchem głowy odmawia wstępu niezapowiedzianym przybyszom. Oczywiście opowiedzieli o wszystkim swoim znajomym, toteż w następnym miesiącu Giovanni otrzymał sześćdziesiąt telefonicznych zamówień i nawet poczta przyniosła mu cztery listowne. W czerwcu 1957 trattoria miała już komplet gości.

We wrześniu w studiach filmowego miasteczka, w sanktuariach korpusu dyplomatycznego, w eleganckich cocktail-barach na Via Veneto nie mówiło się o niczym innym, jak tylko o pewnej niezwyklej trattorii na Zatybrzu. Na bulwarach miasta z zazdrością wskazywano sobie tych niewielu szczęśliwców, którym udało się do niej dostać. Redaktor działu gastronomicznego paryskiego wydania New York Herald Tribune zjadł obiad u Giovanniego i napisał o nim entuzjastyczny artykuł. Książę Agnelli, baronowa Vecchiotti, dwaj ministrowie i fotogeniczna kokota ze świty pewnego wschodniego magnata z ochotą wpisali się do oprawnej w skórę, świeżutkiej księgi gości trattorii. Jedna z gazet w rubryce wielkoświatowych ploteczek przytoczyła wypowiedź słynnego aktora filmowego z Hollywood, który miał oświadczyć: „Trattoria Giovanniego Venturi jest najbardziej godną widzenia rzeczą w całym Rzymie.” Tej jednej jedynej wzmiance należy zawdzięczać 1367 telefonicznych zamówień na stoliki.

Na początku 1958 roku signora Pandolfi znowu wystąpiła z propozycją podniesienia cen. Księgarz zaprotestował jedynie dla pozorów. Klienci natomiast nie protestowali wcale.

W maju 1957 roku zysk brutto trattorii wynosił 950 000 lirów. W styczniu 1958 nieomal się podwoił. W lipcu tegoż roku znów wykazał zwyżkę. I aż do stycznia 1959 utrzymywał się na granicy trzech milionów lirów każdego miesiąca.

Oczywiście nie był to zysk netto; były też pewne koszty, jak

światło, kwiaty na stoliki, pensja Carlo. W niektórych miesiącach wydatki te wynosiły 95 000 lirów.

Signora Pandolfi oświadczyła, że jest zupełnie zadowolona a nawet uszczęśliwiona z tego stanu rzeczy. Może byłaby mniej zachwycona, gdyby wiedziała, że do tego kolosalnego powodzenia w dużym stopniu przyczyniał się angielski jadłospis – owoc jej długich trudów – który rozweselał niektórych bywalców trattorii.

Trattoria Giovanniego

ulica Skrybów 36

Z a t y b r z e (Rzym)

Zakąski:

Sardynki przystrojone..... 500

Jajeczka jesiotra w sosie własnym..... 1200

Sandacz w majonezie..... 700

Jesiotr zmarnowany..... 800

Siateczka tuńczyka w oleju..... 700

Zupy:

Rosół z kastrowanego byka..... 450

Rosół z czaszki jesiotra..... 550

Zupa z zielonych pąków..... 350

Rosół na liściach szczawiovych z jajami puszczoneymi w kuszulkach..... 500

Zupa żółwiowa..... 600

Ryby:

Pstrągi skąpane w maśle..... 650

Pstrągi na lazurkowo..... 600

Duży skok z różną z sosem na occie..... 525

Karp nafaszerowany..... 400

Mięsiwa:

Pieczeń zaduszona po angielsku z zielonymi
grochowinkami..... 750

Świńskie odnóża..... 600

Kładka wołowa ochraniona..... 575

Kładka cielęca..... 500

Najkorzystniejsze kawałki cielęciny..... 660

Biodro jagnięcia w zielonym garniturze..... 575

Kulki cielęce z wiązanką z jarzyn..... 600

Zraziki w pościechu wysadzane..... 525

Język wołowy ochraniony..... 450

Cząber z tryka z wyostrzonym sosem..... 675

Zwijka z prosięcia..... 700

Ptactwo:

Kogut kastrowany z różną..... 725

Biust kurczęcia w maśle.....	800
Kura kapłuniona z serdelami.....	725
Słonka uduszona w słoninkowych listkach.....	900
Bażant zarumieniony.....	900

Jarzyny:

Szparagi zielone na fason zielonego grochu.....	420
Szpinak ukręcony.....	300
Karczochy warzone z masłem podpalonym.....	350
Mizerya ze śmietanką.....	250

Owoce:

Brzoskwinie, ile wlezie.....	350
Galimatias z różnych owoców.....	400
Truskawki, do woli.....	500

Desery:

Komput z morelów.....	250
Jabłkowe tchnienie.....	300
Lody pomieszane.....	500

W czasie tych trzydziestu dwóch miesięcy, które upłynęły od chwili przekopania tunelu do wykrycia przestępstwa przez rzymską policję, Giovanni Venturi stał się prawdziwym znawcą pradawnego

imperium Etrusków.

Pierwszą zimę poświęcił na uważne przestudiowanie takich podstawowych dzieł, jak „Pittura Etrusca” Festafiego, „Monumenti antichi degli Etruschi” Bernardiniego, czterech tomów „I ritratti Greci, Romani ed Etruschi” Armanniego, „La storia Etrusca” Rossiego oraz wszystkich, związanych z owym tematem, publikacji Ministerstwa Kultury.

Następnej wiosny przewertował wiele francuskich i niemieckich prac o zwyczajach, historii i sztuce tego zaginionego ludu; setki godzin spędził w dziale etruskim Muzeum Watykańskiego i zrobił kilka wycieczek w teren do pobliskich nekropoli Cerveteri i Tarquinii.

Na początku zimy 1957 i 58 roku zebrał już i przeczytał ponad pięćdziesiąt uczonych ksiąg, zwiedził wykopaliska w Chiusi, Volterra, Vetulonii, Perugii, Orvieto i Bolonii oraz w ich pobliżu, wysłuchał wykładów dyrektora fundacji Lerici o nowoczesnych metodach geofizycznych poszukiwań i nawiązał korespondencję z profesorem Angelo De Corbo z uniwersytetu w Neapolu na temat estetycznych walorów ostrołukowych sklepień etruskich grobowców w Umbrii.

W czasie tej zimy przewertował dzieła najwybitniejszych angielskich, amerykańskich i skandynawskich uczonych, toteż ilość tomów w jego bibliotece wzrosła dwukrotnie. Nawiązał też jeszcze korespondencję z dyrektorem departamentu wykopalisk w Civitavecchia i Tolfa w związku z archaicznymi grobami w Sorbo i Caya

delia Pozzolana. Z żywym zaciekawieniem śledził spór między profesorem Massimo Longo i doktorem Sergio Bellini o to, czy malarze etruscy przyrządzali błękit z pyłu lapis lazuli, czy też z mieszaniny wapnia, krzemienia i miedzi. Nie było w tym czasie ani jednego wykopaliska etruskiego na południe od doliny Padu, którego by nie odwiedził. Ale w tych wyprawach ani razu nie natknął się na grób piękniejszy od tego, który znajdował się pod jego tunelem.

Mała bawialnia nad jadalnią trattorii całkowicie zmieniła teraz swój wygląd. Giovanni przeniósł tu prawie całą zawartość grobowca; kąty pokoju ozdobił toporami bojowymi, hełmami i pękami włóczni; pod oknem ustawił błyszczące wazy z brązu; przy drzwiach zawiesił pięknie rzeźbione zwierciadło z brązowej płyty (większe i pod względem artystycznym przewyższające to, które Muzeum Brytyjskie nabyło w roku 1939 za 3200 funtów). Półki wypełnił dziełami dawnych i współczesnych autorów takich, jak Buonamici, Ducati, Giglioli, Lopes Pegna, Mtiller, Neppi Modana, Johnstone, Fell, Randall-Maciver, Liwiusz, Herodot, Siliusz Italikus i wielu innych, którzy pisali o cywilizacji Etrusków.

Nie zaniedbywał jednak spraw trattorii; wspomnianym badaniom poświęcał jedynie wolne godziny. I tylko dwie wycieczki do odległych od Rzymu miejscowości zmusiły go do zamknięcia trattorii na cały dzień.

Terminował pilnie: zdobył ceną, ogólną wiedzą, poprzędzającą specjalizację.

W lutym 1958 był już gotów, aby całkowicie poświęcić uwagę wysiłkom, jakie słynni uczeni wszystkich czasów wkładali w rozszyfrowanie i zrozumienie przynależności grupowej języka etruskiego i jego pisowni. Przeczytał na ten temat wszystkie prace, które były w rzymskich bibliotekach. Zwiedził muzea i mauzolea, w których znajdowały się już odczytane napisy z grobowców. Opanował te reguły języka Etrusków, co do których wszyscy byli zgodni. Stopniowo, po pilnych studiach, nauczył się odczytywać to tu, to tam pojedyncze słowa i nawet wyluskiwać sens zdań wyrytych na fragmentach grobowcowych płyt.

Mógł już pokusić się o odgadnięcie tajemnicy „swojego” grobowca i od wiosny 1958 każde popołudnie spędzał schylony nad wielkim, stojącym w nim sarkofagiem. Wlepiął wzrok w intrygujące go słowa głęboko wyryte w kamieniu. Jego wargi poruszały się bezdźwięcznie, gdy próbował odgadnąć ich znaczenie.

Jak już powiedzieliśmy, przestępstwa nie wykrył żaden inkasent gazowni czy elektrowni, który co pewien czas schodził do piwnicy trattorii dla odczytania liczników. Żaden sąsiad na ulicy Skrybów nie podejrzewał też Giovanniego o równie haniebnny czyn. Na ślad tego olbrzymiego przestępstwa nie wpadł nawet zarząd restauracji URITI.

Scena, która dnia 2 marca 1957 roku, w pięć miesięcy po prze-

kopaniu tunelu, rozegrała się w skromnym pokoju jednego z drugorzędnych rzymskich hotelików, pomoże nam zrozumieć, jak mogło dojść do podobnego przeoczenia. Aktorami w tej scenie byli: signora Pandolfi, Giovanni, księgarz oraz Carlo Pediconi.

Pokój wynajął Giovanni. Pozostałe osoby przybyły każda oddzielnie, inną drogą, o różnym czasie, autobusem, taksówką i pieszo. Zebranie zwołał księgarz. A kiedy podnosił się z miejsca na powitanie przybywających współników, mogli oni wyczytać wyraźny lęk w jego oczach. I nawet niespokojnie przemierzał pokój czekając na Carlo, który zjawił się na ostatku.

– Siadaj – powiedział mu; Carlo przysunął sobie krzeselko. – Poprosiłem cię tutaj – zaczął księgarz – ponieważ nie chciałem korzystać z telefonu i uważałem, że bardzo niebezpiecznie byłoby zejść się w trattorii. Od ubiegłego tygodnia, kiedy zesłałeś nam karteczkę z zaleceniem, abyśmy nie używali windy przez parę dni, dręczą mnie najgorsze przecucia. Chciałem od razu zobaczyć się z tobą, ale bałem się, czy cię nie obserwują. Teraz jesteśmy sami. Proszę, wyjaśnij nam, co się stało.

Nerwowo zatarł ręce. W ciągu tych pięciu miesięcy wychudł, szcerniał, nerwy go zawodziły, najwidoczniej tracił równowagę ducha.

– Spokojnie, nie tak gorączkowo – rzekł Carlo. – Stało się to, że Centrala URITI w Turynie przysłała nam paru inspektorów, i jeden z kucharzy powiedział mi, że nasza restauracja daje wprawdzie

zysk, ale za mały. Te grube fisze w Turynie pewnie zachodzą w głowę, jak się to dzieje. Zdawało mi się więc, że nie powinniśmy ryzykować, kiedy kontrolerzy kręcą się po całym lokalu.

– Bravo! Fajnieś się spisał – odezwała się signora Pandolfi i trąciła łokciem Giovanniego. – Niegłupi chłopak. Założę się, że wysoka zajdzie.

– Zechce pani łaskawie mu nie przerywać – rzekł księgarz przeszywając spojrzeniem starą damę. I znów zwrócił się do Carlo: – Jakież wyniki dała ta inspekcja?

Carlo wzruszył ramionami.

– Nie ma się czego obawiać. Inspektorzy większość czasu spędzili nad księgami i sprawozdaniami kas automatycznych.

– Z pewnością jednak zajrzeli i do kuchni? – wypytywał go księgarz. – Musieli chyba analizować także waszą działalność?

– Jasne – spokojnie odparł Carlo. – Byli w kuchni zaraz pierwszego dnia. Jeden nawet długo ze mną rozmawiał.

– Tak? – zaniepokoił się księgarz. – O co mu chodziło? Co mówił?

– Przecież już powiedziałem. Nie ma obawy. Wcale mnie nie zaniepokoił. On i jego kumple sprawdzali tylko działanie kuchni i chłodni. Ze stoperem w ręku kontrolowali także, czy kucharze nie grzebią się zbyt z przygotowaniem potraw i deserów, a pomywacze ze zmywaniem naczyń. I mnie również poddali takiej kontroli, bo, jak oświadczył jeden z inspektorów, każda czynność w restaura-

cjach URITI ma ustalony czas. A kiedy się przekonali, jak błyskawicznie potrafię odebrać zlecenie, chwycić tacę, ustawić na niej właściwe nakrycia, dania i wino i posłać to windą do góry, przestali się mną interesować. Nawet się nie przyjrżeli windzie. To znaczy – nie dostrzegli pokrywy szybu. I tak samo nie zainteresowali się linami, bo gdyby któryś dostrzegł pokrywę i zdjął ją, to zobaczyłby, że wielokrażki od windy przeniesiono o cztery metry niżej, na dno szybu. Gdyby w dodatku obejrzał liny, to przekonałby się, że zostały przedłużone.... – wzruszył ramionami. – Ale żaden się nie zainteresował. A dlaczego? Dlatego, że dykcja URITI z takim prostym kantem nigdy jeszcze się nie spotkała. Tak przynajmniej mnie się wydaje.

Księgarz wciąż przechadzał się niespokojnie. Zaczerwienionymi z niewyspania oczami spojrzał na młodzieńca.

– Chciałbym móc podzielać twój optymizm. Ale nie mogę. Jestem pewien, że inspektorzy po powrocie do Turynu będą musieli złożyć wyczerpujące sprawozdanie. Jakże w nim wytłumaczą niezrozumiałe niską dochodowość tej restauracji?

– Jeden z kelnerów słyszał, jak główny inspektor najeżdżał na kierowników. Jego zdaniem, inspektor podejrzewa, że któryś z nich – albo i wszyscy – kradną.

– A może są czystszy jak łąza, co? – zauważyła signora Pandolfi.

Księgarz spojrzał na nią ze złością.

– Nie czas teraz na żarty. Jestem po prostu rozbity. Od miesiąca prawie nie sypiam. Czasami żałuję, że w ogóle wdaliśmy się w ten

interes z tunelem. W dodatku te stałe żądania, abym oprowadzał panią po dansingach i do rana przesiadywał w nocnych lokalach! A teraz jeszcze ma pani odwagę wyśmiewać się z diabelnie poważnej rzeczy.

– A ty masz pietra z byle powodu! – odparła signora Pandolfi.

– Siadaj zaraz! Denerwuje mnie to łażenie tam i z powrotem. Pozwólmy mówić temu młodzieńcowi.

Carlo podziękował jej lekkim ukłonem.

– Jak już powiedziałem, nie ma powodu do obaw. Dlaczego miałiby mnie podejrzewać? Wy, moi państwo, patrzycie na nasze przedsięwzięcie z zewnątrz. Gdybyście byli na moim miejscu tam w kuchni, przekonalibyście się, że nam absolutnie nic nie grozi. Mnie nikt nie kontroluje; nikt nie wsadza nosa do mojej pracy. Co ja tam robię? Otóż kelner na górze przyjmuje zamówienie i przekazuje go jednemu z kierowników. Ten pisze zlecenie przez kalkę, kopię zatrzymuje, a oryginał zsyła mi na dół. Ja stawiam dania i wino na tacy i windą przesyłam na górę. Kierownik sprawdza, czy to, co przysłałem, zgadza się z kopią zlecenia, którą zatrzymał. Powtarza się to chyba z tysiąc razy dziennie. Jeżeli on ześle mi tysiąc zleceń, ja odeślę mu tysiąc tac z potrawami. Wszystko się zgadza; nikt nie może mnie podejrzewać. Jestem bez zarzutu.

Księgarz nie wydawał się przekonany.

– Zastanówmy się jeszcze – podjął Carlo. – Winda jest stale w ruchu. Dwadzieścia dziewięć razy na trzydzieści idzie w górę i tylko

jeden raz na trzydzieści zjeżdża w dół. A ten jeden raz trwa wszystkiego czterdzieści sekund. Kto to zauważy?

Księgarz ponuro przyglądał się wytartemu dywanowi.

– Och, byłbym zapomniał o pewnym szczególe! – wykrzyknął Carlo. – Pamiętacie państwo chyba, że w pierwszym tygodniu naszej działalności zesłałem wam wiele trunków, aby było czym zaczynać? No więc, na podstawie ostatniego remanentu inspektorzy stwierdzili brak iluś tam butelek wina i innych trunków.

– Aj! – jęknął księgarz załamując ręce. – Wiedziałem, że to błąd!

– Uspokój się, ty strachajło! – krzyknęła na niego signora Pandolfi. – I nie marszcz się tak przez cały czas, bo wyglądasz na jeszcze bardziej ślepego, niż jesteś. Daj skończyć temu chłopcu. Twoich uwag dosyć się nasłucham codziennie w tunelu. Już je znam na pamięć. A teraz siedź cicho!

– Przyznaję, że to mnie trochę zaniepokoiło – ciągnął Carlo. – Zaczęli mnie wypytywać o te brakujące butelki, a potem innych. Wreszcie jeden z inspektorów porozumiał się chyba z policją, bo ustalił, że stróż nocny, który pracował w URITI przede inną i odszedł nagle, był karany sądownie. Zdaje się, że już po wojnie przyłapano go na kradzieży samochodów. URITI wyznaczyło nagrodę za wskazanie miejsca jego pobytu, ale jeszcze go nie złapano. Pewnie się o tym dowiedział i zwiął, gdzie pieprz rośnie. Tak czy owak, inspektorzy są przekonani, że to on zwędził te trunki.

Księgarz z powątpiewaniem potrząsnął głową, ale słowem się nie odezwał.

– A poza tym restauracja nie przynosi strat – wyjaśniał Carlo. – Nawet daje zyski. O tym musimy pamiętać, bo to ważne. Rzecz tylko w tym, że nie przynosi takich zysków, jakich spodziewano się w centrali w Turynie. Proszę nie zapominać, że przez cały dzień zabieramy im najwyżej kilkanaście dań. Przecież to kropla w morzu w porównaniu z tym, co posyłam windą w górę.

– No, czy nie mówiłam, że istny wariat z ciebie z tymi twoimi obawami? – strofowała księgarza signora Pandolfi wciągając rękawiczki. – Wracam do domu, żeby się przebrać przed zejściem do tunelu na obiad.

Gdy wyszła, księgarz znów zabrał się, do indagowania Carlo.

– Czy pan mnie ma za głupca? – oburzył się ten w końcu. – Przecież mam oczy otwarte. Gdyby się zanosilo na coś złego, pierwszy bym to zauważył. Mówię panu, że nie ma się czego obawiać. Obiecano mi nawet niedużą podwyżkę.

Wreszcie księgarz wstał i wyszedł, wciąż jednak pochmurny. Po dziesięciu minutach Giovanni także zabrał się do wyjścia.

– Poczekaj jeszcze chwilę – rzekł do Carlo. – Nie powinni nas widzieć razem.

– Wiem – odparł Carlo. – Nie jestem przecież dzieckiem, nie trzeba mi wszystkiego powtarzać po parę razy;

„Sympatyczny chłopiec” – pomyślał Giovanni patrząc na ko-

smyk gęstych włosów opadających na gładkie czoło młodzieńca, na błyszczące piwne oczy, na usta nieomal dziewczęco delikatne i na bardzo, równe i bardzo białe zęby. „Ta twarz sprawiłaby radość niejednemu ojcu” – myślał dalej. Uśmiechnął się zachęcająco i poklepał Carlo po ramieniu. Przypadło mu do gustu to oblicze, które nieraz widywał nad sobą w otworze windy.

– Niedługo już będziesz całkiem dorosłym mężczyzną – rzekł z pochwałą w głosie.

– Od dawna już jestem dorosły – Carlo zmarszczył się zaczepnie. – Uważa pan, że nie pracuję jak dorosły?

– Miałem na myśli, że niebawem będziesz pełnoletni – pogodnie odparł Giovanni. – To wspomniały wiek. Cieszę się za ciebie – przypomniał sobie własną młodość. – Kiedy byłem w twoim wieku, nie miałem żadnej przyszłości przed sobą. Ty natomiast masz się czego spodziewać.

Carlo wyjął grzebyk z kieszeni i przyglądał się tak już gładkie włosy. Ciągle był nachmurzony.

– Nie zdaje mi się, abym mógł się spodziewać jakichś wielkich rzeczy. Przyznaję, że jestem młody i przystojny. I co z tego? Nikt nie zwróci uwagi na człowieka, któremu życie schodzi na przesyłaniu windą potraw na dół i do góry.

– Powinieneś oszczędzać. Płacimy ci dobrze. Odkładaj te pieniądze, a żyj z pensji, jaką dostajesz w URITI. Z czasem będziesz mógł nabyć kawałek ziemi albo założyć własny interes.

Carlo uśmiechnął się.

– Niech pan posłucha – powiedział. – Pan potraktował mnie dobrze. Nie tak jak księgarz. Jest pan chyba moim przyjacielem, a ja nie zapominam przyjaciół.

Konspiratorzy dbali o to, by nie przyczyniać za wielkich strat restauracji URITI. Ich wymagania były raczej umiarkowane, a koszty nieduże. Trattoria szła więcej niż dobrze i co miesiąc przynosiła wcale pokaźny zysk. W tych warunkach łatwo mogli się oprzeć nadmiernej chciwości. Z tego umiaru wynikły dwa skutki: po pierwsze, kierownictwo restauracji URITI nawet przez chwilę nie podejrzewało Carlo o nadużycia i po drugie, na ich ślad wpadło dopiero po raptownej ucieczce Giovanniego. Oczywiście w centrali URITI w Turynie zastanawiano się czasem, dlaczego filia na Zatybrzu nie przynosi takich samych dochodów jak filie w Wenecji lub Florencji. Dziwiono się nawet temu, że mała trattoria w sąsiedztwie ich restauracji nie załamała się pod naciskiem ekonomicznej presji, tak bezwzględnej i metodycznej. W ciągu dziesięciu lat istnienia tej potężnej organizacji, jaką była URITI, jej dyrektorzy z zadowoleniem obserwowali klęski i upadek małych trattorii, które plajtowały jedna po drugiej, w miarę jak oni zakładali coraz więcej restauracji we wszystkich miastach na półwyspie. W naczelnej dyrekcji zdumiewano się nad śmiałością Giovanniego, który za wyroby swojej kuchni

brał aż tak zawrotne ceny. Utworzono nawet wewnętrzne Biuro Studiów dla zbadania korzyści, jakie mogłyby wypływać z ograniczenia w restauracjach liczby gości do małej garstki osób. Okazało się jednak, że na dłuższą metę taki proceder nie byłby dość zyskowny.

Kierownicy filii URITI na Zatybrzu oczywiście nie mieli się z czego cieszyć. Od czasu do czasu oskarżali się nawet wzajemnie o defraudacje. Mówili o sobie niepocholebnie, a nawet obrzucali się obelgami. Byli przygnębieni, kłótniwi i wojowniczo zaciskali szczęki.

Byłoby jednak błędem przypuszczać, że w ciągu tych brzemiennych w skutki trzydziestu dwóch miesięcy życie konspiratorów szło jak po różach.

Jesienią 1957 raptownie pogorszył się stan zdrowia księgarza. W grudniu tegoż roku przyjęto go do szpitala pod wezwaniem Salvator Mundi i poddano natychmiastowej operacji z powodu krwawego wylewu do jamy brzusznej. Chirurg po otwarciu jej stwierdził daleko posunięte zaatakowanie jelit.

– Wypadek nie nadaje się do terapeutycznego leczenia – słyszano, jak powiedział do swego asystenta. – Proszę podać pacjentowi przed wypisaniem adres jakiegoś słynnego cudotwórcy.

Oczywiście księgarza nie poinformowano wyraźnie o jego stanie zdrowia, miał on jednak umysł zbyt trzeźwy i krzepki, aby praw-

dę można było przed nim ukryć.

Na czwarty dzień po interwencji chirurga na tyle odzyskał siły, że mógł już mówić. Giovanni siedział przy jego łóżku.

Księgarz był brutalnie szczery.

– Źle ze mną – powiedział. – Prawdę mówiąc, bardzo źle. Nie dziwi mnie brak entuzjazmu u mego lekarza. Od czasu, gdy zakończyliśmy tunel, trwam w stanie nieustannego napięcia. Nocne życie, do którego zmuszała mnie signora Pandolfi, wpędziło mnie w anemię. Trawię źle. Ciśnienie mam przeraźliwie wysokie. Z przemianą materii, jak mi powiedziano, jest po prostu rozpaczliwie.

W parę dni później opowiadał:

– Kiedy doktor badał mnie po raz pierwszy, zapytał też o zawód. Zdziwił się, gdy powiedziałem, że jestem księgarzem. Oświadczył, że spodziewałby się raczej, iż mam tak szarpiące nerwy zajęcie, jak próbne skoki z nowymi typami spadochronów.

– Od dawna namawiałem cię, abyś wyjechał gdzieś na odpoczynek – rzekł Giovanni. – Pamiętasz, ubiegłej wiosny nalegałem uparcie, żebyś na dłuższy czas udał się w Apeniny.

– Góry nie są już dosyć mocną odtrutką na moje troski. Czarne myśli nie opuszczają mnie nawet tam, w zielonych lasach i pod błękitem nieba. Trzęsę się na widok policjanta. Często śni mi się, że wykryto tunel i że policja cię aresztowała, bo ktoś się wygadał.

Giovanni był wstrząśnięty. Ujął trupio zimną rękę przyjaciela i roztarł ją delikatnie.

– Nie ma powodu do obaw – rzekł. – Wszystko idzie gładko. Chyba rozumiesz, że skoro nas dotąd nie przyłapano – już ponad rok od zakończenia przekopu pod kuchnię URITI – to już nas nie przyłapią. Nie denerwuj się. Nic nam nie grozi.

Dreszcz wstrząsnął wątłym ciałem księgarza. Z wysiłkiem poruszył głową i powiedział:

– To twoja beztroska tak mnie przeraża. Te podróże do wymarłych miast, ta uporczywa korespondencja z uczonymi, których z pewnością zdumiewa, skąd u ciebie bierze się tak wielkie zainteresowanie etruską cywilizacją. No i ten rozgłos, którym zupełnie świadomie otoczyłeś swoją trattorię. Te oto nieogłędne postęпки złamały we mnie ducha.

– Czy chcesz, abym zamknął interes? Czy to by ci odpowiadało? – poważnie zapytał Giovanni. – Chętnie go zamknę, jeśli to ma ci pomóc. Przysięgam.

– Szkoda nawet o tym mówić – słabym głosem odparł księgarz. – Signora Pandolfi nie dopuści do zlikwidowania trattorii, gotowa ją sama dalej prowadzić, gdyby miało do tego dojść. Powiedziała przecież, dość trywialnie, że nareszcie może się wyżyć. Za nic na świecie nie zgodzi się na zamurowanie otworu w windzie i zasypianie tunelu. – Znużyło go mówienie. Odpoczął chwilę i znów ciągnął dalej: – Poza tym, to przecież twój dom. Jego drzwi prawie od trzydziestu lat stoją otworem. Trattoria to twoja największa pasja i byłbym niesłychanym egoistą, gdybym się zgodził, abyś ją zamknął

dla mnie. Naraziłbym cię też na drwiny ze strony URITI. Nie mogę dopuścić do tego, by cię upokarzano. – Przymknął oczy. – Czuję jednak, że jakieś niebezpieczeństwo wisi nad nami. W czasie wojny groziło ono z racji moich politycznych poglądów. Teraz jest bardziej skomplikowane. Nie chcesz żyć w cieniu, mój drogi przyjacielu. Od wielu miesięcy próbuję cię przekonać, cię i tę starą wiedźmę, że nie należy nadawać rozgłosu trattorii. – Wstrząsnął nim kaszel, krew uciekła z jego wychudłych policzków. Oczy wciąż miał zamknięte. – Ryzykowałeś życiem, kiedyś mnie ukrywał w latach wojny – wyszeptał. – Nigdy cię nie opuszczę. Zostanę przy tobie do końca.

Jego twarz była trupio blada. Puls ledwie dawał się wyczuć.

Tego jeszcze popołudnia Giovanni poważnie zastanawiał się nad groźną chorobą przyjaciela. Siedział w grobowcu pod tunelem i usiłował odszyfrować dalszą część napisu na sarkofagu. Obok niego leżały liczne publikacje Instytutu Etruskiej Lingwistyki, którego był już członkiem. Od godziny mozolił się nad jednym jedynym słowem. Dziś jednak nie wkładał serca w tę pracę. Myślami błądził daleko. Od czasu do czasu nieobecny spojrzeniem wpatrywał się przed siebie.

Po drabinie wszedł na górę. Signora Pandolfi drzemała w swoim fotelu przy windzie. Zbudziły ją kroki Giovanniego. Skinęła mu głową na przywitanie, ziewnęła i pogrzebawszy w kieszeni, wyciągnęła z niej paczkę banknotów.

– Przeliczyłam kasę przed drzemką – powiedziała. – Obiad

przyniósł nam pięćdziesiąt tysięcy lirów. Licząc jeszcze szesnaście gąb na kolację, powinniśmy dziś łatwo wyciągnąć sto dwadzieścia tysięcy – zachichotała radośnie.

Giovanni opowiedział o swojej wizycie u księgarza. Jej drobna, wyrazista, zryta zmarszczkami twarz posmutniała.

– Biedak – mruknęła i łzy napłynęły jej do oczu. Przez parę minut siedziała zamyślona. – Jestem samolubną starą kobietą, ciężko wobec niego zgrzeszyłam. On ma ciekłą skórę, a ja mu zanadto dopiekałam. Wiadomo było, że z niego chuchro i słabeusz. Niepotrzebnie ciągnęłam go tak często na dansingi. Jeszcze dziś pošlę mu kwiaty – oznajmiła – a po wyjściu ze szpitala będę się nim opiekować jak matka.

W czasie nieobecności księgarza trzeba było wprowadzić pewne zmiany w utartym już trybie pracy. Giovanni nadal przyjmował gości, wskazywał im miejsca, zbierał obstalunki i podawał do stołów. Signora Pandolfi w dalszym ciągu obsługiwała windę, podgrzewała zesłane na dół potrawy, jeśli tego wymagały, i przekładała je na półmiski trattorii. Czasami nawet umiejętnie przyprawiała jakieś danie. Wzięła też na siebie wszystkie obowiązki chorego księgarza i przenosiła tunelem półmiski i wina do kuchni Giovanniego.

Wcale nie wydawała się zmęczona tą dodatkową pracą: energia ją rozpierała i do późna w noc nie kładła się spać. Często, już po wyjściu gości, siadywała z Giovannim i w ciszy półmrocznej jadalni wiodła z nim długie rozmowy. Nieraz też oboje sięgali po najlepsze

wina z URITI. Zaprzyjaźnili się w ciągu tego pierwszego roku współpracy.

– Jakąż olbrzymią zmianę w moim życiu wywołała ta cała historia – zwierzyła się Giovanniemu któregoś z takich wieczorów. – Czuję się o pięćdziesiąt lat młodsza. To podniecenie sprawiło cuda. Wspaniały pomysł miał księgarz z tunelem. Ach, biedny człowiek! Módlmy się, aby uzdrowił go któryś z nowych, genialnych leków.

Czasami zdawało się jednak, że myślą błędzi daleko: mówiła wtedy chaotycznie i po chwili wpadała w zadumę, gdy Giovanni siedział pochłonięty czytaniem. Pewnego wieczora, kiedy już tak milczała z godzinę, ożywiła się.

– Czy ci mówiłam, że mam prawie dorosłą siostrzenicę? – zapytała.

Giovanni spojrzał na nią sponad książki.

– Nie. Ale chętnie o tym posłucham.

– Moje życie było bezmyślne, ale choroba księgarza otworzyła mi oczy – mówiła z tajemniczo pałającym spojrzeniem. – Byłam egoistką. Teraz powinnam pomyśleć o innych. Muszę rozwiązać kilka problemów niepokojących ludzkość. Nie samym chlebem człowiek żyje. Świat potrzebuje mojej wyobraźni, tego jestem pewna. Nie wolno mi zawieść pokładanego we mnie zaufania.

W trzy dni potem powiedziała:

– Poślę po siostrzenicę.

Giovanni przez chwilę żuł cygaro i rozmyślał nad kon-

sekwencjami tego kroku.

– No, a jeżeli ona wykryje nasz tunel? – zapytał. – Bo jeżeli zamieszka z panią, będzie się zastanawiać, dokąd pani codziennie chodzi na obiady i na kolacje. Gdzież więc ją pani umieści?

– U siebie, oczywiście – wyniośle odpowiedziała signora Pandolfi. – Dotychczas żyłam chaotycznie i bezsensownie. Teraz widzę, że miejsce siostrzenicy jest przy mnie. Za długo myślałam tylko o sobie.

– Jakże więc ukryjemy przed nią istnienie tunelu?

Stara dama zachichotała.

– Od pierwszego dnia, gdy ten obcokrajowiec wszedł do trattorii, czułam, że w naszej pracy czegoś brakuje, że przeoczyliśmy jakiś niezmiernie ważny szczegół. Dopiero wczoraj po kolacji oczy mi się otworzyły. Czy wiesz, co razi w twojej trattorii, oprócz tego, oczywiście, że brak jej firanek i wygląda obskurnie?

– Mnie się podoba.

Signora Pandolfi stuknęła się palcem w czoło.

– Pomyśl tylko. Mówię ci, że w godzinach posiłków jest w niej coś fałszywego.

Giovanni zastanawiał się. Po chwili potrząsnął głową na znak, że nie wie, o co chodzi.

- Dobrze więc, powiem ci. W każdej restauracji czuje się zapachy z kuchni i słyszy się brzęk rondli.

Giovanni przez parę minut rozważał jej słowa.

– Rzeczywiście. Brak tych zapachów może wydawać się podejrzany.

– Proponuję zatem, aby moja siostrzenica zajęła się kuchnią w porach obiadu i kolacji. Może trzymać na ogniu garnek z zupą z URITI. Może gotować wodę. Od czasu do czasu otworzy drzwi do jadalni, aby dotarła tam para i woń zupy. Co kwadrans może także potrząsać garnkami dla wywołania dźwiękowych efektów.

Giovanni w milczeniu palił cygaro puszczając kłęby dymu.

– Tak, to dobry pomysł – przyznał wreszcie. – Każdy gość w jadalni się na to nabierze. Ale czy pani siostrzenica to pewny człowiek?

– Mam o niej jak najlepsze wiadomości – odparła – ale nie wiedziałam jej od wielu lat. Muszę jednak teraz w jakiś sposób wynagrodzić innym mój egoizm. Bezustannie głowię się nad rozwiązaniem jednego z wielkich problemów stojących przed ludzkością. Nie daje mi on spokoju. Kto wie, czy nie będę musiała rzucić wszystkiego i wyruszyć w świat. – Westchnęła. – Ale przedtem chciałabym, aby ta dziewczyna zaznała trochę serca, którego dla niej nie miałam w swoim samozaślepieniu. Rodzice osierocili ją, kiedy była dzieckiem. Powinnam była wziąć ją do siebie. Mój trzeci mąż z pewnością by się nie sprzeciwił. Ale byłam za wielkim lekkoduchem. Oddałam ją zakonnikom na wychowanie, a potem na pensję w Rawennie. Ubiegłej wiosny, kiedy pracowałam nad angielskim jadłospisem, przyszło mi na myśl, że dobrze by było, gdyby moja siostrzenica

nauczyła się także języków. Przeniosłam ją więc do hiszpańskiego klasztoru w Zurichu. Do hiszpańskiego? Hm, czy rzeczywiście do hiszpańskiego? – Starła się sobie przypomnieć. – Ale to nieważne. W każdym razie do czegoś w tym rodzaju, w Szwajcarii.

M i e j s c e : Muzeum Etruskie w Villa Giulia, Rzym.

C z a s : godzina 10.15, dzień 27 lipca 1958 r.

S c e n e r i a : wiele sal – pustych o tej porze – z relikdami z przeróżnych grobowców odkopanych w starych miastach etruskich lub w ich pobliżu.

Giovanni świetnie znał to muzeum. Nie przyszedł tu po nowe objawienia. Po prostu chciał, jak mu się to nieraz zdarzało, bez wyraźnego celu połączyć z godzinkę czy dwie między zamkniętymi w gablotach dziełami sztuki zanikłej Konfederacji.

W sali IX wyjął z kieszeni powiększające szkło, uważnie przetarł je chustką i pochylił się, by dokładnie obejrzeć brązowy hełm, arcydzieło pradawnego płatnerza. Ten hełm był jakby starym przyjacielem Giovanniego: ze sto razy przyglądał mu się, znał już na nim każdy szczegół.

W sali X zatrzymał się w niemym zachwycie przed freskiem przeniesionym tu przez Rządową Komisję Zabytków z kopca w Volterra. Przedstawiał on wojowników, którzy z wyzywającą dumą wychodzili z płonącego miasta. Giovanni uważnie rozejrzał się wkoło.

Był sam. Rozstawił nogi, założył jedną rękę na plecy, odchrząknął, palcem drugiej ręki wskazał na fresk i zaczął mówić do wyimaginowanej grupki zdjętych podziwem turystów:

– Widzimy tutaj obraz jednej z najbardziej wzruszających chwil w historii. Rzymianie właśnie pokonali Etrusków w bitwie nad jeziorem Regillo – liczył na palcach. – W bitwie, która odbyła się dokładnie dwa tysiące czterysta pięćdziesiąt trzy lata temu. Ach, spójrzcie państwo na tę pełną godności postać, o tu, całkiem na prawo. Jest to niewątpliwie Oktawiusz Mamillus. Co za arystokratyczne rysy! Z jakim heroicznym wyrazem patrzy na ten dramat, który się przed nim rozgrywa!

W sali XIX raz jeszcze obejrzał szczątki sandału z archaicznego grobu w Wisentium. Z żalem pokiwał głową. Szkoda, że włoski klimat nie był tak suchy, jak klimat Sahary! Niestety, Etruskowie korzystali z surowców podatnych na wilgoć, toteż prawie wszystkie ich wyroby uległy zniszczeniu. Jakże chciałoby się widzieć te arcydzieła, które wyrabiali oni z tkanin, łożyny i drzewa!

W innej znów sali zatrzymał się przed gablotką z pozostałościami po różnych etruskich instrumentach muzycznych, wykopanych pod dawnym miastem Populonia.

Z nich wszystkich najbardziej lubił lituus. Długo mu się przyglądał. „Dziwne – myślał – że w moim grobowcu nie ma żadnego instrumentu muzycznego, bo przecież poza tym niczego w nim nie brakuje. Och, nawet nie spodziewałbym się znaleźć tam lituusa. Te-

go byłoby za wiele! Jest ich zaledwie ze sześć sztuk w muzeach całego świata. Co prawda mogłyby być u mnie bodaj ze dwie syringi. Ciekawe niedopatrzenie”. Z lekkim zaaferowaniem pokiwał głową.

Odtąd ta myśl nie dawała mu spokoju. Przedtem nie zastanawiał się nad tym zagadnieniem, ale teraz pierwszy, niejasny jeszcze przeblysłk zrozumienia zaczął docierać do jego świadomości. Oszołomiony i głęboko zamyślony powędrował do ogrodu muzeum. Jego grobowiec był królewskim grobowcem wojownika, stąd ta niezliczona ilość oręża. Fresk przedstawiający panterę sprężoną do skoku miał wojowniczy charakter, w oczach zwierzęcia czaiły się groźne błyski; muskularni atleci na innym fresku zwarli się w śmiertelnym, nie w przyjacielskim uścisku; młodzi patrycjusze w bladoniebieskich tunikach zostali namalowani po to, aby podkreślić arystokratyczne pochodzenie i stoicki spokój wojownika; pochylone i przyozdobione klejnotami kobiety na jednej ze ścian nie miały w sobie nic zmysłowego. I nic w tym grobowcu nie przywodziło na myśl zbytku, rozkoszy czy zmysłowości; jego malowidła miały być osłoda zmarłemu wojownikowi; miały mu przypominać – przez symbol wiecznej płodności na wyciągniętych delikatnych dłoniach kobiecych postaci – że jego życie trwa dalej, że będzie trwać w tężyznie i namiętnościach jego synów. Grobowiec w zamierzeniach tych, co go budowali, miał budzić ponury nastrój; stąd obecność kapłana i brak jakiegokolwiek muzycznego instrumentu.

Tu w rozmyślaniach Giovanniego nastąpiła przerwa.

Powędrował z powrotem do muzeum. W sali XXXI przystanął przed jedną z wielu kamiennych urn i bez większej uwagi pochylił się nad nią, aby przeczytać napis, prawie całkowicie zatarty przez czas:

Partunus Vel Velurus Satlnal-c

Ramas clan avilis lupu XXIX

i aż rozpromienił się z radości, że tak łatwo mu poszło ze zrozumieniem tych słów. Zapaścił wzrok do obu sąsiednich sal; nie było w nich nikogo. Odwrócił się więc do urny, skrzyżował ręce na piersi i wyrecytował na głos:

– Oto grób Vel Partunusa, syna Ramtha Satlnei i Veihur, zmarłego w dwudziestym ósmym roku życia.

„Cóż to za wstyd – myślał – że potrafię przetłumaczyć kilka błahych wierszy, jak te, które dotyczą człowieka całkiem pospolitego, a nie mogę odgadnąć treści napisu w moim grobowcu etruskiego króla”.

I właśnie w tym momencie zrozumiał. Po długich miesiącach daremnego trudu – nagłe olśnienie; ostatni klocek z łamigłównki wpadł na swoje miejsce.

Wybiegł więc z muzeum i gorączkowo szukał taksówki. Znalazł ją w pobliżu Via Flaminia i pojechał na Zatybrze. Trzęsącymi się z podniecenia rękami otworzył drzwi trattorii i zbiegł do piwnicy.

Odsunął worki z tufem zagradzające drzwi do tunelu, odemknął je, zapalił światło, pobiegł podziemnym korytarzem i po drabinie zszedł do marmurowego grobowca.

Z elektryczną latarką w jednym ręku ukląkł przed kamiennym sarkofagiem. Trzęsącymi się palcami drugiej ręki wodząc po słowach i literach odczytał napis i oszołomiony zastygł bez ruchu.

– Lars Porsena – wyszeptał drżącym głosem. Wstał i spojrzał na zaciętą i groźną twarz kamiennego wojownika.

W swoim pokoju nad trattorią wyszukał egzemplarz słynnej „La vita publica e privata degli Etruschi” Trombettiego. Był tak podniecony, że długo nie mógł znaleźć potrzebnej mu stronicy.

„Tarkwiniusze zostali wypędzeni z Rzymu w roku 509 p.n.e. na skutek gwałtu, którego syn Luciusza Tarkwiniusza dopuścił się na Rzymiance nobliwego rodu. Wezwali wtedy pomocy Larsa Porseny, króla Clusium... Lars Porsena zebrał swoje legiony i pomaszerował z pomocą.

Legenda głosi, że dzięki bohaterstwu Horacjusza Koklesa, który dzielnie bronił jednego krańca ważnego mostu wiodącego do miasta, gdy jego rodacy niszczyli drugi jego kraniec, wojowniczy Lars Porsena musiał odstąpić od oblężenia, zgodzić się na łagodne warunki pokoju i wycofać spod miasta. (Poetycka wersja tego podania znalazła wyraz w »Starorzymskich Legendach« Tomasza Babingtona Macaulaya.) Jest to piękna bajka pozbawiona jednak historycznych podstaw. Lars Porsena po bezlitosnej walce zdobył i okupował mia-

sto. Panował w nim ponad dziesięć lat i zmarł w czasie najintensywniejszych przygotowań do ambitnie planowanej wojny z greckimi miastami południowych Włoch. Niektórzy dawni autorzy zapewniają, że pochowano go z wielką pompą we wspaniałym podziemnym grobowcu na krańcach miasta. Kto wie, czy nie jest to jeszcze jedna legenda, bo dotychczas nie udało się odnaleźć tego grobowca. Co prawda, można by przyjąć, że ze względu na niezwykle surowe rządy Larsa Porseny i na nienawiść, jaką przypuszczalnie w Rzymianach rozbudziła brutalność etruskich wojowników oraz ich dowódców, pochowano go w największej tajemnicy...”

Późną nocą Giovanni powrócił do grobowca. Raz jeszcze odczytał słowa wyryte na sarkofagu i wolno obszedł go wkoło. Znów spojrzął na marsowe, kamienne oblicze wojownika, a serce biło mu przy tym w przyspieszonym rytmie.

Pomyłka była wykluczona.

Poszedł do swej piwnicy, wziął łom i wrócił. Nie spieszył się. Była to bowiem najbardziej upojna chwila: od dwudziestu dwóch miesięcy z rozmysłem, cierpliwie odkładał otwarcie sarkofagu do czasu, kiedy odczyta umieszczony na nim napis i ustali, kto, tam leży.

Wolno, z trudem podważył pokrywę z kamiennym wojownikiem, zdjął ją i położył na marmurowej podłodze. A potem skierował promień światła latarki w głąb sarkofagu.

Ciało zmarłego króla zamieniło się w truchło. Królewski strój

zszarzał, spopieliał. Na rzeźbionej tarczy, wokół rękojeści olbrzymiego miecza, leżały fragmenty kości, a obok niej wspaniały złoty pierścień cudnej roboty, ozdobiony drogimi kamieniami.

W świetle latarki nagle coś zaśniło. Giovanniemu oczy mało nie wyszły z orbit, gdy dojrzał złote pasma niewiarygodnie pięknego naszyjnika, wykonanego z niezrównanym artyzmem. W blasku światła mienił się on i błyszczał rzucając złote ognie w gęsty mrok prastarego grobowca.

„Ferragosto” to oficjalne święto włoskie. Datuje się jeszcze z czasów drugiego z Cezarów. W owym dniu praca ustaje w całym Rzymie: dym nie unosi się z kominów nielicznych fabryk, kurz osiada na kałamarzach urzędników i nawet giełda świętuje. Nikt, kto nie chce, aby go posądzono o hańbiące ubóstwo, nie pozostaje w murach stolicy. Każdy obywatel, który dba o opinię sąsiadów, zrywa się więc tego dnia – w połowie sierpnia – i z samego ranka ładuje lary i penaty, dzieci, małżonkę oraz wszystkie domowe zwierzaki do jakiegoś wózka czy Fiata i wyjeżdża gdzieś na wieś, a wraca dopiero późnym wieczorem. Ci zaś, co są skazani na pozostanie w domu, uciekają się do najprzemysłniejszych wybiegów, by ukryć swą obecność w mieście przed podobnymi im i równie przebiegłymi nieszczęśnikami: od– świtu do nocy nie podnoszą okiennic, nie odpowiadają na telefon, a wszyscy w domu chodzą boso i na palcach. W tym dniu też

jedyny raz w roku „Trattoria Giovanniego” nie przynosiła zysku.

Tego to dnia w 1958 roku trójka konspiratorów postanowiła zamknąć podwoje trattorii i wyprawić sobie sutą ucztą. Carlo zesłał windą wielką faskę kawioru, dwa półmiski angielskich ostryg, pięć tuzinów ślimaków *à la bourguignonne*, dwa grzywiaste głuszce, jedną kuropatwę z truflami, antrykot, świeże szparagi *alla parmigiana*, rozpływający się w ustach ser Brie i jeszcze smakowitszy Roauefort, *bombe glacée* i dwa imbryczki kawy. Na żądanie biesiadników dośłał jeszcze cztery butelki jasnego Burgunda z Côte-d'Or łącznie z dwoma rzadkimi egzemplarzami Cios Vougeot z roku 1947. Dodał jeszcze dwie butelki szampana Mumm Cordon Rouge i całą tacę likierów. Jeden z tych szampanów przesiąkł zapachem korka – jak oświadczyła signora Pandolfi upiwszy parę łyków – toteż błyskawicznie został zamieniony.

Jednak trzy inne jeszcze przyczyny zaważyły na humorach biesiadników. Po pierwsze, musieli sami nosić dania z tunelu, bo wynajęcie kelnera mogłoby pociągnąć przykre następstwa. Po drugie, większość potraw trzeba było odgrzewać w kuchni Giovanniego, a w konsekwencji rachunek za gaz w tym miesiącu musiał wypaść drożej o jakieś sto lirów. I po trzecie, choroba księgarza, który jadł bez apetytu, był blady i ręce mu się trzęsły.

– Dyrektorzy URITI może nawet tego nie wiedzą, że dziś mają swój szczęśliwy dzień – rzekła signora Pandolfi dobierając sobie lodów – bo przecież każdego innego dnia w roku muszą karmić u nas

sześć razy tyle gości. Dziś zaoszczędzili sporo pieniędzy. Powinni się cieszyć.

Po deserze Giovanni pierwszy wystąpił z oracją. Zaczął od po-nurego opisu nieszczęścia, jakie zawisło nad nim dwa lata temu, kie-dy przy tej ulicy otworzono wielką restaurację. Wynosił pod niebiosa dokładność, z jaką księgarz przeanalizował wtedy powstały zasadni-czy problem oraz umiejętność, z jaką zastosował przy jego rozwią-zaniu prawo Breachy'ego. W tym miejscu pozwolił sobie na małą dygresję, aby rzucić parę uwag na temat charakterystycznej struktury etruskiego tunelu odkopanego pod ruinami Chiusi. Następnie odczy-tał jak najbardziej zadowolające sprawozdanie finansowe. Z nadzieją w głosie mówił o lekkiej poprawie zdrowia księgarza. Oficjalnie powitał Mirandę, siostrzenicę signory Pandolfi, przyjętą do grona wspólników. Wychwalał jej zapał, z jakim w ubiegłym półroczu wy-twarzała przekonujące obłoki pary w jego kuchni, i przypomniał o tym wieczorze w marcu, kiedy hałas, jaki zrobiła pustymi naczynia-mi, tak wstrząsnął salą, że jeden z gości pozwolił sobie nawet na nieśmiałą reklamację. Ostatnią część przemówienia poświęcił całko-wicie wykładowi o technice prowadzenia restauracji przez Etrusków. A kiedy wreszcie skończył, nagrodzono go długotrwałymi oklaska-mi.

Potem wezwano Mirandę do zabrania głosu. Kiedy wstała, wi-dać było, że się wcale nie peszy, chociaż niewątpliwie nie spodzie-wała się podobnego żądania. Mówiła z lekkim wahaniem, ale głosem

pewnym. Podziękowała za przyjęcie jej do tak niezwykłego, lecz pouczającego stowarzyszenia. Po kolei oddała należny szacunek każdemu ze swoich współników: chwaliła niezmordowaną wynalazczość i zdrowy rozsądek signory Pandolfi, księgarza nazwała twórczyni artystą, zażartowała z bezgranicznego zachwytu Giovanniego nad Etruskami, ale jednocześnie szczerze przyznała, że jest on najmądrzejszy i najbardziej reprezentacyjny ze wszystkich właścicieli rzymskich trattorii, Zobowiązała się też uroczyście do wytwarzania w następnym roku jeszcze większej ilości i dużo gęstszej pary. Jej mowę przyjęto z uznaniem.

Teraz przyszła kolej na signorę Pandolfi. Nim zaczęła, napełniła kieliszek winem.

– Drodzy przyjaciele – powiedziała z promiennym uśmiechem. – Moi drodzy i dostojni współnicy, chciałabym wznieść toast. – Miranda i Giovanni przywitali te słowa brawami. – Zacznę jednak od pewnego wyznania – ciągnęła dalej. – Byłam prózną i samolubną kobietą: może uraziłam wzniosły umysł człowieka, który jest tu dziś z nami. Może zawróciły mi w głowie moje udane pomysły ulepszenia i ozdobienia tunelu. Kto wie, czy nie uraziłam tego światłego człowieka swymi bezmyślnymi i niegrzecznymi docinkami. Mogłam nadużyć jego cierpliwości i zasmucić jego łagodną naturę. Proszę więc o przebaczenie. Grzeszyłam brakiem skromności. Nie dostrzegałam – jakby bielmo przysłoniło mi oczy – że plan przekopania tunelu był dziełem geniusza, gdy moje ulepszenia nie wypływały z podobnego

natchnienia i w ogóle nie byłyby możliwe, gdyby ów świątły duch nie utorował im drogi – umilkła na chwilę i sięgnęła do kieszeni po kartkę papieru. – Oto dewiza, którą zawiesiłam u siebie w domu. W ubiegłych miesiącach nieraz przez długie godziny siadywałam wpatrzone w te słowa: „Pomysł poprzedza i wyprzedza wykonanie”. Jakże to prawdziwe! Przyznaję. I to natchnęło mnie pokorą. Teraz czekam na nowe dzieło geniusza, które pobudziłoby moją fantazję – wzniosła kieliszek nad pochyloną głową księgarza. – Nie garb się, przyjacielu – powiedziała – wznoszę toast za twoje zdrowie. Wstańcie wszyscy.

Giovanni i Miranda powstali chętnie i wzniesli w górę kieliszki.

– Za zdrowie księgarza! – zawołali.

Znużony księgarz uniósł głowę i zamrugał oczami. Potem wstał i uprzejmie wygłosił parę słów podziękowań. Znać było, że wypił kilka szklaneczek szampana. Chwilowe błyski zapłonęły w jego oczach. Zdobył się nawet na przyjacielską rozmówkę z signorą Pandolfi. Ta scena dodała otuchy Giovanniemu, świadczyła bowiem, że księgarz, już na progu śmierci, nie żywił wrogości dla złośliwej i roztrzepanej, ale poczciwej starej kobiety.

Tego popołudnia weselono się dość długo i nawet wcześniejsze wycofanie się księgarza z zabawy nie popsulo nastroju. Rok był wyjątkowo pomyślny, a wszystko wskazywało na to, że przestępstwo nigdy nie zostanie wykryte i że przedsiębiorstwo URITI spotkała

zasłużona kara. Wszyscy zgodzili się, że księgarz powinien udać się na spoczynek; uściskali go więc, raz jeszcze powiedzieli, że jest geniuszem, i w żywych barwach odmalowali dzień, kiedy już całkiem powróci do zdrowia, toteż odszedł, choć beznadziejnie chory, jednak pokrzepiony na duchu.

Przed wieczorem do trattorii wśliznął się Carlo. Była to jego pierwsza wizyta tutaj. Wspólnicy uważali, że w „Ferragosto” mogą sobie pozwolić na mniejszą czujność: ulica była pusta, a w tym dniu nikt przecież nie odważyłby się podejść do okna. Poza tym sama przyzwoitość nakazywała, aby Carlo także wziął udział w bankiecie.

Miranda i signora Pandolfi odgrzały zostawione dla niego dania, a Giovanni napełnił mu szklaneczkę winem.

– Nie będę dużo pił – rzekł Carlo. – Za parę godzin muszę znów stanąć przy windzie.

– Tylko wracaj do restauracji okrężną drogą – ostrzegł go Giovanni. – Sprawdź też, czy nikt cię nie śledzi,

– Jasne – krótko odparł Carlo. – Ma mnie pan za durnia? Jedyliśmy przecież na tym samym wózku, pan i ja, Z pewnością nie chcę ryzykować. – Rozejrzał się po jadalni. – Nie myślałem, że taka antyczna jest ta pańska trattoria. Gdybym ja tu rządził, zmieniłbym stoliki i dałbym, więcej światła. Zdaje się, że w tym kącie stanęłyby nawet fortepian. Czy nigdy się pan nad tym nie zastanawiał?

Z apetytem jadł, co mu dawano.

– My, w kuchni URITI, dostajemy na obiad zupę z soczewicy,

kielbaski i jabłko – rzekł z uśmiechem kładąc sobie drugi kawałek sera.

Potem spojrzął na zegarek.

– Muszę już iść – powiedział – moja *fidanzata* z pewnością spodziewa się, że zajrzę do niej przed wieczorem.

– Och, jesteś zaręczony? – spytała zachwycona tą wiadomością signora Pandolfi. – Nie wiedziałam. Czemu nikt mi nic nie mówi? Gratuluję! – i odwróciła się do Giovanniego. – Mówiłam ci, że ten chłopiec ma głowę na karku. Zajdzie daleko. Zapamiętajcie moje słowa!

Kiedy Miranda poszła zmywać naczynia, signora Pandolfi przechyliła się przez stół i palcem stuknęła Giovanniego w pierś.

– Gdybyś miał trochę oleju w głowie, zrobiłbyś to samo, co ten młodzian. Czemu nie mielibyśmy sprawić podwójnego wesela?

Giovanni próbując uchylić się od odpowiedzi sięgnął po cygaro, ale signora Pandolfi nie dawała za wygraną.

– Dobiegasz już połowy życia i jeśli ci się zdaje, że nie powinieneś się żenić, to się grubo mylisz. Osobiście jestem za małżeństwem. Parę razy już byłam zamężna i całkiem mi się to podoba. Czego więcej byś chciał? Nie myśl, że zawsze będziesz młody. Za jakieś dwadzieścia-trzydzieści lat pożałujesz, że nie masz przy sobie wiernej towarzyszki. A teraz właśnie najlepszy czas, byś ją zdobył. Bądźże praktyczny!

Rozeszli się w jakąś godzinę później. Giovanni odprowadził

obie panie do tunelu i pomógł im wejść do piwnicy domu signory Pandolfi.

Czuł jakiś niepokój w sercu. Wyruszył więc na długi spacer po swojej dzielnicy, a później powędrował brzegiem rzeki. Ale nie ukoilo to jego podnieconego umysłu. Dość późno wrócił do trattorii, zszedł do tunelu i przez otwór w kopule wśliznął się do grobowca. Czuł się zmęczony, bo dzień był nie tylko pamiętny, ale i nużący.

– Cześć, Larsie Porseno! – rzekł do kamiennego wojownika i przysiadłszy na sarkofagu spojrział w górę na freski na marmurowych ścianach.

Myślał jednak o Mirandzie: o tym, jak w ubiegłym półroczu dręczyła go i gniewała, jak bardzo był nią zajęty. Giovanni Venturi męczył się: był zakochany.

Usiłował przypomnieć sobie ich pierwsze spotkanie.

Czy spodziewał się, że ujrzy Mirandę w kornecie i stroju mniszki, z włosami zaplecionymi w warkocze i z surowym wyrazem twarzy, oszczędną w słowach i uduchowioną w mowie? Albo może zdawało mu się, że stanie oko w oko z naiwnym, posługującym się jeszcze szkolną gwarą podlotkiem, który zachichocze na wiadomość, że ma wytwarzać obłoki pary w nieczynnej kuchni małej trattorii na Zatybrzu? Nie pamiętał. Dużo czasu upłynęło od owego dnia. Niewątpliwie jednak spodziewał się, że Miranda będzie młodziutka, prostoduszna i naturalna.

– Signora Pandolfi mówiła, że pani jest jeszcze bardzo młoda,

wychowana przez mniszki, i że umieściła panią w hiszpańskim klasztorze w Zurichu – powiedział, gdy oświadczyła, że ma dwadzieścia siedem lat, że kształciła się w świeckiej szkole w Wenecji, nie w żadnym klasztorze, i że od 1952 roku pracowała jako nauczycielka włoskiego w brazylijskim konwencie w Genewie. Ale nie tylko to nie dawało mu spokoju. Wyprowadzała go z równowagi jej szczerłość, wesoła ironia, subtelna inteligencja, jak i fakt, że codziennie przez sześć godzin wyczuwał jej obecność w swojej małej trattorii. Miranda miała ładną, choć może nie wyjątkowo ładną figurę. A świadomość, iż wie ona, podobnie jak i on wiedział – a ta świadomość wcale nie sprawiała mu przykrości – że sweterki i obcisłe sukienki oraz jej zgrabne ruchy osiągają zamierzony efekt, denerwowała go, rozpraszała myśli i nie pozwalała na niczym się skupić.

– Signora Pandolfi to dobra kobieta – powiedziała kiedyś Miranda – ale pamięć ma kiepską. Jej zdaniem, wynika to stąd, że nie interesuje jej przeszłość. Kiedy byłam dzieckiem, słyszałam, jak ktoś mówił, że miała udar słoneczny, gdy ze swoim trzecim mężem, bratem mojej matki, mieszkała na Dalekim Wschodzie. Może dlatego wszystko jej się płącze.

Giovanni przypomniał też sobie dzień spędzony nad wulkanicznym jeziorem poniżej Castel Gandolfo.

Pewnego majowego wieczora, już po skończonym wydawaniu kolacji, signora Pandolfi oznajmiła, że chciałyby, zostać sam na sam ze swoją wyobraźnią choćby przez dwie doby i spokojnie poświęcić

się rozmyślaniom.

– Hałas w tunelu zakłóca mi spokój – powiedziała. – Czemu nie mielibyście pojechać gdzieś we dwoje i zostawić mnie samą? Zabierz ją nad Lago di Albano, Giovanni. Nigdy nie widziała tego jeziora. A i tobie dobrze zrobi trochę świeżego powietrza. Mirando, powinnaś go rozruszać. Zauważyłam wczoraj, że musiał znowu opuścić pasek o jedną dziurkę.

– To niepoprawna intrygantka – powiedziała Miranda nazajutrz rano, kiedy już siedzieli w autobusie. – Jeśli sama akurat nie wychodzi za mąż, swata innych. Powiedz mi, proszę, dlaczego dałaś się namówić na tę wycieczkę? Byłam, zdziwiona.

Giovanni zełgał bezwstydnie.

– Za bardzo już ugrzązłem w mieście. Signora Pandolfi ma rację. Powinienem częściej wypuszczać się na wieś.

W czasie godzinnej jazdy do Castel Gandolfo opowiedział Mirandzie, z jakim mozolem i trudem odczytał wreszcie napis na sarkofagu. Oczywiście, zaraz w dzień jej przyjazdu do Rzymu, nim jeszcze zdążyła odpocząć po męczącej podróży ze Szwajcarii, pokazał jej grobowiec. Zachwycała go myśl, że ma nareszcie kogoś, komu będzie mógł wyklądać historię Etrurii. Nic więc dziwnego, że poczuł się urażony, gdy Miranda zaczęła się śmiać w tym autobusie pędzącym w dół Via Appia Nuova.

– Nie zdajesz sobie chyba sprawy – zaczął dosyć sztywno – że są uczeni, którym całe życie zeszło na próbach poznania języka Etru-

sków. To przecież jedna z największych zagadek świata. Nawet Rzymianie nie potrafili odczytać ich pisma.

– Czyż nie mówiłeś mi, że Etruskowie zniknęli z powierzchni ziemi dopiero w parę wieków po podbiciu ich przez Rzymian? – zapytała. – A jeżeli tak, to Rzymianie po zajęciu ich kraju starali się chyba odczytać etruskie kroniki i napisy nagrobne. Byli przecież trzeźwym i chytrym narodem. Z pewnością więc przekonali się, że Etruskowie nie pozostawili po sobie żadnych wartościowych zapisów.

– Karygodny absurd! – z oburzeniem wybuchnął Giovanni.

– Dobrze – powiedziała Miranda – założmy więc co innego: Etruskowie zdegenerowali się tak szybko, że sami nie potrafili odczytać tego, co napisali. A w takim razie, po co poznawać język równie tępego ludu?

Giovanni milczał z godnością i tylko spode łba spoglądał na Mirandę.

– Zresztą dziś jest za piękny dzień na kłótnie – powiedziała i położyła mu paluszek na ustach. A gdy uśmiechał się udobruchany, poprawiła się na swoim miejscu, ujęła go za ramię i westchnęła. – Spójrz, jak jest słonecznie i ciepło! W Szwajcarii taki dzień trafia się raz na rok. Po pięciu latach spędzonych w śniegach i lodach zapomniałam już, jak piękne są Włochy! – Rozmarzona spoglądała przez okno na coraz bliższe wzgórze.

Zielone sady i pola tonęły w słonecznym blasku. Na wscho-

dzie, w promieniach słońca, na rozległym i głębokim błękitnie śródziemnomorskiego nieba – które rozpięło się wysoko nad czerwono-żółtymi dachami podgórszych miasteczek, położonych wśród winnic i oliwnych gajów – płynęło spokojnie kilka gęstych cumulusów.

– I jeszcze coś – z uporem rzekł Giovanni – to Etruskowie sprowadzili do Włoch winogrona i oliwkowe drzewa.

Zrobiła doń minkę i zwichrzyła mu włosy.

– Świetnie ~ powiedziała – skoro aż tak lubisz Etrusków, to i ja będę ich lubiła.

Żartowała tak dalej, aż odzyskał humor.

Nad jeziorem włożyła kostium kąpielowy i z godzinę pływała przed obiadem. Giovanni zaś włączył się po brzegu i ukradkiem na nią zerkał, starając się jednak nie zdradzić zainteresowania jej osobą. Bo cóż go obchodzi ta dziewczyna? A jednak z zadowoleniem stwierdził, że ma ciało tak zgrabne i giętkie, jak je sobie wyobrażał pod szykowną sukienką czy obcisłym sweterkiem.

Po południu wypłynęli łódką na środek jeziora.

– Chciałem cię o coś zapytać – rzekł, kiedy odłożył wiosła, aby trochę odpocząć. – Już przed twoim przyjazdem nie dawało mi to spokoju; zastanawiałem się, jak zareagujesz na... no, na ten rodzaj interesu, który uprawiamy w trattorii.

– Zdziwiłam się trochę, kiedy zobaczyłam windę zjeżdżającą do piwnicy – powiedziała – ale nie byłam zaskoczona.

– Nie byłaś? – Giovanni czuł się speszony. – Chcesz powie-

dzieć, że takie rzeczy zdarzają się też w Szwajcarii?

– Nie, jeżeli się w ogóle zdarzają, to tylko tu, we Włoszech. – Wyciągnęła się na dnie łódki i patrzyła na obłoki sunące po słonecznym niebie. – Ze Szwajcarii nie przyjechałam tu tylko dlatego, że *signora* Pandolfi tak chciała; mówiłam ci już, że ona często nie zdaje sobie sprawy z rzeczywistości. Już od dawna pragnęłam wrócić do Włoch i odżyć. Toteż kiedy napisała mi, że mogę tu dostać pracę, skorzystałam z okazji. W pierwszej chwili zatkało mnie trochę, kiedy mi pokazałeś windę i wyłożyłeś prawo Breachy'ego. Ale po paru dniach uważałam już za zupełnie naturalne, że we Włoszech są kuchnie, które mogą obsłużyć aż dwie restauracje.

Przed wiekami z wulkanu w tych górach trysnęła lava. A teraz tych dwoje płynęło w łódce lekko kołyszącej się na niebieskiej wodzie spokojnego jeziora, które wypełniało stary krater. Gęste lasy na stromych górskich zboczach otaczających jezioro ostro schodziły w dół nad skraj wody. Zielonoczarne cyprysy na spadzistych stokach wyciągały posępne gałęzie ku rozległemu błękitnemu niebu, a parasolowate pinie tworzyły przedziwne kształty na tle horyzontu. Na zachodniej stronie jeziora przysiadły na wzgórzu mury i kopuły letniej rezydencji Namiestnika Chrystusowego. Jej wieżycy i baszty migotały w promieniach słońca; w dziwnej, lśniącej poświacie włoskiego popołudnia wyglądały jak powleczone purpurą i sprawiały wrażenie całkiem nierealnego zjawiska.

– We Włoszech wszystko jest trochę nienormalne – powiedzia-

ła Miranda. – Nic nie siedzi w samym centrum soczewki. W tym kraju wydaje się zupełnie naturalne, że wieże są pochyle, miasta wyrastają z morza, a windy z kuchni schodzą w dół.

Siedzieli na tarasie kawiarni nad brzegiem jeziora i przyglądali się niebu, któremu zachodzące słońce nadawało barwy karmazynu i złota. Miranda, zachęcona pytaniami Giovanniego, przez godzinę opowiadała o sobie: o swym dzieciństwie w Murano i długich wycieczkach na laguny Wenecji. O synu rybaka, którego znała i kochała, i o tym, że jego śmierć na wojnie wywarła decydujący wpływ na jej poglądy; o szkole, do której uczęszczała; o książkach, rzeźbach i obrazach, dla których żywiła stały podziw; o morzu, które uwielbiała, o swoich nauczycielskich przeżyciach w Szwajcarii i o tym, jak bardzo czuła się tam samotna.

Mrok zapadł nad jeziorem. Wzgórza pociemniały, Giovanni spojrzął na zegarek: ostatni autobus do Rzymu odchodził za dwadzieścia minut.

– Och, zapomnij o autobusie. Możemy przecież zostać tu na noc – powiedziała Miranda. Spoglądała poprzez jezioro tam, gdzie ostatnie promienie zachodzącego słońca padały jeszcze na jasną, nieruchomą wodę. Powietrze było chłodnawe i rześkie. Nad wysokimi piniami, rysującymi się na tle odległego wzgórza, zawisł już sierp księżycy.

– Byłam dziś bardzo szczęśliwa, dziękuję ci za ten dzień, Giovanni – powiedziała Miranda. – Żał mi odjeżdżać i zostawić go

za sobą. Nie ma w Rzymie drugiego równie pięknego miejsca. A poza tym, jutro będziemy mieli o wiele więcej autobusów. – Przeszła przez taras, wychyliła się za balustradę i odetchnęła powietrzem płynącym z głębi jeziora. – Autobusów nigdy nie brakuje, a równie radosny dzień może się już nie zdarzyć.

Ubawiła ją jego zaszokowana mina.

– Myślę powiedziała – że hotele tutaj mają chyba kilka jednoosobowych pokojów. Nie zrozumiałeś mnie – umilkła na chwilę. – A zresztą, nawet gdybym pomyślała o tym, o czym tyś pomyślał, to skąd ta skromność? Przypuszczasz, że nie wiem o tej dziewczynie z Vicenzy, która przez osiem lat zagrzewała ci łóżko? — patrzyła nań z wyzywającą ironią w oczach.

Giovanni wyprostował się.

– Kto ci o tym powiedział? – zapytał.

– Och, myślę czasami o tobie – odparła.

Zebrała kilka kamyków i rzucając je w wodę patrzyła w milczeniu na rozchodzące się i niknące w mroku kręgi. Potem odwróciła się i uśmiechnęła. – Niekiedy nawet zadaję sobie trud i rozpytuję o ciebie.

A on myślał o niej nie czasami, lecz stale.

I walczył też ze świadomością, że była dwukrotnie od niego młodsza. To, że najwidoczniej lubiła jego towarzystwo, że cieszyło ją, gdy mogła wnieść nieco radości i ruchu w jego życie, że ciekawiły ją nawet jego przydługie rozprawy na temat etruskiej cywilizacji –

to nie ulegało wątpliwości, tego był pewny. Ale na tym stwierdzeniu urywał.

Bo Giovanni Venturi nie był głupio zarozumiały. „Oczywiście – myślał – mogę jej dużo dać. Wiem o tym i starałbym się to zrobić. Ale czy to, co bym jej dał, równałoby się ofierze, jaką z pewnością musiałaby złożyć?” Po długim i mozolnym namyśle doszedł do wniosku, że nie. A w takim przypadku, czy miał prawo, czy mógł zawracać jej głowę? Jego zalecanki i oświadczyzny mogły wprowadzić ją w kłopot. Cieszył się więc za nią, kiedy czasami wspominała mu w rozmowie o zalecających się do niej mężczyznach.

Ale prawdziwie ciężkie chwile nadchodziły potem, kiedy ciemność ogarniała ulicę Skrybów, a gwiazdy pojawiały się na niebie. „Trudno być altruistą, gdy się leży samotnie w łóżku i sen nie przychodzi” – myślał skwaszony.

Część trzecia

Jeżeli istotnie tylko przekorny los uczynił przestępcę z Giovanniego Venturi, to cóż, jeśli, nie wspaniałomyślność i wielkoduszność tego impulsywnego restauratora z Zatybrza postawiły go wobec najwspanialszej chwili jego życia.

Pewnego wczesnego popołudnia, przy końcu września 1958 roku, pociąg z Mediolanu zatrzymał się na Dworcu Termini w Rzy-

mie. Giovanni czekał w przedziale, aż tłum zrzędzie na peronie. Po-tem ostrożnie przełożył paczkę w brązowym papierze z kolan na opróżnione miejsce obok siebie i wychyliwszy się z okna przywołał tragarza. Podał mu walizkę i ruszył za nim ku wyjściu pieczołowicie niosąc zawiniątko w brązowym papierze.

Ucieszył go i zaskoczył widok księgarza, który nań czekał przed dworcem. Przeraził się jednak ujrawszy, jak bardzo wychudł ten jego wierny przyjaciel i jak bardzo drżą mu ręce.

– *Come stai?* – zapytał. – Jak się masz?

– *Si tir'avanti* – bez przekonania odparł księgarz. – Jakoś leci.

Tragarz szedł za nimi poprzez szeroki, tonący w jesiennym słońcu Piazza dei Cinquecento i nie zważając na pędzące samochody, ryk klaksonów i wymyślenia szoferów, torował sobie drogę ku najbliższej taksówce. Wepchnął do niej walizkę Giovanniego, ze stoickim spokojem przyjął napiwek i odszedł. Giovanni podał kierowcy adres trattorii, siadł i opuścił szybę w oknie, aby chłonąć dobrze sobie znany zapach i widok swego miasta. Po chwili poważnie spojrzał na księgarza.

– Nie wyglądasz za dobrze, *caro amico* – rzekł.

– Nic mi nie jest – dość szorstko odparł księgarz. – Nie troszcz się o mnie. Nie rób sobie niepotrzebnych zmartwień.

W jasnym blasku słońca wjechali na Piazza Esedra, okrążyli wielką fontannę z nagimi najadami z brązu i skręcili w szeroką Via Nazionale.

– Nie rób głupstw i idź nareszcie do doktora – z wyrzutem rzekł Giovanni.

– Byłem – westchnął księgarz. – Medycyna mnie nie uratuje. Nie widzę żadnej nadziei.

Mijali znane im fasady budynków i pomniki. Zjechali w dół wzgórza w chaotyczny ruch na Piazza Venetia, gdzie ongiś rezydowali weneccy posłowie, a w kilka wieków później zbierały się tłumy, by słuchać, jak faszystowski II Duce grzmoci się po piersiach. Strzeżona Aurelia przesunęła się obok nich i z szybkością dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę pomknęła w stronę Colosseum. Księgarz drgnął i przymknął oczy.

Przejechali koło wielkiego kościoła St. Andrea della Valle i skręcili ku rzece.

– Pomówmy o czymś przyjemniejszym – wyszeptał księgarz. – Nie kłopotz się moją chorobą. Opowiedz o swojej podróży.

– Udała mi się – odrzekł Giovanni. – Tak, bardzo mi się udała. Objechałem pięć miast z Konfederacji doliny Padu, których dotychczas nie widziałem, a potem wróciłem do Vetulonii, bo, rzecz dziwna, wydała mi się początkowo nieciekawa. Nigdy nie przypuszczałem, że coś, co dotyczy Etrusków, może być nudne. Ale tym razem byłem lepiej przygotowany: dostrzegłem pewne subtelne szczegóły. Prawdę mówiąc, to fascynujące miasto. Byłem też w Rusellae, tak pięknej jak nigdy. A w powrotnej drodze spędziłem parę godzin w Volterra. Ogromnie byłem ciekaw, czy dokonano tam nowych wy-

kopalisk pod obsuniętą ziemią. – Wychylił się z okna, by lekkim uśmiechem powitać chmurną powierzchnię Tybru, bo właśnie przejeżdżali przez most, i z rozkoszą przeciągnął się w jesiennym słońcu.

– Można rzec, żeś pouczał archeologów przy pracy – mruknął księgarz przez zaciśnięte zęby.

Giovanni nawet nie dostrzegł ostrego sarkazmu zawartego w tych słowach, przeniósł się bowiem myślami na łagodne, północne równiny, gdzie z zielonej trawy wyłaniały się pogmatwane fragmenty fortyfikacji i miast sprzed tysięcy lat.

– Zdjęła mnie chęć wynajęcia paru ludzi i pokopania na własną rękę – opowiadał dalej. – Jestem pewny, że w północnej części miasta dużo jeszcze można znaleźć.

– Znam twoje teorie – pośpnie rzekł księgarz. – Sądzę, że uczeni i doświadczeni archeolodzy byli ogromnie wstrząśnięci naukowymi rozważaniami właściciela małej restauracyjki?

– Nie pouczałem archeologów – sztywno odparł Giovanni. – Możesz się śmiać, ale przecież ja przeczytałem niemal każde dzieło traktujące o Etruskach. Kupowałem nawet książki, których tylko dlatego nie przeczytałem, że mi ich nie przetłumaczyłeś.

Spojrzał w górę na wierzchołki sykomorów nad rzeką; ich najwyższe gałęzie lekko falowały w łagodnym powiewie wiatru, a na brzeżkach liści pokazały się już czerwone i żółte cętki. Na prawo zadziwiający masyw Mauzoleum Hadriana piął się w górę na tle nieba; w łagodnych, słonecznych promieniach blanki i parapety jego

murów nabrały miłego dla oka czerwono brązowego odcienia. Ach, jak dobrze było znów znaleźć się w Rzymie! Gdy taksówka pędziła ku Zatybrzu, Giovanni z nowym zachwytem spojrzął na kolumnadę i kopułę bazyliki Św. Piotra.

– Nie chciałem ci dopiec – rzekł księgarz. – Dawniej nie byłem kłótniwy. Teraz zrobiłem się nerwowy. Najmniejszy hałas wyprowadza mnie z równowagi. Kiedyś wierzyłem, że z czasem osiągnę stoicki spokój Panajtiosa z Rodos. Niestety, nic z tego! – Bezwładnie opadł na siedzenie taksówki.

– Nigdy nie twierdziłem, że jestem uczony – odparł Giovanni. – Jak mogłeś przypuszczać, że będę na tyle bezczelny, by dawać nauki archeologom? Ale czytałem wiele, nauczyłem się dużo. Język Etrusków poznałem na tyle, że mogę rozszyfrować napisy. Temu chyba nie zaprzeczysz – zaśmiał się, – A poza tym mam bodaj jedną z najwspanialszych w całej Europie prywatną kolekcję etruskich dzieł sztuki.

– Tak – westchnął księgarz. – Osiągnąłeś wiele, ale i wiele utraciłeś. Na przykład dar przezorności.

Giovanni strącił popiół z cygara i zamyślił się.

– Tak, racja, że trochę straciłem głowę – przyznał. – Bardzo podnieciło mnie to, czego dokonaliśmy przed dwoma laty. Dla ciebie ta rzecz pewno nie była niczym niezwykłym, ale dla mnie stała się objawieniem. – Rozmarzyły go wspomnienia. – Chyba pamiętasz, że jestem synem chłopca. Zanim zdążyłem zdobyć jakąś wiedzę, oddano

mnie na praktykę do restauratora w moim rodzinnym mieście, Pistoii. Tam nauczyłem się, jak należy prowadzić interes, ale nauczywszy się tego dalej pozostałem wieśniakiem. Zdałem sobie jednak sprawę z nędzy mego żywota i jego wieśniaczej beznadziejnej szarości. Przeniósłem się do Rzymu. Ale i tu przez długie lata moje życie niewiele różniło się od zwykłego, chłopskiego. Zrywałem się o świcie i pracowałem niemal do północy. W moim życiu nie wydarzyło się nic godnego uwagi. – Gestem ręki, w której trzymał cygaro, akcentował słowa. – Oczywiście, doszedłem do pewnych wyników; dorobiłem się restauracji i mieszkania nad nią. Nigdy bym pewnie do tego nie doszedł, gdybym został na wsi. Ale nie było w tym nic nadzwyczajnego. Wielu ludzi osiągnęło to samo. – Uśmiechnął się. – A potem otworzono wielką restaurację na rogu naszej ulicy. Ogarnęła mnie iście chłopska rozpacz, mimo że postanowiłem się nie poddawać. Tyś mnie uratował. Ty ożywiłeś moją szarą egzystencję myślą o owym tunelu. Ty wytłumaczyłeś mi, na czym polega prawo Breachy'ego. W rezultacie zmieniło to mój cały pogląd na życie. A potem wpadłem do tego grobowca i odkryłem najwspanialszą rasę ludzi, jacy kiedykolwiek stąpali po ziemi. Po raz pierwszy zrozumiałem, co to jest nie być wieśniakiem, zrozumiałem, co to znaczy robić taką niezwykłą rzecz.

Minęli kościół Santa Maria. Złoto na jego dwunastowiecznych freskach lśniło w słońcu. I znów przez kilkanaście minut jechali dalej w dół, serpentyną alei, przecięli skwer na wprost konkurencyjnej

restauracji i skręcili w ulicę Skrybów, by zajeżdżać przed trattorię.

Giovanni wystawił walizkę na bruk, zapłacił kierowcy i uważnie trzymając w jednym ręku zawiniątko w papierze, drugą ręką podniósł załuzję i otworzył drzwi swej restauracji.

– Bardzo bym chciał zobaczyć tunel i puścić już w ruch windę – rzekł gdy weszli – ale przedtem muszę ci pokazać, co kupiłem w Niemczech.

Z radością przyjrzał się znajomej jadalni i ruszył ku schodom wiodącym do jego prywatnego mieszkania.

Księgarz wszedł za nim powoli i opadł zmęczony na skórzany, klubowy fotel. Tymczasem Giovanni uważnie rozwijał zawiniątko. Było starannie opakowane: wiele zwojów mocnego papieru otaczało grubą warstwę waty drzewnej, która z kolei chroniła czarną, glinianą etruską wazę. Giovanni wyjął ją wreszcie i pieśczośliwie uniósł w górę, by pokazać księgarzowi.

– Pochodzi z grobowca w Vulci – rzekł i wyjął z portfela poświadczenie zaopatrzone w różne urzędowe pieczęcie. – Dyrektor muzeum w Monachium, wiesz, spec od Etrusków – w tym miejscu zakasłał z szacunkiem – powiedział mi, że ta waza pochodzi zapewne z grobowca w Lucumo.

Księgarz zaszczycił wazę zaledwie przelotnym spojrzeniem.

– Powiedz mi – rzekł – czyś także złożył wizytę swemu korespondentowi w Monachium?

– Myślisz o profesorze Hoffensteinerze?

– A z iloma niemieckimi uczonymi korespondujesz? – szorstko zapytał księgarz. – Chyba, pamiętasz, że nieraz pokazywałeś mi teczkę z obfitą korespondencją z profesorem. Jeśli się zastanowisz, co nie jest takie znowu niemożliwe, to kto wie, czy nie przypomnisz sobie, że prosiłeś mnie o przetłumaczenie twych listów na niemiecki.

Giovanni zignorował tę ironię.

– Ta wizyta bardzo mnie rozczarowała – powiedział. – Jak wiesz, profesor uchodzi za największego w Europie znawcę religijnych praktyk. Etrusków. A ponieważ mam fresk, który je przedstawia, więc...

– ...więc opisałeś mu każdy szczegół tego fresku, grobowiec i tunel, co? – przerwał mu księgarz.

– Tak oczywistego głupstwa nie zrobiłem – żarliwie zaprzeczył Giovanni.

Księgarz przymknął oczy.

– Ale robisz, drogi przyjacielu – rzekł. – Kiedyż nareszcie odezwie się w tobie głos rozsądku i zrozumiesz, że postępujesz jak szaleniec?

– Nie pojmuję, czemu się denerwujesz. Tak, pojechałem, aby pomówić z profesorem, ale to była tylko strata czasu. Nie powiedział mi nic o bóstwach Turms, S'ethlans i Fufluns, czego bym już nie czytał. A przecież miał coś do powiedzenia na temat podobieństwa między etruskimi i chaldejskimi praktykami religijnymi – przyznał. – Zdaje mi się jednak, że za dużo wagi przykładu do etruskiego zwy-

czaju przepowiadania przyszłości z lotu ptaków i z wnętrzości świeżo ubitego barana. Podziękowałem mu więc grzecznie, zapłaciłem tłumaczowi i wyszedłem. I co złego zrobiłem? Dlaczego profesor miałby coś podejrzewać?

– Serce masz ze szczerzego złota, ale głowę z granitu. Nieodparte argumenty, cierpliwie wykładane, docierają do ciebie z takim samym skutkiem, jak do niemowlęcia przy piersi. – Wyglądał na bardzo zmęczonego, gdy ciągnął dalej: – Cóż więc dziwnego, że nerwy mam stargane, a fizycznie czuję się pod psem.

– Przesadzasz, mój drogi – zaproponował Giovanni. – Profesor z pewnością dostaje listy i przyjmuje wizyty wielu uczonych zajmujących się starożytną Etrurią. Dlaczego miałby się akurat zainteresować moją osobą? A co do wazy, to była wystawiona na licytację. Kupiłem ją całkiem legalnie, a transakcja została urzędowo zarejestrowana. Na granicy włoskiej uściłem cło. Czego więc chcesz ode mnie?

– Powiedz mi, proszę – drwił księgarz – czy to nie budzi zdziwienia, że właściciel małej restauracyjki na Zatybrzu ni stąd, ni zowąd jedzie sobie do Niemiec, aby zasięgnąć opinii znanej sławy i kupić rzadki, starożytny przedmiot? Takie wypadki nie trafiają się co dzień, nie trafiają się nawet raz na sto lat. Muszą budzić podejrzenia. Nasze władze dowiodłyby więc niesamowitej opieszałości, gdyby tego nie zauważyły i nie zaczęły się zastanawiać, skąd u takiego człowieka biorą się podobnie tajemnicze zamiłowania i skąd ma na

to pieniądze.

Uniósł głowę i rozejrzał się po pokoju pełnym bojowych toporów, hełmów i dzid. Spojrzał na wielką brązową wazę, pięknie zachowane zwierciadło i masywne półki wypełnione książkami z zakresu sztuki, historii i językoznawstwa prastarej i umarłej cywilizacji.

– Zapchałeś już ten pokój przedmiotami z grobowca – rzekł. – Pozwól się zapytać, gdzie znajdziesz miejsce na jeszcze jeden okaz?

Giovanni założył ręce na plecy i z zadowoleniem patrzył na pokój wypełniony starożytnościami.

– Przywiezionej wazy nie zamierzam postawić tutaj – rzekł. – To nie jej miejsce. Lars Porsena, jak wiesz, zmarł mniej więcej 500 lat p.n.e., dyrektor muzeum w Monachium zaś jest przekonany, że tę wazę wykonano znacznie później, jakieś 350 lat p.n.e. To jasne, spójrz! – pochylił się nad nową zdobyczą i wskazał na zdobiące ją wspaniałe postacie: – To z pewnością jest Hades, a to – Persefona, tu zaś, na dalszym planie, stoi Geryon. Zwróć uwagę, jak wspaniałe są oddane te trzy głowy – zdmuchnął odrobinę kurzu z malowidła – spójrz tylko na tę zbroję, co za kolory! Nie do wiary!

Księgarz się nie poruszył.

– Więc co chcesz z nią zrobić, jeżeli, jak mówisz, twoje poczucie chronologii nie pozwala ci postawić jej w tym pokoju?

Giovanni podszedł do okna. Ukochana wizja zamgliała tan oczy.

– Najszczęśliwsze godziny w życiu spędziłem w muzeum Villa

Giulia – rzekł. – Dało mi to wiele radości i przysporzyło natchnienia. Chciałbym wyrównać mój dług wobec tego muzeum. Od kilku miesięcy nosiłem się z tym zamiarem, aż wreszcie nadarzyła mi się okazja. Kiedy w ostatnim biuletynie wyczytałem, że ta waza będzie wystawiona na sprzedaż w Monachium, pomyślałem sobie „to twój obowiązek”. W Villa Giulia jest sporo czarnych, glinianych etruskich waz; ale na żadnej z nich nie ma tak doskonałej podobizny Geryona. Tak, tę wazę chcę ofiarować memu przybranemu miastu i umieścić ją w specjalnej gablocie w Villa Giulia, ku korzyści wszystkich obywateli Rzymu. – Rozpromienił się pod wpływem tej wspaniałej wizji. – A pod spodem chciałbym dać tylko malutką, srebrną tabliczkę z napisem: „Wazę tę ofiarował Rzymowi Giovanni Venturi z Zatybrza”.

Zdumiał się niemile ujrawszy, że księgarz dusi się ze śmiechu. Ale po chwili zrozumiał, że to nie śmiech, tylko atak straszliwego kaszlu. Kiedy zaś księgarz słabym ruchem uniósł rękę z poręczy fotela, jakby chciał coś powiedzieć, opadła mu ona bezwładnie na kolana. Twarz miał przy tym bladą jak chusta. Giovanni ukląkł przy nim.

– Co ci jest? Powiedz, co się stało?

Księgarz z trudem uniósł powieki.

– Odrobinę wody mineralnej – wyszeptał.

Giovanni pobiegł do kuchni, a kiedy wrócił, zobaczył, że księgarz siedzi skulony w fotelu: pochylił się do przodu, łokcie wsparł na

kolanach, ręce skrzyżował na wątlej piersi.

– Już mi lepiej – szepnął po upiciu paru łyków wody i odchylił się w tył. – To lekki atak – wyrzekł prawie niedosłyszalnie.

– Nie ruszaj się – mówił Giovanni łykając słowa – biegnę po doktora. Siedź i nie ruszaj się!

– Szkoda zachodu – odparł księgarz z trudem wyjmując chustkę z kieszeni i ocierając sobie twarz. Ten wysiłek całkiem go jednak wyczerpał. Giovanni pochylił się i pomógł mu podnieść szklankę do ust.

– Lekarze są bezsilni – mamrotał księgarz. – Mówiłem już, że tylko ty możesz mi pomóc.

Giovanni zaczął chodzić wzdłuż i wszerz pokoju.

– Ależ to absurd – mówił. – Możesz przecież osiedlić się w górach. Możesz wynająć willę nad morzem czy też objechać największe miasta świata, ale upierasz się, aby tu zostać i się zadreć. Bóg wie czym. Ja nie potrzebuję opieki. Nic mi nie grozi. Nikt nas nie podejrzewa.

Księgarz wpół żywy wciąż siedział w fotelu.

– Powiodło nam się wspaniale – ciągnął Giovanni pochylając się nad bezwładnym ciałem przyjaciela. – Jesteś bogaty. Powinieneś być szczęśliwy, wracaj w góry, które tak bardzo kochasz, i zostań tam, dopóki znów nie będziesz zdrów i pełen energii.

– Za późno – szepnął księgarz i usta wykrzywiły mu się boleśnie. – Nie chciałeś, choć nalegałem, utrzymać się w roli, którą logi-

ka dyktowała; nie chciałeś udawać pracowitego i uczciwego właściciela restauracji, który rozpaczliwie walczy o byt. Śmiałeś się z URITI, zamiast ją przeklinać. Nie siadywałeś z głową ukrytą w dłoniach symulując krańcową rozpacz. Nie wylewałeś łez przed sąsiadami. Nie chciałeś udawać, że pozostało ci już tylko parę lirów w kieszeni. – Łyknął trochę wody i znów się zakasłał. Dreszcz wstrząsnął jego wychudłym ciałem. – Nie, nie trzymałeś się tej roli, kiedy przyszły pieniądze. Pozwoliłeś, aby twoja trattoria stała się sławna. Dopuszciliś do tego, by cały świat się tobą zainteresował. Po prostu prowokujesz ludzi do śledzenia ciebie. Zgodziłeś się na wyłożenie tego jadłospisu w komicznej angielszczyźnie. Dawałeś wywiady prasie. Ogołociłeś grobowiec pod tunelem, aby udekorować ten pokój przedmiotami, które natychmiast cię zdradzą, gdy je ktoś obcy zobaczy. Korespondujesz z uczonymi, którym życie zeszło na badaniach archeologicznych i którzy mogą się tylko dziwić twojemu zainteresowaniu Etruskami. A teraz już tak się zapomniałeś, że spodziewasz się po mnie, iż zaaprobuję twój pomysł ofiarowania Rzymowi rzadkiego wykopaliska. I kto go ofiaruje? Ty, skromny właściciel małej knajpki! Ty, człowiek, który dwa lata temu nawet nie słyszał o etruskiej cywilizacji.

Giovanni podszedł do okna i zamyślił się.

– Tak – apatycznie rzekł po paru minutach – masz rację. Jak już wspominałem, urodziłem się wieśniakiem. Szaleństwem byłoby myśleć, że się zmieniłem. – Spojrzeniem ogarnął lśniące wazy, które

stały u jego nóg. – Kiedy wziąłem się do niecodziennego czynu, kiedy pomogłem w jego realizacji, zdawało mi się – pod wpływem chłopskiego impulsu – że jestem innym człowiekiem. *Idiota che sono*. – Dłonią zaciśniętą w pięść uderzył się w czoło. – Tym pretendowaniem do czegoś innego sprawiłem ci ból i zrujnowałem twoje zdrowie. Czy mi przebaczysz, drogi przyjacielu? – Spojrzał w znużone oczy księgarza. – Posłuchaj, nie będę już nigdzie jeździł. Nie udzielię już żadnego wywiadu i nie wpuszczę fotografów za próg trattorii. Będę trzymał język za zębami. Przestanę pisywać listy do profesorów. Niczym więcej nie zwrócę na siebie uwagi.

Księgarz zdobył się na słaby uśmiech.

– Teraz nie można już zapobiec rozgłosowi, jaki powstał wokół trattorii. Ucieszę się jednak, jeżeli w tych innych sprawach dotrzymasz obietnicy.

Giovanni układał plany:

– Ale i ty zrób mi przyjemność: wyjedź na długie wakacje. Powinieneś posiedzieć na słońcu dopóty, dopóki nie wypoczniesz całkowicie i nie odzyskasz zdrowia.

Księgarz przygryzł wargi.

– A kto będzie nosił półmiski w tunelu tam i z powrotem? Kto mnie zastąpi?

– Ja poradzę sobie ze wszystkim – żarliwie zapewniał Giovanni,

Księgarz badawczo spojrział na jego pękaty brzuszek.

– Nie, mój drogi, to nierealne rozwiązanie. Może byś przez parę dni i podołał takiej harówce. Ale potem dostaniesz zadyszki biegnąc w górę i w dół tunelu. Będziesz się zataczał na schodach; pot zaleje ci oczy i potłuczysz naczynia. Potrawy rozlecą się na wszystkie strony, Albo też, w najlepszym wypadku, zadyszany doniesiesz je cało do jadalni, a goście będą patrzeć na ciebie zdziwieni. – Z dezaprobatą potrząsnął głową i zastanowił się. – Wiem, że signora Pandolfi zastępowała mnie przy tej pracy, kiedy byłem w szpitalu. Mądrze zrobiłeś uciekając się do jej pomocy w nagłych okolicznościach, ale na dłuższą metę nie da się tego utrzymać. Podawanie będzie szło za wolno, jeżeli ktoś, kto stoi przy windzie, będzie musiał także donosić potrawy do kuchni. Nie, nie, albo trzeba kogoś znaleźć na stałe, albo ja muszę zostać. – Zamyślił się głęboko. – Nie wierzę też, aby Miranda – to rozkoszne dziewczę, które z taką cierpliwością potrafiło rozkochać cię w sobie – mogła podołać temu dodatkowemu zadaniu. Zresztą to praca dla mężczyzny.

Giovanni zaczerwienił się na dźwięk imienia ukochanej.

– W takim razie zamknę trattorię – oznajmił stanowczym głosem. – Nie mogę siedzieć spokojnie i patrzeć, jak ty się męczysz bez wypoczynku.

– Nie zgadzam się – z niespodziewanym wigorem zaproponował księgarz. – Nie zgadzam się na taką ofiarę z twojej strony. Nie pozwolę, abyś zamknął trattorię i z mojego powodu sprawił satysfakcję URITI.

Giovanni krążył po pokoju i przyglądał się stojącym wszędzie cennym wykopaliskom. „Z pewnością są warte ze trzydzieści milionów lirów – myślał – a sarkofag i freski w grobowcu przyniosą fortunę. Gdybym sprzedał to wszystko, moglibyśmy się wycofać jako bogaci ludzie. Nie potrzebowalibyśmy już pracować ani w trattorii, ani w tunelu. Ale...”

Po pierwsze, wcale nie chciało mu się zamykać trattorii. Była przecież końcowym owocem jego długoletnich wysiłków i walki; jego domem, a w dodatku teraz zdobyła ogromny rozgłos, stała się sławna i dawała olbrzymi dochód.

Po drugie, dzielił niechęć księgarza do ustępowania z pola dyktacji URITI i dawania jej powodu do radości.

Ale był jeszcze i trzeci wzgląd – bardzo, istotny. W myśl obowiązującego we Włoszech prawa, każdy, kto odkrył jakieś zabytki, powinien był natychmiast zawiadomić o tym Państwową Komisję Zabytków, która mogła albo nakazać konfiskatę odkrytych obiektów, albo je odkupić, albo też – jeżeli nie przedstawiały większej wartości – pozostawić fe odkrywcy. „Tak czy owak – medytował Giovanni – Komisja na pewno zainteresuje się, skąd i w jakich okolicznościach doszedłem do posiadania tych dzid, sarkofagu i fresków.”

Tymczasem księgarz znów upił trochę wody mineralnej i rozmyślał nad zagadnieniem, które go dręczyło.

– Jest jedno rozwiązanie – rzekł po chwili.

– Jakie? – zapytał Giovanni..

– Tak się składa, że mam jeszcze jednego kuzyna w Ivrea, który może zdoła zastąpić mnie w tunelu. Jest nieco tępy, o ile pamiętam, ale żwawy w nogach i silny jak koń. W jego rodzinnym mieście trudno o pracę, tak że od paru lat jest bezrobotny. Łatwo go więc będzie skaptować do nas – w zadumie podrapał się w nos. – Myślę, że po tygodniu czy dwóch nabędzie dostatecznej wprawy, bo przecież do tej pracy nie trzeba mieć wysokich kwalifikacji.

– A ty wtedy pojedziesz na dłuższy wypoczynek?

Księgarz skinął głową.

– Tak, w tych warunkach zgodzę się zająć czymś innym – długo kasłał w chusteczkę, a Giovanni pobiegł po nową butelkę wody.

– W swoim czasie dość dużo podróżowałem – zaczął księgarz, kiedy się już wykasłał. – Okoliczności mnie do tego zmusiły. Gdyby nie to, nie ruszylibym się z miejsca: jak wiesz, z natury nie jestem globtroterem. Mógłbym więc niebawem podjąć swoje podróże. Tam w górach przestudiowałbym co słynniejsze przewodniki po tych dalekich terenach, na których jeszcze nie byłem. Tymczasem mój kuzyn Edoardo mógłby zastąpić mnie w tunelu – odkaszlnął, aby przeczyścić sobie gardło. – Jak już wspomniałem, nie odznacza się on zbytnią inteligencją. Mocno przesadziłem mówiąc, że jego współczynnik inteligencji wyraża się liczbą osiemdziesięciu siedmiu. Ale chłopak ma zalety, które – przy tego rodzaju pracy, jaką mu dajemy – są niezwykle cenne: jest chętny i wytrzymały jak muł, chce być przydatny, potrafi sobie poradzić z każdą pracą fizyczną i nawet mu

na myśl nie przyjdzie zastanawiać się, jaki sens ma to przenoszenie pod ziemią jadła i wina. Prawdę mówiąc, nie wiem nawet, czy w ogóle zda sobie sprawę, że pracuje pod ziemią.

– I można mu zaufać, że nie wygada się przed nikim?

– Jest głuchoniemy – krótko rzekł księgarz.

– Wspaniale. Kiedy może przyjechać?

– Już przyjechał. Miałem nadzieję, że zgodzisz się na tę propozycję, i wczoraj wezwałem go do Rzymu.

– A kiedy go już podszkolimy, pojedziesz na dłuższy wypożyczynęk?

– Tak, pojedę pod warunkiem, że obiecasz mi uroczyście przybrać odtąd postać skromnego restauratora. – Przyjrzał się uważnie wyrazowi twarzy Giovanniego. – Zaniechasz dalszego rozgłosu? Nie będziesz już z siebie stroił naukowca? Nie podarujesz tej wazy Etruskiemu Muzeum?

– Obiecuję – rzekł Giovanni.

Księgarz wyjechał z Rzymu rankiem 14 października 1958 roku i udał się do Rivisondoli, wioski położonej wysoko w Abruzzach. Na pozostałe siedem miesięcy swego życia osiadł tam w gospodzie „Impero”.

Aż do ostatnich tygodni, kiedy już stan zupełnego wyczerpania nie pozwolił mu na żaden wysiłek umysłowy, regularnie pisywał do swego przyjaciela na Zatybrzu. Giovanni prawie zawsze odbierał jego listy co wtorek i piątek. I prawie zawsze zawierały one trzy

strony zwartego pisma. Ich styl był przebiegle subtelny, a sens przeważnie metafizyczny. Usiane też były cytataми z poetyckich dzieł Hariri i Katullusa, ale i nie brakło też w nich praktycznych wskazówek, jak na przykład: „Wielokrażki przy windzie należy smarować przynajmniej trzy razy na rok, by nie skrzypiały”. Przypomniał o tym 22 grudnia 1958 roku.

W liście z 15 stycznia 1959 pisał między innymi:

„Cieszę się, że Edoardo tak gładko wchodzi w tryb swojej pracy. Szczęście, że jego procesy myślowe są mocno przytępione. W normalnym wypadku zawahałbym się dopuścić kogoś do naszej tajemnicy, bo to zwiększyłoby ryzyko, ale jego głupota działa na naszą korzyść. Dobrze jednak, że nie musi przechodzić tuż koło grobowca, bo widok sarkofagu mógłby pobudzić do pracy nawet jego przytępiony umysł...”

A w liście z 16 lutego tegoż roku zrobił taką uwagę:

„Odradzałbym ci znów podwyższyć wynagrodzenie, jakie bierze Carlo. Jak wiesz już, teraz pobiera on u nas tyle, ile wynosi pensja podpułkownika karabinierów. Obawiam się, że przewróciłoby mu to w głowie i wbiło w niezdrową ambicję...”

List z 5 marca zawierał ostrzeżenie:

„W stosunku do Edoardo powinienes się zdobyć na filozoficzny spokój. W jego pracy można już dojrzeć trwałą i pocieszającą oznakę poprawy. Zgodnie z tym, coś pisał, stłukł on w grudniu dwadzieścia cztery półmiski, gdy biegł tunelem; piętnaście w czasie

wchodzenia na schody i siedem przy schodzeniu. W lutym zaś stłukł ogółem tylko osiemnaście. Przyznaję, że to denerwuje: goście muszą dłużej czekać na zamówione potrawy i trzeba posyłać nowe zlecenia do Carlo. Zastanawiam się, czy w tunelu nie jest za ciemno. Edoardo nie partaczy umyślnie; może jest tam jakieś ciemniejsze przejście i nie widzi drogi... Nie sądzę, aby był niedbały w wykonywaniu swoich obowiązków, i doradzam ci większą cierpliwość. Z natury jesteś impulsywny. Obawiam się, że twoje nagany mogą zniechęcić go i odebrać mu zapał...”

List z 31 marca 1959:

„Dlaczegoś zaczynam nie dowierzać naszemu Carlo. Wiem, że, podobnie jak signora Pandolfi i my obaj, zgodził się na niebezpieczne ustępstwa wobec własnego sumienia. Donosisz mi że zaręczył się z przyzwoitą i cnotliwą dziewczyną; uważam to za dobry znak. Muszę też lojalnie przyznać, że od trzydziestu miesięcy wiernie obsługuje windę w URITI. A jednak coś mi mówi, że nie należy mu ufać: Czuję, że w końcu nas zawiedzie. Czyżbym plótł głupstwa? Czyżby do długiego spisu moich nieszczęść należało jeszcze dodać utratę „rozsądku?”

Aby szczegółowo zrekonstruować przestępstwo Giovanniego Venturi, przyjrzyjmy się któregoś późnego popołudnia ruchom tego metodycznego i krzepkiego restauratora z Zatybrza, w czasie kiedy jego trattoria doszła do szczytu sławy, a on sam – wcale tego nieświadomy – zbliżał się do zmierzchu swojej przestępczej kariery.

Godzina: 17.00, dzień 11 stycznia 1959 roku.

Drzwi do „Trattorii Giovanniego” są zamknięte i zaryglowane. Słynna jadalnia jest ciemna i cicha. W kuchni kuzyn księgarza, Edoardo, prawdziwy olbrzym, śpi na ławie, zmęczony trzygodzinną bieganiną po tunelu w obiadowej porze. Wejście z kuchni do piwnicy i z piwnicy do tunelu jest zamknięte. Zastłania je przy tym stos worków z tufem, toteż nikt nie domyśliłby się jego istnienia.

Na piętrze Giovanni wypoczywa w gorącej kąpieli. Pluszcze się, nuci arię z Traviaty i od czasu do czasu spogląda na zegar wiszący na ścianie łazienki. Nie spieszy mu się.

O 17.15 wychodzi z wanny, wyciera się starannie i zabiera się do golenia. Potem odświeża twarz zimną wodą i paroma kroplami płynu po goleniu. Leciutko przypudrowuje policzki i naciera ciało wodą kolońską. Nuci przy tym arię z Il Trovatore. Głośno i fałszywie, ale tego nie wie, a gdyby nawet wiedział, nic by go to nie obchodziło.

W sypialni wyjmuje czystą koszulę, bardzo nakrochmaloną i bardzo białą. Zawiązuje czarną muszkę, wkłada świeżo odprasowane czarne spodnie, czarne skarpetki i czarne półbuty. Mimochodem zerkna na inny wiszący zegar.

O 17.50 schodzi do kuchni swojej trattorii i szarpaniem za ramię budzi Edoardo, a gdy ten młody osiłek splukuje twarz i ręce zimną wodą, wyciąga z szuflady trzy czyste białe półfartuchy. Jeden z nich okryje jego wydatny brzusek, kiedy nadejdzie czas witania

gości. Drugim przepasze się Edoardo, gdy wybierze popiół z komin-ka w jadalni i rozpali na nim nowy ogień, a trzecim Miranda, kiedy przyjdzie robić parę w kuchni.

Następnie otwiera drzwi do piwnicy i schodzi po drewnianych schodach. Z takiej piwnicy niewielu właścicieli byłoby zadowolonych. Sprawia bowiem wrażenie, jakby wcale nie była wykopana: wszerg i wzdłuż, aż pod pułap wypełniają ją pękate worki z tufem. Są tylko dwa wyjątki, dwa wolne miejsca: tuż pod schodami, gdzie stoją półki na butelki z winem :– tu znajdują się też liczniki od gazu i od elektryczności – oraz wąskie przejście między spiętrzonymi, brzuchatymi worami, biegnące w poprzek piwnicy od schodów do jej północno-zachodniego kąta. Prowadzi ono do tunelu.

Giovanni idzie teraz tym korytarzem. Na jego końcu staje przed ścianą z worków pełnych wapnia. Bierze po jednym i przenosi pod schody.

Następnie otwiera drzwi do tunelu i schodzi po betonowych stopniach, które księgarz wykonał trzydzieści miesięcy temu. Bada je dokładnie, aby się przekonać, czy gumowe okładziny nie są śliskie: cztery dni temu Edoardo przewrócił się tutaj i stłukł pięć półmisków i dwie butelki z winem.

Potem rusza długim podziemnym przekopem. Przystaje jednak co chwila, aby spojrzeć uważnie na któryś z licznych obrazów na szarych ścianach z tufu; zwłaszcza podoba mu się jedna z Madonn Botticellego spoglądająca w głąb tunelu; podziwia malarza, który

potrafił tak wspaniale oddać ból i smutek rzewnej twarzy. Co sześć metrów pochyła się, aby zapalić naftowy piecyk – powietrze w tunelu jest dość chłodne i wilgotne, ale piecyki zaradzą temu w godzinę – i idzie dalej ku windzie. Z przyjemnością zauważa, że signora Pandolfi świeżo wyczyściła dywany odkurzaczem.

W jednym miejscu tunel się rozszerza o jakieś dwa metry: omija grobowiec kamiennego wojownika. Giovanni przechyla się przez metalową poręcz i zapala elektryczną lampę zainstalowaną przy sarkofagu. Nieruchome, kamienne oczy Lars Porseny patrzą w górę ku krągłemu otworowi w marmurowej kopule grobowca.

Giovanni pochyła się w ukłonie.

– *Buona sera, caro mio* – mówi – dobry wieczór, stary chłopie!

Wyprostowuje się i przechodząc pod sklepem złotnika i zielniarza, dociera wreszcie do końca tunelu. Spogląda na zegarek. Jest 18.15.

Signora Pandolfi już się krząta przy pracy. Wita Giovanniego szybkim skinieniem głowy, ale nie przerywa przygotowań do wydawania kolacji. Wielki parowy podgrzewacz, imponujące urządzenie, już jest ciepły, gotów do przyjęcia nieraz już wystygłych potraw, które niebawem zjadą z kuchni położonej o cztery metry wyżej. Porządnie ustawione tacki z przyprawami stoją na długim, kuchennym stole. Obok spoczywa cały asortyment bardzo ostrych noży i kilka korkociągów. Na innym stole signora Pandolfi ustawiła wazy na zupę, półmiski, półmисeczki i salaterki na sałatę. W tej chwili wyjmuje

z jednego z kredensów, zbudowanych przez księgarza, wielką wagę na zupeł.

Giovanni badawczym wzrokiem lustruje te przygotowania. Jest z nich zadowolony.

Po chwili kładzie rękę na linie od windy i szarpie trzy razy. Takie trzykrotne szarpnięcie jest wyraźne i – jak dowiodła praktyka – Carlo od razu je dostrzega. Teraz Giovanni puszcza linę i spogląda w górę szybu.

Wysoko nad jego głową, w kuchni URITI, Carlo stojąc w niszy muru, gdzie zainstalowano windę, też spogląda na zegarek. Patrzy, jak wskazówka się przesuwają od 18.10 do 18.11... 18.12... 18.13...

Uważnie objął wzrokiem całą kuchnię: czterej kucharze pochylając się nad płytami pieców pilnie przygotowują wielką ilość najrozmaitszych potraw. Pomywacze garbią się nad zlewami: piętrzą się przy nich stopy naczyń, pozostałość po sześciuset gościach, którzy jedli obiad w restauracji URITI, Zamieszanie rośnie, a niebawem dojdzie do szczytu. Carlo stoi z dala od swoich; kolegów i patrzy na zegar: 18.14... 18.15...

Lina zadrgała w umówiony sposób i o umówionej godzinie. Zdejmuje więc drewnianą pokrywę w podłodze windy, a kiedy światło z kuchni URITI przenika w dół szybu i pada na twarz Giovanniego, wita go uśmiechem.

Giovanni bierze ze stołu bloczek zamówień.

– Jaki aperitif pani sobie życzy? – uprzejmie pyta signorę Pan-

dolfi.

– Chciałabym Dry Martini – odpowiada leciwa dama – ale mi szkodzi. Zostanę, chyba przy czymś bardziej włoskim. Niech mi przyśle Negroni.

Giovanni pisze na kartce:

„Proszę zesłać kieliszek Negroni i dwa Campari wraz z wieczornym jadłospisem”. Przyczepia ten blankieciak do liny, pociąga za nią trzy razy i odstępkuje na bok. Lina porusza się i biała kartka płynie w górę.

Signora Pandolfi krzyżuje ramiona i staje przy Giovannim.

– Czasami żałuję, że nie można posłać w górę polecenia kucharzowi, aby nie sypał tyle papryki do sosów – żali się. – Piekielnie dużo czasu zabiera mi łagodzenie ich smaku. Ten kucharz zasługuje na to, aby go wylać.

Lina drży: zjeżdża taca. Na małej srebrnej podstawce stoją kieliszki: jeden z Negroni i dwa z Campari. Pod nimi leży wieczornym jadłospis restauracji URITI.

Tymczasem Miranda zeszła po małej drabince w połowie tunelu, która wiedzie do piwnicy signory Pandolfi. Miranda wygląda ładnie, jest żywa i pogodna. Lekkim, zwinnym krokiem podchodzi do tamtej dwójki: głowę ma lekko odrzuconą w tył, oczy wesołe, na twarzy uśmiech.

– Zasnęłam – mówi. – Po tylu latach spędzonych w Szwajcarii nie mogę się przyzwyczaić do tych popołudniowych drzemek. Tam

ludzie są zbyt zajęci. – Pochyliła się nad tacą i wciąga zapach truneków. – Wcale apetyczne. Czy to dla nas, czy już na zamówienie pierwszych gości? – pyta.

Giovanni zapomina, że jest statecznym, pracowitym przedsiębiorcą. Jego oczy zbyt długo spoczywają na lśniących, kasztanowatych lokach dziewczyny, na jej delikatnych i gładkich, obnażonych ramionach, na krągłych piersiach zarysowujących się pod prostą sukienką. Po chwili mruga oczami i chrząka.

– Jesteś na czas, moja droga. Chodźmy na górę, aby się namyślić, co dać na kolację.

Miranda wyjmuje z kredensu trzy szklaneczki ze znakami trattorii i przelewa do nich aperitify. Potem stawia puste z restauracji URITI na srebrnej podstawie, a Giovanni trzykrotnie pociąga za linę. Kiedy winda idzie w górę, Miranda ustawia trzy pełne szklaneczki na małej tacy i rusza naprzód. Giovanni i signora Pandolfi idą za nią. Wszyscy wchodzą do piwnicy trattorii i do jadalni.

Jest teraz 18.25.

Kiedy wchodzi po schodach, signora Pandolfi wypytuje Giovanniego o ostatnią wiadomość w gazetach, która nią ogromnie wstrząsnęła.

– Jak myślisz, czy Rosjanie naprawdę wystrzelili jeszcze jednego sputnika, tym razem z mężczyzną? – Nie zadowala jej odpowiedź Giovanniego. – Dlaczego zawsze i wszędzie mężczyzna ma być pierwszy? Któregoś dnia z pewnością poleci także kobieta. Kto

wie, może oni wystrzelili także kobietę, ale nic o tym nie mówią? Czy to nie podniecające, że może w tej chwili nad nami wiruje w przestrzeni jakaś dzielna niewiasta?

W jadalni obie panie zajęły się nakrywaniem stołów śnieżno-białymi obrusami i kładzeniem zastawy. Giovanni zaś podpałił na kominku i poszedł po pióro oraz firmowy blankiet na jadłospis. .

– Za dużo tam stawiasz talerzy, Mirando – mówi signora Pandolfi, gdy Giovanni wrócił. – Ten stół jest na dwie osoby, prawda?

Giovanni spogląda na listę zamówień. Otrzymał ich dziewięćdziesiąt cztery na dziś, ale że podał jedenaście obiadów, postanowił przyjąć tylko szesnastu gości.

– Zgadza się, daj tam tylko dwa nakrycia – rozejrzał się po pokoju. – Ambasador przyprowadza cztery osoby. Posadzę ich chyba tam, przy kominku. – Znow spogląda na listę zgłoszeń. – Mam jeszcze cztery zamówienia na stoliki po trzy i dwa nakrycia. To znaczy, że jeden stół będzie dziś wolny.

Siada przy nim i zagłębia się w studiowaniu jadłospisu restauracji URITI. Czyta uważnie i z namysłem. Wreszcie podejmuje decyzję.

– Myślę, że dziś na zupeł specjalnie polecaną wybierzemy *minestrone con la zucca gialla*, mimo że ostatniego razu cebula z URITI nie miała żadnego smaku – mówi do dwóch kobiet, które skrzętnie ustawiają kieliszki przed talerzami i talerzykami. – Może jednak źle robię: mają dziś także *minestrone alla gastronomo*, która zawsze

jest u nich świetna.

– To nie będzie zupy cebulowej? – pyta signora Pandolfi kładąc srebra przy talerzach. – Chętnie bym ją zjadła, kiedy już skończymy z nakrywaniem.

Giovanni przecząco potrząsa głową.

– Więc jakież jeszcze zupy dziś mają?

– Ich spis jest długi i imponujący: *zuppa di fave alla romana*, *zuppa di uova e cipolle*, *zuppa di corata di maiale*, *puree Grecy*, *zuppa di zucchine alla napoletana*, *minestrone rustico...*

W końcu decyduje się umieścić w swojej karcie tylko cztery z dwunastu rodzajów *pastasciutta* przygotowanych dziś przez restaurację URITI. Ryb nie poda: poniżej nagłówka *pesce* na własnym jadłospisie wpisał: Kiepski sezon na ryby. Giovanni nie poleca żadnej”. W zamian natomiast zaoferował siedem dań z kurcząt z menu URITI. Z trzydziestu jeden mięsnych potraw wybrał dwanaście, do tego cztery rodzaje sałat, potem sześć gatunków serów, trzy desery, cztery odmiany lodów oraz świeże owoce.

O 18.40 zakończył układanie jadłospisu. Miranda i signora Pandolfi siadły teraz przy nim. Ogień płonie wesoło, na wszystkich stolikach stoją kwiaty: jadalnia jest już prawie gotowa na przyjęcie niewielu wybrańców losu.

Trójka współników unosi w górę kieliszki pijąc za zdrowie nieobecnego księgarza, który jest chory. Obie kobiety studiują jadłospis popijając aperitif.

– Świetnie się prezentuje – mówi Miranda uśmiechając się do Giovanniego. – Jest elegancki, w dobrym tonie, bez tej pretensjonalności, jaką ma ta długa litania potraw tam, w URITI. Giovanni, jestem naprawdę z ciebie dumna.

Giovanni uśmiechem kwituje to uznanie i w oczekiwaniu zawieszając wieczne pióro nad swoim menu, podczas gdy signora Pandolfi głośno czyta ceny umieszczone obok dań wymienionych w jadłospisie restauracji URITI. URITI liczy 250 lirów za makaron z szynką i grzybami. Giovanni po chwili namysłu stawia cenę 500 lirów. *Sal-timbocca* w URITI kosztuje 375 lirów, Giovanni wycenia ją na 625. Dania z kurcząt w tamtej restauracji wahają się w cenie od 400 lirów do 625, u Giovanniego zaś od 850 do 1200. Jeżeli *ossobuco*, *filet mignon* z rusztu i ser *Bel Paese* kosztuje w URITI odpowiednio 350, 475 i 120 lirów, u Giovanniego trzeba za nie zapłacić 550, 900 i 250 lirów.

Jest 18.55.

Miranda odchodzi do kuchni i nastawia na ogień duży kocioł z wodą. Signora Pandolfi ze znanstwem przestawia i przekłada niektóre kieliszki i sztućce na stołach, a Giovanni prowadzi osiłka Edoardo do piwnicy i poprzez tunel.

Przy windzie wysyła drugie zamówienie tego wieczora: „Cała waza *minestrone con la zucca gialla*, dwie porcje zakąsek, chleb na szesnaście osób i sześć butelek wody mineralnej *San Pellegrino*, jeśli macie”.

Taca zjeżdża dopiero po trzech minutach, bo Carlo musi również wykonywać polecenia dla jadalni URITI. Ale wreszcie ukazuje się: stoi na niej waza z zupą, dwa półmiski z sardelami, sardynkami, tuńczykiem, w galarecie, wędzonym łososiem, *canape d'uova*, kawiozem, głąbkami karczochów, czterema gatunkami szynki wędzonej i gotowanej, jajkami z nadzieniem z krewetek, *crema di prosciutto*, *pomodoro farciti* oraz innymi wyszukаныmi zakąskami.

Na znak Giovanniego Edoardo bez najmniejszego wysiłku bierze wazę z tacy i przelewa zupę do wazy ze znakiem trattorii.

Giovanni stawia pustą już wazę na windzie i uważnie przekłada delikatne mięsa, ryby i pozostałe zakąski na własne srebrne półmiski. Później ustawia opróżnione naczynia na windzie obok wazy i pociąga za linę w umówiony sposób. Winda jedzie w górę.

Po chwili zjeżdża ponownie z potężną porcją chleba i sześćcioro ma butelkami San Pellegrino. Giovanni ustawia chleb i butelki na jednym ze stołów: Edoardo przeniesie to potem do kuchni trattorii.

Tymczasem zaś unosi ciężką wazę niby piórko i bardzo uważnie niesie ją tunelem, i dalej po schodach do piwnicy, i znów po schodach do kuchni Giovanniego. Tu wstawia ją do wielkiego kotła na piecu przygotowanego już przez Mirandę. Niektórzy z wieczornych gości spróbują dziś tej zupy, a wszyscy będą czuli jej zapach, bijący z kuchni przez drzwi umyślnie w tym celu otwierane co pewien czas.

Giovanni prowadzi posłusznego Edoardo z powrotem do scho-

dów wiodących z kuchni do piwnicy. Będzie on tu siedział dopóty, dopóki pierwszy z gości nie dokona wyboru dań z jadłospisu. Wtedy Giovanni wypisze zlecenie, szybko wybiegnie z jadalni i wciśnie je do ręki temu głuchoniememu olbrzymowi, a ten z kolei przekaże je signorze Pandolfi, która w swoim fotelu przy windzie czeka już na jego przybycie. A potem Edoardo przydźwiga zamówione dania i napoje tak szybko, jak je dostarczy kuchnia URITI. Giovanni może się nie bać, że przyniesione przez niego potrawy nie będą miały właściwego smaku czy temperatury: signora Pandolfi nie poprzestaje jedynie na obsługiwaniu windy. Potrafi odpowiednio korzystać z elektrycznych płytek, parowego podgrzewacza i tacy z przyprawami.

Niezgrabiasz Edoardo robi jednak zadowolające postępy: to cenny nabytek. Rozumem nie grzeszy, ale jest dosyć sprytny, kończyny ma mocne, posiada dar milczenia i nic nie jest w stanie go znudzić. Księgarz dobrze to wymyślił – przyznaje Giovanni. Bardzo dobrze.

Godzina 19.15. „Trattoria Giovanniego” jest już gotowa na przyjęcie gości,

Jak zawsze, reflektantów jest aż za dużo. Tego dnia, 11 stycznia 1959, pierwszy zjawia się doktor z Wiednia wraz z małżonką.

Giovanni jest uprzejmy, lecz stanowczy:

– Żałuję, ale państwo nie zamówili stolika, nie będę mógł więc nic zrobić.

– Przecież jeżeli nie zjemy kolacji u pana, to tak jakbyśmy nie

byli w Rzymie – nalega doktor w swoim wykwintnym włoskim języku. – Nasi dwaj znajomi z Salzburga, pan ich pewnie nie pamięta, ale zapewniam pana, że nie kłamię, wpadają w zachwyt, gdy próbują opisać wspaniałość pańskiej kuchni. Po kilka razy przypominali nam, abyśmy koniecznie w czasie pobytu w Rzymie odwiedzili pańską restaurację. Czy naprawdę nie da się nic zrobić? Ostatecznie chodzi tylko o dwie osoby. Z pewnością znajdzie się jakiś wolny kącik.

Giovanni uśmiecha się współczująco.

– Od siedmiu lat – mówi – trzymam się zasady przyjmowania tylko ograniczonej liczby gości. Widzi pan, mam bardzo małą kuchnię, gdybym więc przyjmował wiele osób, nie mógłbym zapewnić każdemu gościowi należytej uwagi i tak dobrego jedzenia, na jakie z pewnością zasługuje. Przykro mi – kończy – ale naprawdę nie mogę państwu służyć dziś wieczór. – Odprowadza doktorostwo do drzwi, na mroczną ulicę Skrybów, i wskazuje w stronę skweru. – Może by państwo spróbowali zjeść w restauracji URITI, o tu, na placyku.

– Och, jedliśmy tam dwa dni temu, kiedy zwiedzaliśmy kościoły na Zatybrzu – zżyma się doktorowa. – Mają całkiem pospolitą kuchnię. Niechże pan pozwoli nam dziś zjeść u siebie. Tak wiele opowiadano nam o pańskiej trattorii.

Wyjmuje z torby „Przewodnik Gastronomiczny”. „Trattorię Giovanniego” zaszczycono w nim dwoma gwiazdkami, o restauracji URITI nie ma natomiast ani słowa.

Giovanni wzrusza ramionami.

– URITI gotuje masowo, a ja indywidualnie. Kładę nacisk na jakość. Ograniczam więc liczbę gości, aby każdy dostał wszystko w najlepszym gatunku.

Doktor wzdycha i mówi do żony:

– Tego się właśnie bałem. Miałaś rację: powinniśmy byli telegraficznie zamówić stolik jeszcze przed wyjazdem z Wiednia – mówi doktor. Odwraca się do Giovanniego, uśmiecha się i podaje mu rękę. – No, ale znów tu przyjedziemy za parę lat. Wtedy jednak na kilka miesięcy przedtem zamówimy stolik. Mam nadzieję, że pańska słonka z truflami będzie wówczas równie dobra jak ta, o której nie mogą zapomnieć moi przyjaciele z Salzburga.

– Ależ naturalnie – odpowiada Giovanni – spodziewam się, że tego wieczora, kiedy państwo przyjedziecie, sionka będzie w moim jadłospisie.

Ten sam wieczór, godzina 20.30.

Giovanni w postawie pełnej szacunku stoi przy stoliku, przy którym siedzi towarzystwo składające się z dwóch pań i dwóch pań w wieczorowych strojach: za parę godzin udadzą się oni na prywatne przyjęcie do Pałacu Kwirynalskiego, urozmaicone występem skrzypcowego kwartetu Tunguska. Giovanni podaje menu dystyngowanemu panu i trzyma w pogotowiu bloczek zamówień.

– Ogromnie żałuję, wasza ekscelencjo – mówi – że nie mogę dziś zaproponować państwu żadnej ryby. Przetrzęsnałem rano

wszystkie rynki w Rzymie, ale dosłownie nie znalazłem nic godnego mojej kuchni.

– No cóż, trudno – odpowiada ambasador, maskując rozczarowanie dyplomatycznym uśmiechem.

– Ale ja chyba najlepiej wiem, jak pan przepada za moim wątluszem z pieprzem *alla romana* albo za filedami z soli *al vino bianco* – pochylając się do ambasadora mówi Giovanni. – Dlatego więc pilnie dziś szukałem ryb wartych pańskiego podniebienia. Jednak, jak już mówiłem, w całym Rzymie nie znalazłem ryby, którą można byłoby kupić.

– Niechże pan nie robi takiej zmartwionej miny – mówi pani ambasadorowa. – Zjedliśmy u pana już niejedną rybę. A jeżeli dziś nie ma pan żadnej godnej uwagi, niech nam pan poleci jakieś inne wspaniałości.

– Święta racja! – wtrąca ambasador i zwraca Giovanniemu jałospis. – Proszę, niech pan łaskawie sam ułoży menu. Oddajemy się w pańskie ręce.

– Najlepsze z rąk! – uprzejmie mówi ambasadorowa.

– Święta racja! – zgadza się ambasador. – Trzeba jednak wziąć jedną rzecz pod uwagę: nasi przyjaciele są Argentyńczykami, nie znają włoskich win. Proszę więc podawać nam tylko krajowe trunki.

Giovanni ułożył odpowiednie menu: bogaty wybór zakąsek, *vol-au-vent*, perliczka z grzybami i zielonym groszkiem, wołowe żeberka z musztardą z Dijon i kalafior *all'Arlechino*, mrożony koper

i sałata główkowa, Gorgonzola, a na deser *bombe glatee*. Do zakąsek podał butelkę Orvietto *secco*, do *vol-au-vent* – Volpolicella Bella 1953, do perliczki doskonale, choć mało znane białe wino z Elby, do żeberka – Barbera *superiore*, a do deseru – dobrze zamrożone wytrawne Gancia.

Musiał jednak pamiętać i o innych, stolikach, toteż nie mógł towarzystwu ambasadora poświęcić tyle uwagi, ile by chciał. Edoardo upuścił perliczkę, gdy wbiegał po schodach do piwnicy; powstała stąd niepożądana przerwa w kolacji, bo trzeba było ponowić zamówienie w URITI. Mimo to ambasador promieniał z zadowolenia, kiedy po raz ostatni odjął serwetkę od ust, a jego żona wylewnie uściśnęła rękę Giovanniemu na odchodnym.

Rachunek wyniósł 21 450 lirów. Ambasador nie zapomniał przy tym o hojnym napiwku.

Giovanni zawsze może liczyć na to, że ten gość zjawi się w dobrym towarzystwie.

Ten sam wieczór. Godzina 22.15.

Trzech panów przy innym stoliku skończyło już jeść przed pół godziną, lecz rozkoszuje się jeszcze ciepłym ognia na kominku i wspomnieniem smakowitej kolacji. Giovanni podał im:

Canape al petto di pollo

(Falerno bianco)

Ravioli di carne

(Chianti Antonori, 1949)

Cuore di filetto di bue in casseruola „alla Giovanni”

(Bardolino Vecchio, 1949)

Cipolline glassate al bianco

Torta di noci e cioccolato

(Vin Santo)

Caffè Espresso

(Rémy Martin V.S.O.P.)

– Chciałbym częściej przyjeżdżać do Rzymu – mówi jeden z tych panów. Kładzie 15 000 lirów obok rachunku, który mu dyskretnie podał Giovanni, i rezygnuje z reszty. – Czemu nie otworzy pan filii w Genui? – pyta. – Nie ma tam ani jednej restauracji, która mogłaby się mierzyć z pańską. Zrobiłby pan fortunę. – Jest to wielka figura w Genui, właściciel paru firm i przywódca monarchistów.

Drugi mężczyzna, echo pierwszego, podziela to zdanie.

Giovanni jest uosobieniem szacunku.

– Genua to piękne miasto – mówi – ale ja już znam tutejsze warunki. Nie sądzę, aby można było przenieść moją trattorię gdzie indziej – i wycofuje się do innych obowiązków.

Trzeci mężczyzna ma twarde rysy tzw. „anioła stróża”: nie odznacza się skłonnością do żartów.

– Znam tego ptaszka od niepamiętnych czasów – mówi do

swego szefa, kiedy już Giovanni odszedł. – Nieraz tu jadalem za mego pobytu w Rzymie. Wtedy ta jego knajpa była najzwyczajszą knajpą w świecie. I teraz w niczym się nie zmieniła, tylko że on robi trudności przy wstępie. Przez to ludzie się tu pchają. Ale mnie czu nie zamydli.

– Nie smakowało ci jedzenie? – pyta ten drugi.

– Owszem, smakowało. Bo i któż w Rzymie potrafi tak ugotować *cipolline glassate* jak on?

Ten sam wieczór, godzina 22.50.

Pozostała jeszcze jedna para gości: kobieta uchodząca za markę i nawet ciesząca się powodzeniem – zamieszkała na Via Margutta, za rzeką, obok Hiszpańskich Schodów, jest częstym gościem w trattorii. Dobrze zna Giovanniego: to ona telefonicznie zamówiła stolik. Jej towarzysz, w wieku lat mniej więcej trzydziestu pięciu, ma inteligentną twarz. Czyta jej coś z książki. Popijają przy tym już trzeci kieliszek najlepszego Grand Marnier, jakie ma restauracja URITI.

Giovanni patrzy na nich ponurym wzrokiem. Podał im dobrą kolację i łaskawie wybaczył spóźnienie. Zjedli i zapłacili rachunek. Czemuż więc tu jeszcze sterczą? Rozumie, że są artystami, a więc niezwykłymi ludźmi. Ale czy nie widzą, że on. już jest zmęczony? Raz i drugi przechodzi przez pokój spoglądając na tę parę z nadzieją. Siedzą zatopieni w sobie; nie widzą go. Zdaje się, że wcale nie myślą

o wyjściu. Znużonym ruchem zamyka więc drzwi wejściowe i idzie do kuchni.

Miranda wyciera wielki kocioł, w którym przez cały wieczór gotowała wodę. Edoardo pochylony nad stołem łapczywie pożera całe góry ravioli. Reszta jego kolacji podgrzewa się na płycie; trzy wielkie jak talerz befsztyki URITI, kilogram kartofli i garnek szpinaku. Na widok Giovanniego radośnie mruży oko i znów całą uwagę poświęca porcji ravioli. Miranda i Giovanni patrzą na niego i uśmiechają się do siebie.

Miranda zmyła już talerze i kieliszki po gościach. Giovanni znosi je więc do tunelu i wstawia do kredensów przy windzie. W tym celu musi obrócić parę razy. Wyłącza elektryczne płytki i parowy podgrzewacz. Ustawia tacę z przyprawami i nie używane karafki w kredensie i delikatnie budzi drzemiącą w fotelu signorę Pandolfi, która pyta:

– Już posprzątane? – Na jej starczej, zbruzdzonej zmarszczkami twarzy maluje się wyrzut. – To przecież mój obowiązek. Czemuś mnie nie zbudził?

– To był męczący dzień, powinna się pani położyć – mówi Giovanni. – Czy jadła już pani kolację?

– Nigdy nie jadam wieczorem nic solidnego – odpowiada signora ziewając. Przed zaśnięciem czytała jakiś magazyn, który jej wypadł z ręki; pochyla się teraz, podnosi go, kładzie na półeczce przy fotelu i wstaje zwinnie. – Próbuję wszystkiego, co zjeżdża na

dół – oświadcza pogodnie. – Trzeba skosztować potrawy, zanim się je poda na stół: to się ludziom należy.

Idą razem do drabiny wiodącej do piwnicy jej domu. Giovanni pomaga leciwej damie wejść na górę, życzy jej dobrej nocy i wraca do windy. Chowa nie używane srebra, korkociągi, noże kuchenne i wazę na zupę. Oczy mu się kleją do snu, ale jest zadowolony, że doprowadził wszystko do porządku. Pisze teraz ostatnie zlecenie i przyczepia je do liny. „Dobranoc, Carlo. Załóż pokrywę”. Zlecenie płynie, w górę i w pół minuty” później ciemność zapada w szarym szybie wiodącym do kuchni URITI.

Giovanni wyłącza teraz elektryczne wentylatory, gasi naftowe piecyki oraz część świateł w tunelu – reszta ma czekać, dopóki Miranda nie wróci do domu – i wlecze się ociężale do swojej piwnicy, a stamtąd do jadalni. Po drodze z zadowoleniem stwierdza, że Edoardo przez cały wieczór stłukł tylko jeden półmisek.

Malarka i jej towarzysz, zajęci sobą, jeszcze nie wyszli. No cóż, pewnie wyjdą niedługo.

Z tą myślą Giovanni wędruje do kuchni i widząc, że Edoardo już się uporał z kolacją, klepie go po ramieniu i skinieniem głowy wyraża mu swoje zadowolenie. A gdy młody wielkolud niezgrabnie zabiera się do rozbierania, rozstawia dla niego składane łóżko obok kuchennego stołu. Wątle łoże skrzypi groźnie pod ciężarem potężnego cielska, kiedy Edoardo układa się do spoczynku. Giovanni raz jeszcze klepie go po ramieniu i wraca do jadalni.

Miranda przygotowała mu kolację przy jednym z bocznych stolików. Zamówiła specjalnie dla niego i aż do tej chwili trzymała w piecyku pieczonego kurczaka. Sama już zjadła, ale teraz wypija z nim butelkę białego wina. Gadają przy tym. Giovanni opowiada jej o Geryonie, mitologicznym trzygłowym potworze. Nie może powiedzieć tego, co przede wszystkim zajmuje mu myśl i co przy każdym spojrzeniu na jej gładkie czoło i łagodne oczy – wprawia w drżenie jego serce. To ukrywane cierpienie łączy się z uczuciem wielkiego szczęścia, gdy Miranda śmieje się z jakiejś opowiedzianej przez niego anegdot lub gdy przelotnie swoją ręką muska jego rękę przy nalewaniu mu wina. Na całym świecie nie ma innego miejsca, w którym wołałby być w tej chwili.

Tymczasem ostatni goście szykują się wreszcie do wyjścia. Malarka wstała od stołu. Skinęła na Giovanniego. Uśmiechając się robi parę kroków ku niemu.

– Czy mogę pana o coś zapytać? – po włosku mówi płynnie, choć z zaczepnym akcentem. – Oczywiście to nic osobistego. *Io sono molto discreta*. Może pan zauważył, że już nieraz tu jadłam i nieraz już miałam to pytanie na końcu języka. Nie daje mi ono spokoju.

Giovanni patrzy na nią badawczo i czujnie, ale nie zdradza niepokoju.

– Na ogół nie lubię jadać na Zatybrzu ze względu na zapachy przenikające z kuchni – ciągnie malarka marszcząc brwi. – Ale tu powietrze jest zawsze świeże i czyste. Tylko czasem doleci jakiś

zapach z kuchni; zawsze delikatny i miły. Trudno mi wprost wyrazić, jak mnie to dziwi. Nawet latem nie czuje się u pana gorąca. Tak jakby wcale nie było tu kuchni. Czy pan zastosował klimatyzację?

– Nie – wolno odpowiada Giovanni.

– Nadzwyczajne! Więc jak pan to robi?

Nie wygląda wrogo; jest zdecydowanie przyjazna, sprawia wrażenie nieszkodliwej. A jednak trzeba uważać na to, co się powie.

– Proszę, niechże mi pan wyjaśni tę zagadkę!

Giovanni rozpaczliwie szuka natchnienia. Nagle podchodzi ku nim Miranda i pyta:

– *Parlez vous francais, madame?*

Zaskakuje to malarkę, ale wrodzona kultura bierze w niej górę; pogodnie przyznaje, że rozumie po francusku.

– Bo mnie się zdaje, że na pani pytanie najlepiej odpowiedzieć właśnie w tym języku – wyjaśnia Miranda. – Jak Giovanni to robi? – uśmiecha się zagadkowo. – Ach, proszę pani, to właśnie jest to, co Francuzi nazywają *le secret de la maison*.

Ta kobieta jest malarką; intelekt ma wyostrzony, kiwa więc głową ze zrozumieniem.

– Ma pani rację; prawdziwy artysta nigdy nie zdradza swoich sposobów, *n'est-ce pas?*

Na ogół biorąc był to jeden ze szczęśliwszych dni w życiu Giovanniego Venturi.

Ostatnie polecenie, które Giovanni wysłał windą do Carlo wieczorem 19 stycznia 1959 roku brzmiało tak: „Chciałbym zobaczyć się z tobą na chwilę jutro rano. Przyjdź do Etruskiego Muzeum w Villa Giullia o 10.00; będę czekał w ogrodzie. O tej porze nie ma tam nikogo”.

– Siądź, mój chłopcze – powiedział nazajutrz, kiedy o oznaczonej porze Carlo zjawił się w ogrodzie. Byli całkiem sami. Giovanni poczęstował młodzieńca tokańskim cygarem i gdy już od paru minut obaj palili w milczeniu, zaczął wreszcie:

– Powiedz mi coś o sobie. Tak rzadko spotykamy się w normalnych warunkach, że prawie nigdy nie możemy szczerzej pogadać.

Carlo nie zdradzał ochoty do wyznań.

– Cóż tu jest do opowiadania? Moi starzy w Ivrea klepali biedę, więc nie cackali się ze mną. Cieszyli się, kiedy opuściłem nareszcie dom i wziąłem się do pierwszej lepszej pracy, jaka mi się nadarzyła! Z tego widać, że trzeba mieć pieniądze, jeśli się ma do czegoś dojść.

Giovanni żuł cygaro i milczał chwilę.

– A co byś zrobił, gdybyś miał kupę pieniędzy? – zapytał.

Młodzieńcowi oczy zabłyśły.

– Wsiadłbym na statek i wyjechałbym stąd na zawsze. Oczywiście, pierwszą klasą. Nigdy jeszcze nie jechałem pierwszą klasą. Sprawiłbym sobie też piękne, nowe ubranie i zachowywałbym się

tak, że każdy na statku czekałby tylko z wyciągniętą łapą na napiwek.

Giovanni podrapał się po brodzie.

– Szkoda, że tak myślisz. Bo ja wolę raczej obsługiwać innych.

– Jasne, jakżeby inaczej? – rzekł Carlo. – Pan ma własny interes i zbija pan forszę. Ale ze mną jest inaczej. Niech pan nie zapomina, że ja jestem tylko zwykłym sługą, niczym więcej.

Giovanni zmienił temat.

– A dokąd byś pojechał tym statkiem? – zapytał.

Carlo wzruszył ramionami.

– To tylko takie gadanie. Szkoda o tym mówić. Czy ja mam jakąś szansę?

– Ale mnie to ciekawi. Mów dalej. .

– A więc chciałbym pojechać dokąds, gdzie mógłbym naprawdę coś zacząć i wzbogacić się, bo tu, to niemożliwe.

Giovanni przypomniał sobie swój własny bunt, który się zaczął na Zatybrzu, pomyślał o tych wszystkich latach spędzonych na ciężkiej pracy, która jednak pozwoliła mu w końcu stać się panem swego czasu i trudu. „Teraz jednak wcale nie jest lżej niż wtedy – myślał – ani też ciężiej”. Ale przestał roztkliwiać się nad przeszłością. „Ostatecznie – zastanawiał się – cóż taki młodzieniec jak ten może wiedzieć o spokojnym zrównoważeniu dojrzałego wiekiem restauratora?”

– Czy słyszałeś o swoim kuzynie? – zapytał. – Jest ciężko cho-

ry. Chciałem o tym z tobą pomówić.

Carlo znów wzruszył ramionami.

– Zawsze mu coś było. Jak nie jedno, to drugie – rzekł. – Chyba trochę udaje.

To oświadczenie wstrząsnęło Giovannim.

– Doktorzy jednak są jak najgorszej myśli – odparł starając się nie zdradzać, jak rozczarowała go postawa młodzieńca. – To rzecz poważna. Sądzę, że powinienes napisać do niego i wykazać odrobinę zainteresowania.

Carlo patrzył przed siebie.

– Po co? – zapytał. – Wyśmiej mnie tylko. Uważa, że jestem głupi, bo wcale nie interesują mnie te wszystkie książki w jego księgarni i wiadomości suche jak kurz, którymi się przechwala. – Zaapelował do współczucia Giovanniego. – A czy to grzech być młodym i chcieć trochę radości w życiu?

– Mimo to – stanowczo rzekł Giovanni – uważam, że powinienes napisać do niego; jakoś okazać swą troskę. Mówię ci, że jest ciężko chory. Nie wiem, czy się lubicie, czy nie; to nie moja sprawa, ale musisz pamiętać, że jemu zawdzięczasz tę... to stanowisko, które masz. Wiem też, że na starość nie pożałujesz żadnego z tych dobrych uczynków, jakie teraz zrobisz.

– Może nie powinienem tak mówić – zaczął Carlo – ale zawsze zdawało mi się, że on mnie nienawidzi za to, że jestem młody i silny. Bo on zawsze zachowywał się jak ktoś stary i słaby.

– To nieprawda – gwałtownie odparł Giovanni.

Carlo zwrócił się do niego nieomal błagalnie. .

– Proszę pana, przecież ja pracuję ciężko, każdy musi to przyznać, no nie? Nawet on. To chyba najważniejsze, prawda?

Giovanni już opanował wzburzenie.

– Nie mówimy o twoich obowiązkach w restauracji URITI – rzekł. – Wiem, że dobrze się spisujesz przy windzie. I powiedziałem ci o tym. Nawet cię za to nagrodziłem.

– Poza tym, my dwaj, pan i ja – ciągnął Carlo – wykonujemy całą pracę! On tylko korzysta z zysków.

Giovanni był zaskoczony.

– Nie rozumiem, co masz na myśli?

Carlo uśmiechnął się porozumiewawczo.

– Mógł przecież pozwolić sobie na zamknięcie księgarni i na wyjazd w góry do dobrego hotelu, prawda? Nie zrobiłby tego, gdyby nie był bogaty. Chciałbym mieć ten rodzaj dochodów – mówił prawie z rozmarzeniem. – *Che piacere*. Bardzo by mi się to podobało.

Jak już powiedzieliśmy, współnicy w okresie brzemiennych w skutki trzydziestu dwóch miesięcy, jakie upłynęły od chwili zakończenia tunelu do chwili wykrycia przestępstwa przez rzymską policję, mieli do czynienia z niejednym kryzysem w łonie swej organizacji.

W drugiej połowie stycznia i prawie przez cały luty 1959 signora Pandolfi prowadziła nader nieunormowany tryb życia. Cza-

mi nocą, dokonując ostatniej inspekcji i gasząc światła, Giovanni słyszał, jak niespokojnie chodzi po betonowej podłodze swojej sutereny. Zaniedbywała się też w obowiązkach: zdarzało się, że zapomniała przesłać dalej otrzymane zamówienie i aż dwa razy nie przełożyła potraw z półmisków URITI na półmiski trattorii. Dopiero Giovanni zrobił to u siebie w kuchni. Kilkakrotnie tak niedbale przyprawiła dania z krewetek, że aż goście się skarżyli; rzecz jak dotąd całkiem niesłychana. Między porami posiłków nie oddawała się też drzemce w swoim fotelu przy windzie. Ilustrowane magazyny na półce przy tym fotelu ustąpiły teraz miejsca fantastycznym powieściom, podręcznikom z termodynamiki i książkom z dziedziny anatomii człowieka. Kupiła też – jak Giovanni dowiedział się od Mirandy – kilka bloków rysunkowych i często, aż do świtu, coś w nich pilnie szkicowała. Oczywiście intrygowało to bardzo zarówno Mirandę jak i Giovanniego.

W czasie przedobiedniego aperitifów 27 lutego 1959 signora Pandolfi zdradzała niezwykle podniecenie.

-: Kto wie, czy to nie jest jeden z naszych ostatnich wspólnych aperitifów – jakby w ekstazie, z marzycielskim spojrzeniem powiedziała Giovanniemu. – Już prawie mam gotowy mój nowy pomysł. Stworzyłam coś dla ludzkości. Niebawem będę musiała was opuścić.

W pierwszych dniach marca 1959 Giovanni zabrał się do przenoszenia fresków ze ścian grobowca do swego pokoju, w którym zgromadził już pozostałe, wydobyte stamtąd trofea. Wprawdzie w

samym tunelu dzięki piecykom i wentylatorom było stosunkowo sucho i ciepło, ale wilgoć z tufowych ścian zaczęła przenikać do grobowca i pozostawiać osad saletry, co zagrażało cennym malowidłom. Giovanni zdał więc sobie sprawę ze swego obowiązku. Nabył kilka wydanych przez Państwową Komisję Zabytków publikacji na ten temat i przestudiowały je pilnie. Potem zbudował specjalne rusztowanie i kupił spory zapas zaleconych przez wspomnianą Komisję materiałów, jak klej kazeinowy, bezbarwny szelak, płótno w najlepszym gatunku, sosnowe ramy i giętkie listewki. Założył też w grobowcu dodatkowe lampy elektryczne. A po zakończeniu wszystkich przygotowań większą część popołudniowych godzin w owym miesiącu spędzał na drewnianej platformie, wysoko nad marmurową podłogą grobowca, mozolnie preparując do przeniesienia jeden z mniejszych fresków.

Po południu w dniu 12 marca też zajęty był tą pracą. Zadowolony z jej postępów wesoło gwizdał arię z Aidy, gdy doleciał go suchy, metaliczny chrzęst.

Przerwał swoje zajęcie i nadstawił ucha. Wyraźnie usłyszał szcęk żelaza w tunelu; uniósł więc głowę. Nagle rozległ się głośny stuk, jakby ktoś stopą okutą w żelazo walnął w naftowy piecyk, który z hałasem potoczył się, po podłodze. Ciężkie kroki zbliżały się; podchodziły już do otworu wiodącego do grobowca. Potężny, niezgrabny stwór z taką siłą wpadł na jego ogrodzenie, że aż metalowe pręty zadrżały od tego uderzenia.

Giovanni zlązł z rusztowania i podszedł do drabinki wiodącej do tunelu, ale cofnął się na widok ciężkiego, stalowego buta, który wyłonił się z otworu w kopule grobowca. Ktoś tą stalową stopą próbował namacać pierwszy szczebel drabiny. Wybałuszonymi ze zdziwienia oczami Giovanni przyglądał się drugiej stalowej stopie, która ukazała się w ślad za pierwszą, i cofnął się w odległy kąt. Światło lampy pod kopułą padło na stalowoszarą, zakutą w żelazo postać, krętymi ruchami zstępującą w dół. Dwie giętkie żelazne rękawice chwyciły się szczebli. Gęsta stalowa koszulka opinała ramiona i tors owej istoty, a jej głowa tkwiła w zachodzącym aż na ramiona kulistym hełmie z metalu i plexiglasu. Szczęk stali towarzyszył schodzeniu tej tajemniczej zjawy do etruskiego grobowca.

Wreszcie stanęła ona u stóp drabiny, odwróciła się i uniośszy ramiona ruszyła ku Giovanniemu. Jej głowa chwiała się i podskakiwała, a stal butów w zetknięciu z kamienną podłogą podzwaniała przy każdym kroku. Metalowe palce jednej dłoni uniosły się jeszcze wyżej i opadły na ramię Giovanniego; druga stalowoszara dłoń sięgnęła w górę i odpięła ciężki niezgrabny hełm, z którego wnętrza – zza szkła i żelaza – patrzyły na Giovanniego jasne, pogodne oczy. A po chwili owa tajemnicza istota zdjęła hełm i wtedy nad grubą metalową kryzą stalowego ubioru wyłonił się kosmyk rozwianych siwych włosów i pomarszczona twarz signory Pandolfi.

– No i co o tym sądzisz? Mówże, człowieku. Powiedz coś albo przynajmniej zamknij gębę. Nie. stój tak z rozdziawionymi ustami –

denerwowała się signora. – Nie chciałam cię nastraszyć. Mówiłam przecież, że pracuję nad czymś, co chcę zrobić dla dobra ludzkości. Czy to moja wina, żeś o tym zapomniał?

Giovanni przez parę chwil nie mógł odzyskać głosu. A później zachichotał. Obszedł wkoło signorę Pandolfi, kostkami palców, postukał w stal, która ją okrywała. Metal zawibrował, a echo odbite od ścian grobowca odpowiedziało mu dźwięcznie i czysto.

– Skąd to pani wzięła? – zapytał.

– Kowal mi zrobił. Oczywiście, według moich wskazówek – z dumą odparła signora Pandolfi. – No i co o tym myślisz?

– Ale co to jest?

Signora Pandolfi wyprostowała się z chrzęstem stali.

– Tego właśnie można się było spodziewać po mężczyźnie! Myślicie tylko o sobie. Czy przyjdzie wam kiedy do głowy, że kobieta także może rozwiązywać problemy, które trapią ludzkość? Nigdy! Nawet raz na milion lat! Wy, mężczyźni, lekceważycie sobie naszą pleć. Chyba nie zaprzeczysz, że Rosjanie czy Amerykanie zamierzali pierwszą dzielną kobietę, którą, wystrzelą na księżyc, ubrać w męski strój kosmonauty! Ha, z pewnością tak, dopóki nie zabrałam głosu w tej sprawie. – Zaśmiała się i dorzuciła już znacznie łagodniej: – Szkoda, że nie widziałeś ich twarzy, kiedy dwa dni temu weszłam do radzieckiej ambasady!

Giovanni zamrugał oczami.

– Co?

– Nie mam czasu, aby ci wszystko szczegółowo opowiedzieć. Muszę się jeszcze zapakować i uporządkować moje sprawy. I muszę się też jeszcze raz zobaczyć z adwokatem. Krótko mówiąc, zrozumieli wreszcie, że jestem im potrzebna w Moskwie.

– Co? – powtórzył zdumiony Giovanni.

Signora Pandolfi skrzywiła się lekko, jakby pod wpływem bólu. Liczne metalowe płytki na jej ramionach zadrgały uderzając o siebie.

– Trochę mnie uwierają – przyznała. – Trzeba je będzie jeszcze dopasować. Ale o czym to mówiłam? Ach, tak. Zapraszają mnie do Moskwy na konsultację. Nie myśl jednak, że to łatwo poszło. Portier zemdłał, a sekretarze zbaranieli i nie mogli mi udzielić żadnej informacji. Sama więc sobie otwierałam różne drzwi i przez dobre dwadzieścia minut łąziłam po całym gmachu, nim w końcu trafiłam do ich attaché od spraw kultury – potrząsnęła głową. – Niestety, trudno się było z nim dogadać. Zajęło mi pół godziny, nim wreszcie przyznał, że Związek Radziecki nie zastanowił się nad tym, iż kosmonautka będzie potrzebowała specjalnego ubrania. Musiałam mu nawet pokazać wbudowaną kosmetyczkę, aby zrozumiał, że mówię serio. Innych przystosowań oczywiście mu nie pokazałam, bo mój adwokat musi przedtem opatentować ten ubiór we wszystkich krajach. Kiedy powiedziałam o tym temu attaché, spojrzał tylko na mnie, a ja na niego i zobaczyłam, że jest śmiertelnie znużony. Zmusiłam go jeszcze do tego, żeby mnie zaprowadził do ambasadora. Pamiętaj, zawsze atakuj! To moja dewiza. Docieraj do samego ołtarza!

Stała raz jeszcze zadzwęczała, gdy signora znów się skręciła z bólu,

– To jest ciężkie, nie przeznaczone do stania! Pomóż mi gdzieś usiąść.

W grobowcu było tylko jedno miejsce, na którym można było usiąść. Giovanni ujął więc signorę Pandolfi za stalowy łokieć, doprowadził do królewskiego sarkofagu i pomógł jej sięść między kamiennymi stopami posągu.

– Nakłoniłam ambasadora, aby natychmiast zatelegrafował do Moskwy – wyjaśniała dalej leciwa signora. – Czekaając na odpowiedź zjadłam u nich obiad i dlatego spóźniłam się do trattorii. Ale kiedy odpowiedź wciąż nie nadchodziła, oznajmiłam ambasadorowi, że idę do Amerykanów, i kazałam mu przywołać taksówkę. Zaraz przetelegrafował to do Moskwy, a po piętnastu minutach przyszło telefoniczne zawiadomienie, że chcą mnie natychmiast tam widzieć – długim stalowoszarym palcem odsunęła niesforny kosmyk, który opadał jej na czoło. – Kiedy powiedziałam złotnikowi z naszej ulicy o moim zamiarze wyjazdu do Związku Radzieckiego, wyraził przypuszczenie, że nie spodoba mi się ustrój komunistyczny. Wcale o tym nie wątpię. Nie widziałam jeszcze ustroju, który by mi się podobał. Ale zawsze będę mogła sobie zmienić. W tych sprawach mam już doświadczenie.

– Kiedy pani wyjeżdża?

– Tuż przed moim wyjściem z ambasady był jeszcze jeden tele-

fon z Moskwy; nowa wiadomość dla ambasadora. W Wiedniu o każdej porze będzie na mnie czekał specjalny odrzutowiec ze Związku Radzieckiego. Kazałam więc ambasadorowi zamówić sobie miejsce w pierwszym samolocie, lecącym jutro do Wiednia.

– A co z Mirandą? – W głosie Giovanniego przebijał wyraźny niepokój.

– Och, bałabym się wziąć ją ze sobą. Z pewnością będę musiała tam konferować z najtęższymi naukowcami. I pewnie wypadnie mi też pojeździć po świecie, bo jeżeli nic nie wskóram u Rosjan, udam się do Waszyngtonu. No i to doglądanie patentów też będzie wymagało ciągłych rozjazdów – potrząsnęła głową, a stal przy tym zachręściła. – Żałuję tylko, że nie mogę jej należycie zaopatrzyć. Jedna trzecia naszego zysku w ostatnich trzydziestu miesiącach przyniosła mi ponad dwadzieścia milionów lirów. Jestem chyba bardzo lekkomyślną kobietą, bo nie wiem, gdzie się te pieniądze podziały. Zostało mi tylko z osiem milionów, nie więcej. Zatrzymam sobie z tego najwyżej milion. Na razie więc mam dosyć pieniędzy, a to, co zostawiam, wystarczy Mirandzie na parę lat. Mieszkanie jest opłacone, życie zaś ma za darmo. – Podniosła hełm i przygotowała się, by go włożyć..

– Jak Miranda przyjęła pani projekt?

Signora Pandolfi z dźwiękiem stali wstała z sarkofagu i wyciągnęła. opancerzoną dłoń do Giovanniego.

– Jesteś porządnym człowiekiem – powiedziała – i masz też

trochę oleju w głowie, Ruszże mózgiem. Będę o wiele szczęśliwsza, jeżeli w moim laboratorium w Związku Radzieckim lub w Waszyngtonie, czy gdzie mnie los rzuci, będę wiedziała, że zebrałeś się na odwagę i oświadczyłeś się nareszcie Mirandzie.

Giovanni sposepniał.

– Codziennie, od rana do nocy muszę pamiętać, aby nie wyjść przed nią na głupca – uśmiechnął się z goryczą. – Mirandzie potrzebny jest ktoś młodszy. Staram się ją nakłonić, żeby mi nie poświęcała swego czasu, jestem jednak egoistą i cieszę się, gdy mnie nie słucha. Ale przyznaję, że to jest ze szkodą dla niej.

Signora Pandolfi warknęła:

– Jesteś akurat w kwiecie wieku. Gdybyś się tylko pozbył odrobiny tego sadła i nieśmiałości, mógłbyś być dla niej doskonałym mężem. Stary, patrzcie go!

Z wielkim trudem dowlokła się po marmurowych płytach posadzki do stóp drabiny i odwróciła się. Hełm trzymała jeszcze pod stalowym ramieniem lewej ręki.

– Zostawiam Mirandę pod twoją opieką, Giovanni. To dobra opieka – uniosła prawą rękę w pożegnalnym ukłonie. – Do widzenia. Jeśli się znowu spotkamy, to z pewnością w przestworzach. – Nałożyła hełm na swoją małą głowę i przykręciła go do stroju kosmonautki. Po, czym wolno jęła wspinać się po drabinie.

A gdy z trudem szła przez tunel ku otworowi do swego mieszkania, każdy jej krok dźwięcznym echem odbijał się o szare, skalne

ściany.

Kiedy rankiem 14 października 1958 księgarz po raz ostatni wyjeżdżał z Rzymu, zmierzał do górskiej osady Rivisondoli i – jak się później okazało – do miejsca ostatniej swej ucieczki w życiu. W Rivisondoli przebywał aż do śmierci, tj. do wieczora 6 maja 1959 roku. Jasność umysłu zachował aż do końca. Jego indywidualność, jak się wydaje, wywarła niezwykle wrażenie na tej nielicznej grupce osób, które miały szczęście poznać go tam bliżej. Choć tylko sporadycznie i raczej z obowiązku stykał się z bardziej światłymi obywatelami tego rejonu, to jednak wiadomość o istnieniu tego niezwykle człowieka rozeszła się daleko na północ, aż po Castel di Sangro. Miejscowy lekarz, przesłuchiwany później przez urzędników policji, wyrażał się z jak największym szacunkiem o bystrości umysłu swego zmarłego pacjenta. Nie zapomniał nawet jednego słowa z opowiadań gorączkującego księgarza o jego szalonych przygodach w dalekich krajach, po których podróżował w młodości. Był nawet ogromnie zmartwiony, że konający już księgarz, swoją ostatnią przedśmiertną wizję wyraził w języku niezrozumiałym ani dla niego, ani dla pielęgniarki.

– Jakżeby się chciało zrozumieć te jego słowa – westchnął, kiedy w kilka miesięcy później badało go dwóch funkcjonariuszy policji.

Sprytnie wywnioskowano, że Giovanni Venturi musiał często

pisywać do księgarza, aczkolwiek po śmierci tego ostatniego, w jego rzeczach nie znaleziono ani jednego z owych listów. Co więcej, przegląd rejestrów pocztowych, dokonany w lipcu 1959 przez rzymską policję, ujawnił, że Giovanni wysyłał regularnie swojemu przyjacielowi w Abruzzach znaczne kwoty za pomocą *assegni circolari*. Władze nie zdołały jednak ustalić, co zmarły zrobił z tymi pieniędzmi.

Pięćdziesiąt siedem listów poleconych, które księgarz wysłał do Giovanniego w okresie od 20 października 1958 do 13 kwietnia 1959, zostało odnalezionych przez policję w zamkniętej na klucz szufladzie biurka w bawialni nad trattorią. Leżały ułożone w chronologicznym porządku i uroczyście związane wstążeczką. Do dziś pozostaje niejasne, czy Giovanni zostawił je umyślnie jako ironiczne wyzwanie rzucone policji, czy też zapomniał o nich w pośpiesznej ucieczce.

W dniu 19 kwietnia 1959 właściciel „Albergo Impero” w Rivisondoli zatelefonował do Giovanniego, aby go zawiadomić, że stan księgarza jest groźny i że wyraził on chęć natychmiastowego ujrzenia swego przyjaciela.

Giovanni niezwłocznie zamknął trattorię. Edoardowi kazał usiąść tyłem do drzwi i aż do swego powrotu podpierać je potężnymi plecami. Zadzwoił też do pensjonatu, w którym mieszkał Carlo, i uprzedził go, że przez parę dni nie będzie przysyłał zapotrzebowań

na potrawy z kuchni URITI i że nie należy zdejmować drewnianej pokrywy z szybu windy. Z Mirandą pożegnał się czule, ale pośpiesznie i w pół godziny później siedział już w pociągu jadącym do Avezano. W tym miasteczku przesiadł się w autobus do Castel di Sangro, skąd już taksówką wyruszył w głąb gór, by wreszcie we wczesnych godzinach popołudniowych dotrzeć do celu.

Był przygnębiony, toteż nie mógł podziwiać pięknych widoków uroczego krajobrazu. Smutek go ogarnął. Zdawało mu się, że słyszy coś ponurego w zgrzycie opon o żwir, gdy taksówka skręciła z szosy i stanęła przed hotelem. Niepokój go dręczył, ale odetchnął z ulgą, kiedy właściciel hotelu niezwłocznie zaprowadził go do łoża chorego przyjaciela.

Była to jednak krótka chwila ulgi, bo nawet po wyjściu hotelarza, gdy już ucichły jego głośnie kroki po schodach, obaj przyjaciele nie zostali sami; fizyczne wycieńczenie siedziało u wezłowania umierającego, bezwład trzymał go za rękę, rezygnacja podkrężyła mu oczy i wyżłobiła wgłębienia w policzkach.

– Tak – rzekł głuchym głosem. – To już koniec.

Giovanni przysunął sobie krzesło do łóżka chorego i ujął w swoją dłoń jego zbiegające i bezsilne palce.

– Kochany, drogi przyjacielu – zdołał tylko wyszeptać.

– Nie ma powodu do rozpacz – rzekł księgarz i udręczonym, lecz spokojnym wzrokiem spojrzął na Giovanniego. – Nie cierpię. Tutejszy lekarz to mądry człowiek znający się na wszystkich naj-

nowszych niemieckich i amerykańskich medykamentach. Zapisuje mi skuteczne i łagodne, nowoczesne leki. Wykryłem też, że u schyłku życia świetnie mi robi czytanie Jana Złotoustego. – Wskazał, na mały tomik na nocnym stoliku.

– Ale musi być jakiś specjalista, który zdoła cię wyleczyć – rzekł Giovanni. – Możemy przecież wezwać najlepszych, najdroższych lekarzy.

Nikły uśmiech wykrzywił usta księgarza.

– To sprawa bardziej skomplikowana, niż sądzisz. Za młodu pędziłem burzliwe życie, mimo że nie byłem mocnego zdrowia. Moje ówczesne próby naprawy stosunków społecznych doprowadziły mnie w rezultacie do choroby i upadku, którego końcowej fazy jesteś teraz świadkiem. Gdybym miał jeszcze czas i ochotę, opowiedziałbym ci o tych próbach. Podziemne wędrówki do kuchni URITI, choć uwieńczone powodzeniem, z pewnością nie były tymi najbardziej pomysłowymi. I tak, na przykład, gdy byłem w Egipcie, w roku 1912...

Zakasłał się. Potem przez chwilę leżał spokojnie. A kiedy odzyskał nieco sił, zaczął ściszym głosem:

– W tej chwili ważne jest dla mnie tylko jedno, abyś ty przetrwał. Właśnie po to cię wezwałem. Inaczej bym ciebie nie fatygował. Ale już niewiele pozostało mi sił. Mam ci do powiedzenia trzy rzeczy, przyjacielu, i powiem je w najkrótszych słowach. Nie mogę sobie pozwolić na luksus elokwencji.

– Słucham cię uważnie – rzekł Giovanni. – Nigdy jeszcze z twoich ust nie padło słowo, które niewarte byłoby uwagi.

Iskra przelotnego zadowolenia rozjaśniła oblicze księgarza i zgasała natychmiast. Wbił poważne spojrzenie w Giovanniego.

– Zamknij trattorię – rzekł.

Zdumiony Giovanni wytrzeszczył oczy.

– Ale przecież my niedługo będziemy bogaci! Zamknąć trattorię teraz? – Machinalnie wyciągnął z kieszeni cygaro, wsadził je do ust i zaskoczony przyglądał się choremu człowiekowi, który przez tak długi czas był jego sąsiadem i doradcą. – Jak to, wykiwaliśmy tych łobuzów z rogu ulicy. Skłóciliśmy ich z sobą. Nasz system działa wspaniale, co dzień zgarniamy dziesiątki tysięcy lirów. Dlaczego uważasz, że powinniśmy zwinąć interes?

– Bo jakiś fałszywy krok jest nieunikniony – sucho rzekł księgarz.

Giovanni zaprotestował, ale jego przyjaciel jakby tego nie słyszał, leżał z zamkniętymi oczami.

– Po drugie – rzekł po chwili – zasyp tunel.

– Chyba żartujesz! – oburzył się Giovanni. – Jeśli zasypię tunel tufem ze wszystkich worków nagromadzonych w mojej piwnicy, to grobowiec Larsa Porseny może na zawsze przepaść dla ludzkości.

– Nigdy nie narzucałem nikomu swej woli – odparł księgarz – ale też i nie mam sił na przekonywanie ciebie. Mówię, zasyp tunel, bo on jest jedynym niezbitym dowodem twego przestępstwa. Zasyp

go.

Giovanni w milczeniu żuł cygaro.

– Po trzecie, strzeż się Carlo.

Giovanni zamyślił się.

– Wspomniałeś już w którymś liście, że zaczynasz mu nie ufać.

O co go podejrzewasz? – rzekł;

– Intuicja ostrzega mnie przed nim. Niestety, nic wyrozumowanego. Moich zastrzeżeń nie mogę poprzeć żadnym konkretnym faktem. Jest to lęk, który może wynika tylko z mego przeczulenia. Przykro mi, że na łożu śmierci muszę zrezygnować z filozoficznego i rozumowego podejścia do tej sprawy na rzecz tak niepewną jak instynkt.

Giovanni przypomniał sobie swoją niedawną rozmowę z Carlo w parku Muzeum Etruskiego i zmarszczył brwi.

– Zdaję sobie sprawę, że ten chłopiec jest uparty. Ale to jeszcze młodziak. Wyrośnie z tego. A poza tym nie zapominaj, że nie zawiódł nas i był nam bardzo przydatny w ciągu ostatnich dwóch lat.

Księgarz westchnął.

– I mnie rozum mówi, że te obawy są dziecinne. Nie trzeba też zapominać, że Carlo macza palce w naszych sprawach, i o tym wie. Jeśli nas zdradzi, może tylko wszystko stracić, a nic nie zyska. – Rozmowa wypompuwała już resztkę sił z chorego. Pobladł wyraźnie.

– Nie sądzę, aby nas mógł zdradzić – rzekł Giovanni. Księgarz milczał. Krew uciekła mu z policzków, opadł na poduszki.

– Zastanowię się nad tym, coś mi powiedział – zakończył Giovanni.

Księgarz niczym nie pokazał, że go słyszy. Leżał nieruchomo, oczy miał zamknięte, palce u rąk splecione i zaciśnięte.

W parę chwil potem do pokoju wszedł lekarz, żeby przebadać chorego. Giovanni zszedł na dół i ciągle zastanawiając się nad radami księgarza wypił kilka szklaneczek miejscowego wina.

W pół godziny później zjawił się lekarz.

– Chce się znowu z panem widzieć – rzekł. – Sprzeciwiałem się temu, jak mogłem, ale się upiera. Proszę jednak, aby starał się pan go nie denerwować.

Giovanni wszedł na piętro i delikatnie nacisnął klamkę. Księgarz nie drzemał. Jego wzrok zdradzał zmęczenie, ale twarz rozpromieniła mu się na widok wchodzącego przyjaciela.

– Miałem ci tylko trzy rzeczy do powiedzenia... już je powiedziałem – wyszeptał.

Giovanni ukląkł przy łóżku.

– Czemu straciłeś nadzieję? – zapytał.

– Nie straciłem jej. Przeciwnie. Jestem pełen nadziei. Teraz, kiedy choroba odebrała mi możliwość dalszych uciesh na tym ziemskim padole, jestem jak najlepszej myśli. Wierzę – rzekł zdobywając się na nikły uśmiech – że właściwości przypisywane niebiosom nie zostały wyolbrzymione. Kiedyś byłem doskonałym muzykiem. Może więc tam w górze wspaniałomyślnie oddadzą mi pod batutę jeden z

lepszyc chórów a capella?

Umilkł i zanim znów się odezwał, mrok zaczął powlekać jesienne niebo.

– W szafce koło drzwi znajdziesz skórzaną teczkę. Jest zamknięta. Zabierz ją. Klucz od niej otrzymasz, kiedy nadejdzie odpowiednia do tego chwila. A. tymczasem strzeż jej dobrze.

I już nie powiedział ani słowa.

Tego samego wieczora Giovanni Venturi powrócił do Rzymu.

Wyjazd signory Pandolfi do Związku Radzieckiego w niczym nie zakłócił funkcjonowania „Trattorii Giovanniego”. Miranda przejęła obowiązki starej damy. Edoardo nadal pełnił rolę kuriera między windą i trattorią. Giovanni oczywiście musiał jeszcze dodatkowo spełniać dawne czynności Mirandy; mniej więcej co kwadrans odrywał się teraz od obsługiwań gości, by – dla ich dobra – otworzyć drzwi do kuchni i wpuścić nieco pary i apetycznych zapachów gotującej się zupy. Ale to dodatkowe zajęcie nie było ani uciążliwe, ani zbyt czasochłonne.

Wieczorem 27 kwietnia 1959, już po kolacji, Miranda przyniosła Giovanniemu kartkę, zesłaną z kuchni URITI: „Czy mógłbym się z panem zobaczyć jutro rano o 10.30 w tym samym miejscu, co ostatnio?” – pisał Carlo.

Giovanni zamyślił się i skinął głową. Tego wieczora przed zamknięciem wejścia do tunelu wysłał odpowiedź: „Oczywiście, mój

chłopcze”.

Nazajutrz rano Carlo już na niego czekał w ogrodzie Villa Giulia, który, jak zawsze o tej godzinie, był pusty. Przeszli się trochę, a potem usiedli na ławce.

– O cóż ci chodzi? – zapytał Giovanni.

– Wiem, co chcę powiedzieć – odparł młodzieniec – ale trudno mi zacząć.

– Nie spiesz się więc. Mamy jeszcze całą godzinę przed sobą, nim trzeba będzie wrócić na Zatybrze i zająć się przygotowaniami do obiadu – rzekł Giovanni usiłując ośmielić swego rozmówcę. A kiedy ten nic na to nie odpowiedział, poszukał w pamięci jakiegoś niewinnego tematu do dalszej pogawędki. – Powiedz mi coś o twojej narzeczonej – zaproponował.

– To bardzo poważna i pobożna dziewczyna. Jest mi ogromnie oddana.

– Wspaniale! – z entuzjazmem wykrzyknął Giovanni. – Trudno o coś lepszego niż poważna i pobożna włoska dziewczyna.

Carlo obojętnie przytaknął ruchem głowy, a wnosząc z jego wyrazu twarzy, myślą błędził gdzie indziej.

– Ksiądz jest ciężko chory – znów zaczął Giovanni po chwili milczenia. – Odwiedziłem go. Słabnie z dnia na dzień. Myślę, że chyba napisałeś do niego. Był mi najlepszym przyjacielem od...

Carlo wyprostował się, wziął na odwagę i spojrzawszy w oczy Giovanniemu powiedział:

– Rezygnuję z dalszej pracy. A raczej chciałbym ją zamienić na inną w naszej organizacji.

Giovanni żuł cygaro i uważnie przyglądał się twarzy młodzieńca.

– No? – rzekł wyczekująco.

– Proszę, niech pan zrozumie – poważnie zaczął Carlo. – Podobają mi się ten nasz interes. Bardzo mi się podoba. I jestem wdzięczny za to, co pan dla mnie zrobił. Ale zbrzydła mi już moja praca – skrzywił się niechętnie. – Od rana do nocy stoję w tej hałaśliwej, gorącej kuchni i tylko winduję potrawy w górę i w dół. I tak od lat. Nie widzę w tym żadnej przyszłości. Nie mam zamiaru spędzić życia – jak już panu powiedziałem – przy windzie. – Błagalnie spojrzał na Giovanniego. – Zgadzam się, że nie mam dużego wykształcenia, ale jestem sprytny. Wiem, że mogę panu być bardziej przydatny przy czymś innym w naszym interesie niż przy ciągłym zginaniu karku nad windą.

Giovanni potrząsnął głową.

– Winda to nasza kluczowa pozycja. Powinieneś o tym stale pamiętać.

Zapadła jeszcze jedna, długa chwila ciszy.

– Oczywiście, pańskie słowo jest prawem – zaczął Carlo. – Pan jest szefem. Tego nigdy nie kwestionowałem, prawda? Czy nie byłem panu ślepo posłuszny?

– Tak, byłeś, mój chłopcze, i wspaniale wywiązywałeś się ze

swoich obowiązków w kuchni URITI – szczerze przyznał Giovanni.

– I proszę, niech pan pamięta o jeszcze jednym – żywo rzekł Carlo. – Nie lubiliśmy się z księgarzem, ale to nie znaczy, że nie spełniałem także i jego rozkazów. Wiedziałem, że pan sobie tego życzy, więc go słuchałem. Nigdy się nie skarżyłem, prawda? Przez dwa lata z górą wykonywałem pracę, której nienawidziłem, ale czy choć raz się poskarżyłem?

– Nie – przyznał Giovanni. – To racja. Nie zdawałem sobie sprawy, że czujesz się nieszczęśliwy przy tej windzie. Tym bardziej więc zasługujesz na pochwałę za tak sumienne wywiązywanie się ze swego zadania.

– Proszę również nie zapominać – ciągnął Carlo – że ogromnie się narażałem przez cały czas. Gdyby któremuś, z inspektorów URITI przyszło do głowy zajrzeć pod tę pokrywę...

– Dobrze o tym wiem – przerwał mu Giovanni. – Właśnie dlatego dostajesz 70 000 lirów co miesiąc. W URITI płacą ci 30 000. Dodaj te kwoty, a przekonasz się, że zarabiasz więcej niż profesor uniwersytetu w Rzymie. Nie zapominaj też, że co roku dawałem ci podwyżkę. – Umilkł i zastanawiał się. „Nie powinienem – myślał – wdawać się w dysputy z takim młodzikiem. Należy raczej nim pokierować. Niecierpliwością niczego nie dokonam. Trzeba wykazać więcej wyrozumiałości”.

– Naprawdę masz jakieś zmartwienie, mój chłopcze? Zarabiasz dobrze; mówisz, że twoja *fidanzata* jest poważną i religijną dziew-

czyną; że jest ci oddana i kocha cię z całego serca. Jesteś młody, życie ci się układa gładko. Sądzę, że możesz się uważać za szczęśliwego.

– Tak, ona mnie kocha. Świata poza mną nie widzi – odparł Carlo. – I wyjdzie, za mnie niezależnie od tego, co będę robił. Ale niech pan pomyśli, o ile byłaby szczęśliwsza i dumniejsza ze mnie, gdybym był partnerem w interesie, a nie ślepym wykonawcą, przez całe lata harującym przy tej windzie.

– Nie bardzo cię rozumiem – wolno rzekł Giovanni. – Co miałeś na myśli mówiąc „partnerem w interesie”?

– Mam na myśli to, że starałem się jak najlepiej współpracować z panem nawet wtedy, kiedy księgarz krzątał się w tunelu. Nigdy go nie lubiłem, ale wiedziałem, że uczynił go pan swoim wspólnikiem i chce pan, abym go słuchał. Dlatego też nie żaliłem się, że muszę pracować w gorącej, wstrętnej kuchni, kiedy on miał szczęście siedzieć na dole w chłodnym, cichym tunelu. Byłem nowicjuszem w tym interesie i nie wypadało mi zaczynać pracy od narzekań i żądania przywilejów.

Giovanni spostrzegł, że Carlo wpadł w niezwykle podniecenie; słowa płynęły mu z ust nieprzerwanym potokiem; rumieniec zabarwił jego policzki.

– Uspokój się, mój chłopcze. Staram się cię zrozumieć – rzekł łagodnie. Położył nawet rękę na kolanie młodzieńca, czekając, aż się uspokoi.

– No więc, teraz – zaczął po chwili Carlo – księgarz wyjechał i prawdopodobnie nie wróci. I cóż się zmieni? Miałbym znowu windować tacę z daniami w górę i w dół, gdy ktoś inny dostanie wygodne zajęcie wewnątrz tunelu? Znosi się na to, że będzie to nowy wspólnik, gdy ja, po tylu latach pracy dla pana, wciąż pozostanę najemnym pracownikiem. Czy to byłoby w porządku?

– Więc co proponujesz?

– Niech mnie pan weźmie do tunelu – z naciskiem rzekł Carlo.
– Niech Edoardo stanie przy windzie w URI-TI. Jest silny. Będzie bez najmniejszego zmęczenia windować dania od rana do nocy. Dla niego każda praca jest dobra; nie weźmie panu za złe tej zamiany. Dla mnie zaś to, że zostanę pańskim partnerem i będę pracować na dole, ma olbrzymie znaczenie. Przecież ja, nawet nigdy nie byłem wewnątrz tunelu! Chcę poznać pański interes od początku do końca. A jestem sprytny. Niezależnie od tego, co księgarz o mnie myśli, jestem sprytny.

Nie minął tydzień, gdy Miranda znów przyniosła Giovanniemu kartkę, w której Carlo domagał się nowego spotkania. Giovanni odpisał, że zgadza się na nie, a swoją odpowiedź dołączył do ostatniego zamówienia, które przyczepił do liny od windy.

Tego wieczora zresztą czuł się bardziej zmęczony niż kiedykolwiek i dlatego też ucieszył się szczerze, kiedy Miranda, po wyjściu ostatnich gości, przyszła do jadalni trattorii, aby z nim chwilę

posiedzieć. Był to na ogół szczęśliwy dla niego dzień. Utarg wyniósł 107 750 lirów, Edoardo nie stłukł arii jednego półmiska, a on sam poczynił znaczne postępy przy przenoszeniu jednego z fresków z zawilgoconej, marmurowej ścianki sarkofagu; lecz mimo to ciężko mu było na sercu.

– Codziennie w tym tygodniu telefonowałem do Rivisondoli – rzekł – do lekarza i do właściciela hotelu. Obaj mówią, że mój przyjaciel słabnie z każdą godziną. Podobno już nieraz powtarzali mi, że chciałbym być przy nim, ale on kazał nikogo do siebie nie wpuszczać. Czyżby się na mnie pogniewał? Może myśli, że go oszukałem? Czy mógłby posądzać mnie o wiarołomstwo po tylu latach przyjaźni? – rozmyślał na głos, wpatrując się w stół, przy którym siedzieli.

– Nie bądź śmieszny, Giovanni. – Miranda podsunęła palec pod jego podbródek i uniosła mu głowę. Wygładziła głębokie zmarszczki na jego czole między oczami i tak długo uśmiechała się doń współczująco, aż wreszcie się rozpogodził.

– Za często widywałam was razem, abym mogła się mylić – powiedziała. – Księgarz jest do ciebie bardzo przywiązany. Z pewnością chce tylko oszczędzić ci bólu. A i ty nie oddałbyś mu przysługi swoją ponurą miną i tym człapaniem, jakie teraz towarzyszy twej codziennej pracy.

W ciągu następnej godziny – poważnie i żartem na przemian – tak potrafiła zręcznie urozmaicić ich rozmowę, spleść wesołość z wspomnieniami ze swego dzieciństwa na lagunach Wenecji, że

Giovanni z wolna zapomniał o swoim zmartwieniu i znów odzyskał dobry humor.

Był jak wniebowzięty. Nagle stwierdził ze zdumieniem, że trzyma Mirandę za rękę.

– Masz rację – rzekł starając się ukryć zaambarasowanie. – Tak, nasz przyjaciel czułby się upokorzony i zasmucony, gdyby myślał, że opuściłem głowę. Nieraz przecież mówił, że życie należy celebrować, a nie tylko znosić.

Zerwał się od stołu.

– Wypijmy za jego zdrowie! – wykrzyknął.

Zszedł do piwnicy i przystanął przed półkami z winem. Zapomniawszy już o podnieceniu z profesjonalnym znanstwem przyglądał się butelkom. Wybrał jedną, Jotianisbergera, i odkurzywszy ją zaniósł do jadalni, odkorkował i napełnił kieliszki. Miranda stała przy nim.

– *Viva il nostro amico!* Za zdrowie naszego przyjaciela!

Tręcili się kieliszkami.

– Za celebrację życia! – powiedziała.

Ich spojrzenia spotkały się. Patrzyli na siebie dłużej. Giovanni pierwszy spuścił wzrok i przyjrzał się kartce, którą Miranda mu przyniosła.

– Czego ten Carlo może chcieć ode mnie? – zastanawiał się.

– Jaki to rodzaj człowieka? – zapytała Miranda.

Giovanni wpatrzył się w swój kieliszek usiłując zebrać myśli.

Przez kilka minut w milczeniu palił cygaro i uporządkował wrażenia, jakie odniósł z dwu i półletniej pracy z Carlo. Wreszcie doszedł do pewnej konkluzji.

– Wierzę mu. Zasluguje na zaufanie. To dobry pracownik, sprytny, szczery i prostolinijny. Księgarz się chyba myli. Racja, że Carlo jest ambitny, ale to może być jego zaletą. Chce dojść do pieniędzy. Jasne, ale większość ludzi tego chce.

Miranda spojrzeniem swych szarych oczu badała jego twarz.

– I jasne też, że darzysz go dużą sympatią – powiedziała.

– Tak łatwo mnie przejrzeć? – spojrzał zamyślony w jej oczy. – Muszę lepiej ukrywać moje uczucia.

Potrząsnęła głową nie odrywając wzroku od jego oczu.

– Czy to dobra droga? – zapytała.

Obojgu pokój wydał się pełen ciszy.

– Należysz do ludzi – powiedziała po chwili Miranda – którzy powinni mieć odwagę żyć z szeroko otwartymi oknami i w pełnym słońcu. Nie bój się swoich uczuć, Giovanni.

Odeszła w parę minut później. On zaś po raz ostatni jak zawsze przeszedł przez tunel i wrócił do siebie. Nie mógł jednak zasnąć. Z pół godziny co najmniej wiercił się na łóżku czekając na sen, aż w końcu wstał i poszedł do bawialni. Stanął przy oknie i w zadumie patrzył na bruk ulicy; potem usiadł obok brązowej etruskiej wazy, którą przydźwigał tu z grobowca, i patrząc, jak blask księżycy kładzie się na topory i włócznie, rozmyślał dalej. Po dłuższej chwili

wstał, podszedł do biurka i wyciągnął największą szufladę. Trzymał w niej wszystkie swoje kosztowności: złodziei się nie bał, a bankom nie ufał. Wyjął wspaniały naszyjnik pradawnego wojownika. Złote ogniwa przesuwane między palcami lśniły w świetle księżyca, a Giovanniemu zdawało się, że widzi już ten tajemniczy klejnot na szyi Mirandy, cudownie mieniący się przy każdym jej oddechu.

Uśmiechnął się i zamknął naszyjnik w szufladzie. Nie, to byłby egoistyczny kaprys, na który nie należało sobie pozwalać i którego nigdy by sobie nie wybaczył. Może roześmiałyby mu się w nos, a może wstydziłaby się sama przed sobą, gdyby przyjęła ten dar? Nie mógł do tego dopuścić. „To tak jasne jak dwa razy dwa jest cztery – rzekł sobie. – Dwa razy dwa jest cztery. A dwa razy dwadzieścia siedem to niestety pięćdziesiąt cztery.”

– Mam trochę kłopotu z rodziną mojej narzeczonej – powiedział mu Carlo nazajutrz rano. – Sam pan wie, jak to jest, kiedy dziewczyna chodzi z jakimś chłopcem i rozpowiada o tym niepotrzebnie. A teraz oni chcą, abym przyspieszył dzień ślubu. I po diabła się do nas wtrącają? Tak czy tak, ożenię się z nią, więc co to ich obchodzi, kiedy to zrobię! Dużo się rozumieją na naszych sprawach. Nic im do nas!

– Co to za ludzie?

Carlo wzruszył ramionami.

– Jej ojciec jest inwalidą wojennym. Od dawna na rencie. Mat-

ka to stary babsztyl z językiem ostrym jak brzytwa. Jeśli nie strofuje męża, to poucza moją dziewczynę, jak powinniśmy żyć.

– Sądząc z tego, co mówisz, nie są to zbyt mili staruszkowie – zachichotał Giovanni – ale może trochę przesadziłeś.

– Może – przyznał Carlo i odchrząknął. – Denerwuje mnie myśl o małżeństwie. Pewnie czułbym się lepiej, gdybym miał więcej pieniędzy lub przyjemniejszą pracę – spojrzał na Giovanniego. – Przypuszczam, że pan zastanowił się nad tym, o czym mówiliśmy parę dni temu.

– Tak, oczywiście – odparł Giovanni. – Wdzięczny ci jestem, że zwróciłeś mi uwagę na tę sprawę, bo nigdy dotąd nie myślałem, że uważasz się za pokrzywdzonego. Oczywiście masz prawo do innej pracy, skoro tego tak pragniesz. Pracowałeś ciężko i dobrze. Nie zdaje mi się jednak, aby Edoardo mógł cię zastąpić. Ale nawet gdyby mógł, to skąd wiesz, że zdołalibyśmy go wtrzyąć do URITI?

– Ja to już sobie obmyśliłem. Oznajmię kierownikom, że się żenię, i w związku z tym poproszę o podwyżkę. Oczywiście odmówią, a w parę tygodni później oświadczę, że znalazłem sobie lepiej płatne zajęcie, i gorąco polecę im Edoardo na moje miejsce. Powiem, że to mój krewny – o czym będą się mogli przekonać, jeśli zechcą to zbadać – i że w życiu nie spotkałem jeszcze nikogo mocniejszego niż on. Bo ta praca wymaga przede wszystkim mięśni. Kiedy zobaczą jego bary i bicepsy i dowiedzą się, że gotów jest orać za połowę tego, co mnie płacą, zatrudnią go z miejsca. I będą uszczęśliwieni, gdy im

powiem, że przed odejściem wprowadzę go w moje obowiązki. A kiedy nikt nie będzie na nas patrzył, pokażę mu, jak ma zsyłać dania na dół. Mówię panu, to nic skomplikowanego.

Giovanni podrapał się w policzek.

– Kierownicy restauracji URITI mogą jednak powziąć jakieś podejrzenia, kiedy zobaczą, że po odejściu od nich pracujesz w mojej trattorii – rzekł.

– O tym także pomyślałem; zapuszczę brodę w czasie miodowego miesiąca. Broda całkiem zmienia wygląd. I myślę, że będzie mi z nią nawet do twarzy.

– To, o co prosisz, to sprawa delikatna z wielu względów – powiedział Giovanni. – Muszę się jeszcze nad tym zastanowić...

Twarz młodzieńca wyciągnęła się pod wpływem rozczarowania.

– Ale... ale ja myślałem; że to już postanowione – zaczął – z tego, co pan mówił, oczywiście. Niech się pan nic nie boi, wszystko pójdzie dobrze. Ja to sobie dokładnie obmyślałem. – A ponieważ Giovanni nie odpowiedział, ciągnął dalej: – Pan nawet nie wie, jak bardzo mi zależy na tym, żeby pracować w samym interesie, a nie sterczeć wciąż w kuchni URITI. Mam moc nowych pomysłów. Znacznie bardziej się panu przydam jako wspólnik niż jako najemna siła w URITi. A Edoardo świetnie się nadaje do obsługiwanie windy.

Giovanni jednak wołał do niczego się jeszcze nie zobowiązywać.

– Chciałbym ci jakoś pomóc, mój chłopcze, zasługujesz przecież na nagrodę – rzekł wymijająco.

– Żenię się niedługo – mówił dalej Carlo – toteż zależy mi na tym, abym do czegoś nareszcie doszedł. Chciałbym poznać interes na wylot; chciałbym go znać tak dobrze, aby pan mógł zawsze wyjechać na wakacje czy wyruszyć w podróż i wiedzieć, że trattoria jest w pewnych rękach. Może za cztery, pięć lat zostanę u pana dyrektorem? Kto wie, czy do tego czasu nie będę już miał licznej rodziny i może dopuści mnie pan do udziału w trattorii?

– Do czego? – zapytał zdumiony Giovanni.

– No, przecież pan nie ma nikogo bliskiego. Chciałbym, aby pan moją rodzinę uważał za własną. Mógłby pan nawet kiedyś zamieszkać z nami, gdyby pan zechciał. Moglibyśmy mieć ogródek, gdzie hodowałby pan kwiatki – roześmiał się..– Przyznaję, że może zbyt daleko wybiegam w przyszłość, chcę jednak, aby pan wiedział, że pod wieloma względami traktuję pana jak własnego ojca.

Oszołomiony Giovanni słuchał jeszcze przez jakiś czas, paląc cygaro dla rozjaśnienia umysłu. Wreszcie zmienił temat.

– Kiedyż ma się odbyć ten ślub? – zapytał.

Carlo spochmurniał.

– Matka przekonała moją narzeczoną, że powinien się już odbyć niedługo. Chyba załatwimy to w przyszłym miesiącu.

Giovanni wyczuł, co należy powiedzieć.

– Spodziewam się – rzekł – że zgodzisz się, aby pewien stary

kawaler wyprawił wam wesele?

– To bardzo ładnie z pana strony – odparł Carlo z wahaniem: zdawało się, że oczekiwał czegoś więcej.

– To będzie prawdziwa przyjemność dla mnie – powiedział Giovanni.

– Myślą, że istotnie powinniśmy urządzić jakieś przyjęcie. Pańska propozycja oszczędzi mi wydatków, to prawda. Rodzice mojej narzeczonej to biedacy. Tak, tak, zgadzam się. Dziękuję panu. – Jednak zdawało się, że miał myśl zajętą czymś innym; był roztrągniony, ponury. – Ale skoro tak, sądzę, że muszę panu jeszcze o czymś powiedzieć.

– O czym?

– A więc – jego policzki zarumieniły się z lekka – nie chciałbym, aby zaskoczył pana jej widok albo żeby pan o mnie źle myślał dlatego, że nie uprzedziłem pana zawczasu, bo ona jest *incinta*.

Giovanni uniósł jedną brew.

– Od kiedy?

– Od około pół roku – odparł Carlo.

Przez chwilę Giovanni w milczeniu pykał cygaro.

– Mówiłeś – tak mi się przynajmniej zdawało – że to bardzo religijna dziewczyna.

– Tak, jest religijna – odparł Carlo – ale nie przez cały czas.

Księgarz zmarł wieczorem 6 maja 1959 roku. Na parę dni

przedtem, w pełni władz umysłowych, zarządził, aby jego doczesnych szczątków pod żadnym warunkiem nie wystawiano na widok publiczny i aby nikt, czy to z gapiów, czy przyjaciół, nie uczestniczył w pogrzebie. Tę jego wolę, rankiem dnia 7 maja, zakomunikował Giovanniemu przez telefon kierownik „Albergo Imperio” z górskiej osady Rivisondoli.

Giovanni odłożył słuchawkę i przez dłuższy czas stał pogrążony w myślach. Potem wrócił do bawialni i zamknął za sobą drzwi.

Chyba przez dwie godziny trapiły go miliony wspomnień. A potem zamknąwszy trattorię powędrował do najbliższego krawca i kazał mu naszyć żałobne opaski na wszystkie swoje marynarki. Po drodze wstępował do niektórych sklepów na ulicy Skrybów i w sąsiedztwie, ażeby powiadomić przyjaciół księgarza o jego zgonie. Później o niczym nie myśląc włączył się bez celu nad brzegiem Tybru.

Gdy wrócił, zastał czekającego nań przed trattorią zieleniarza, który powiedział:

– Sądzę, że wszyscy kupcy z naszej ulicy powinni się złożyć na wieniec.

– To niepotrzebne – bezbarwnym głosem odparł Giovanni – już zamówiłem kwiaty.

– Ale sąsiadowaliśmy z nim przez tyle lat. Nie wypada, żebyśmy nie złożyli mu ostatniego hołdu – upierał się tamten.

– Racja – przyznał Giovanni – to chyba słuszne, że ludzie też

chcą jakoś uczcić jego pamięć.

Zieleniarz, szczupły, kościsty, z orlim nosem, o głowę wyższy od Giovanniego, spojrział w dół na jego melancholijne oblicze.

– Zdaję sobie sprawę, że to ciężkie przeżycie dla pana – rzekł.
– Wszyscy wiemy, że księgarz był pańskim najlepszym przyjacielem. Często widywaliśmy was przy winie pogrążonych w rozmowie. Jasne, że skoro zmarły był panu tak bliski, szuka pan samotności. Ale kiedy trzy lata temu zmarł aptekarz z rogu ulicy, dokonał pan wspaniałego dzieła organizując zbiórkę na wieniec z całego sąsiedztwa. Złotnik świetnie to pamięta. Zastanawialiśmy się, czy i teraz nie podjąłby się pan takiej zbiórki.

Giovanni przecząco potrząsnął głową.

– Ale właśnie pan, nie kto inny, powinien się tym zająć – nalegał jego rozmówca. – Pan jest najstarszym mieszkańcem naszej ulicy. Wszyscy uważamy pana za jej patriarchę.

Tak się więc stało, że tego jeszcze popołudnia Giovanni chodził od sklepu do sklepu, od domu do domu, wzdłuż wąskiej ulicy Skrybów i zbierał datki na wieniec. A kiedy już w połowie wywiązał się ze swego zadania, nagle jakiś pomysł strzelił mu do głowy, wywołując ironiczny uśmiech na usta.

Wyszedł ze sklepu złotnika, pomaszerował na koniec ulicy i przystanął przed restauracją URITI na Zatybrzu. Stoliki przed nią były już od dawna uprzątnięte, a kelnerzy porozchodzili się.

Śmiało podszedł do drzwi i po raz pierwszy w życiu wkroczył

do jadalni URITI.

Wielka, gustownie urządzona sala, długie rzędy porządnie ustawionych stolików, dyskretne, ale jasne światła wywarły na nim, dodatnie wrażenie.

W tyle jadalni siedziało trzech mężczyzn w ciemnych garniturach; schylili głowy nad maszyną do liczenia i wielkim stosem rachunków zapłaconych przez kilkuset konsumentów, którzy spożyli tu obiady.

Liczyli coś z kwaśnym wyrazem na twarzach, a sądząc z ich cierpkich uwag, byli w kłótliwych nastrojach.

Giovanni podszedł do nich uroczysty i godny.

– Przykro mi, że fatyguję panów o tej porze – rzekł uprzejmie – tym bardziej że widzę, jak jesteście zajęci. Rzecz w tym, że wszyscy kupcy z sąsiedztwa składają się na wieniec dla naszego wspólnego przyjaciela, księgarza, który zmarł tej nocy. Myślałem więc, że może i panowie zechcą się dołożyć.

Trzej mężczyźni spojrzeli na niego, a potem wymienili między sobą spojrzenia.

– Księgarz? Jaki księgarz? – zapytał jeden z nich.

– Od lat miał księgarnię na tej ulicy – odparł Giovanni.

– Tak, zgadza się – odezwał się drugi mężczyzna. – Widziałem tę księgarenkę. Przylega do trattorii.

– A kto pan jest? – zapytał trzeci z tej trójki. Giovanni skłonił się.

– Nazywam się Giovanni Venturi.

Wtedy wszyscy trzej bez słowa odłożyli ołówki i wyprostowali się na swych krzesłach. Z jawnym zaciekawieniem patrzyli na jednego w całych Włoszech właściciela zwykłej trattorii, który nie zbankrutował, gdy w jej sąsiedztwie URITI otworzyło swoją filię.

– A więc to pan jest Giovanni Venturi? – przerwał w końcu milczenie któryś z kierowników.

Giovanni znów się skłonił.

Wówczas schylili głowy i jęli naradzać się szeptem. Dyskutowali nad czymś. Podejrzliwie spoglądali na siebie. W końcu doszli do porozumienia. Jeden z nich wstał, podszedł do kasy i wyjął pięćdziesięciolirową monetę. Drugi poszedł za nim, obejrzał pieniądz i zanotował wydatek w raporcie.

– Dziękuję panom. Oczywiście umieścimy firmę URITI na liście ofiarodawców – grzecznie rzekł Giovanni i ruszył do drzwi.

– Zaraz! Gdzie się pan tak spieszy? – usłyszał za sobą wołanie tego, co mu wręczył pieniądze. – Tu mi nikt nie wierzy. Siadaj pan i pisz pokwitowanie. Nie chcę, aby się mnie potem czepiano.

Giovanni siadł przy stoliku tuż obok górnego wylotu windy do potraw i wypisał żądany kwit. Czekaając, aż atrament wyschnie, rzucił okiem na wielokrążki i liny w głębokiej niszy przed sobą. Potem wstał i oddał kwit jednemu z kierowników.

– Widziałem już coś takiego na obrazku – rzekł wskazując na wylot windy – ale jeszcze nigdy w restauracji. Czy to kosztowne

urządzenie?

– Tanie nie jest – odparł zapytany – ale warte swej ceny. Tak twierdzi nasza centrala w Turynie i ja osobiście się z tym zgadzam. Takie coś – wskazał na windę – zastępuje piętnastu kelnerów. I pracuje cicho, bez hałasu. Szybko i bezgłośnie dostarcza wszystko z kuchni; czasami danie stoi już przed klientem, nim jeszcze zdążył je zamówić – rozmiłowanym okiem spojrzął na windę. – Oczywiście – dodał po chwili z namysłem – potrzebne jest tylko w bardzo dużych restauracjach. Z tego, co słyszałem, pan prowadzi małą knajpkę. Dla pana nie miałyby sensu pakowanie pieniędzy w podobne urządzenie!

Giovanni przez dłuższą chwilę przyglądał się windzie.

– Tak, z pewnością. Ma pan rację – rzekł na zakończenie rozmowy.

Pożegnał się z każdym po kolei, skłonił się i wyszedł, a oni znów pochylili się nad rachunkami podejmując przerwany spór. Giovanni już przy drzwiach usłyszał, jak jeden gniewnie mówił do pozostałych: „A jednak twierdzą, że nie trzeba było tyle dawać. Ostatecznie, cóż nas obchodzi ten księgarz?”

Po powrocie do trattorii Giovanni zadzwonił do kwiaciarni i omówił sprawę wysłania wieńca.

A popijając w towarzystwie Mirandy przedwieczorny aperitif, ponuro rozmyślał nad wyglądem sklepu swego zmarłego przyjaciela; szyld z jego nazwiskiem znikł znad wejścia, żaluzje pozostawały opuszczone, wewnątrz od miesięcy było puste. Któregoś dnia wpro-

wadzi się tam nowy najemca, ktoś obcy. „A wtedy – myślał – ulica Skrybów straci dla mnie swój familiarny, swojski wygląd”.

Zgodnie z życzeniem księgarza, Giovanni nie uczestniczył w jego pogrzebie.

W dwa dni później wybrał się jednak do Rivisondoli i każdy, kto był na cmentarzu pod wieczór 9 maja 1959, mógł widzieć jego kręłą postać pod wysokimi cyprysami. Stał tam z wzrokiem utkwionym w prosty nagrobek z białego marmuru, na którym wyryte było nazwisko księgarza i takie posępne epitafium:

Quantum mutatus

ab illo

W dzień śmierci księgarza doręczono Giovanniemu polecony list ze stemplem pocztowym Rivisondoli. W liście tym był klucz.

10 maja, po powrocie do Rzymu, Giovanni wyjął ów klucz z koperty i zabrawszy skórzaną teczkę, którą powierzył mu księgarz, poszedł do swojej bawialni.

Teczka zawierała list oraz dziewięć grubych paczek banknotów po dziesięć tysięcy lirów każdy. List był krótki i zwięzły.

„Bezustanne szczebiotanie brzuchatej pielęgniarki, która usiłuje mi dodać otuchy, każe mi wzdychać do nadejścia nieuniknionego końca. Tymczasem lekarz nie przestaje napychać mnie różnymi środkami, aby złagodzić wielorakie cierpienia mojej wycieńczonej

ziemskiej powłoki. Oboje wprost promieniają idiotycznym optymizmem, nie zdając sobie nawet sprawy, że tęskno mi już wyruszyć w czekającą mnie długą drogę...

Zwracam pozostałość z tych sum, które wmusiłeś we mnie w ciągu ubiegłych paru lat. Byłoby tego więcej, gdybym za siedem milionów lirów nie ufundował katedry dysgenetyki na Uniwersytecie w Padwie... Chciałbym przekazać ci tylko dwie rady: nie daj się ponieść fałszywej ambicji i zamknij trattorię... Żegnaj, drogi przyjacielu; odchodzę, aby cię czekać w krainie cieni”.

Giovanni aż do końca maja łamał się z sobą. Każde popołudnie spędzał teraz w grobowcu albo pracując nad przeniesieniem fresków, albo całymi godzinami chodząc z kąta w kąt i analizując sytuację. Nabrał zwyczaju głośnego rozmawiania z samym sobą, przy czym zapalczywymi gestami podkreślał słowa.

Po południu 19 maja 1959 do uszu Mirandy doleciał jeden z tych ponurych monologów. Tego dnia wydali w trattorii czternaście wystawnych i drogich obiadów dla uprzywilejowanych gości. Miranda wyłączyła podgrzewacz, posprzątała ze stołu kuchennego u wylotu windy i szła tunelem, kiedy usłyszała Giovanniego, który coś głośno rozważał o pięć metrów niżej. Przeszła więc przez barierkę odgradzającą kopułę grobowca, zeszła na dół, siadła na wielkim kamiennym sarkofagu i zaczęła się przysłuchiwać. Giovanni stał wysoko nad nią, na rusztowaniu, przed ponurą figurą etruskiego kapłana,

namalowaną na starym murze. Argumentował kwiecicie i elokwentnie w takim oto sensie: „Mój wielki przyjaciel i doradca odszedł na wieki. Ulica, na której spędziłem ponad trzydzieści lat mego życia, stała mi się obca. Carlo zamierza wkroczyć w prawa zmarłego”.

Ale w głębi serca Giovanni Venturi był prostym człowiekiem. Z pewnością nie chodziło mu o bombastyczne przemówienie.

„...na pieniądzach mi nie zależy. Mój nieodżałowany przyjaciel pozostawił mi dwanaście milionów lirów, a własnych mam chyba koło piętnastu. Mogę już dziś wycofać się z interesu i żyć wygodnie, nie chcę jednak, aby zarząd URITI triumfował na widok zamkniętych drzwi mojej trattorii. Ale jeżeli poprowadzę ją dalej, będę musiał przypościć do spółki Carlo. To sprytny i ambitny młodzieniec; za rok gotów mnie wykwitować z interesu... Hm, lecz czyż nie miałem już pięknej przeszłości? Los uśmiechnął się do mnie. Powiodło mi się. Kości mam jeszcze giętkie, wątrobę – jak u młodzika.. Carlo bez wątpienia ma wady, służył mi jednak długo i wiernie. Dlaczego miałbym zamykać mu drogę? Czy koniecznie musi tak walczyć, jak ja walczyłem na początku życia? Dlaczego dopiero w dojrzałym wieku miałby zdobyć środki na rozkosze życia, z których młodość najlepiej potrafi korzystać?

...Czas niestety mija aż za szybko. Nasza staruszka ziemia usiana jest ruinami i relikdami przeszłości. Ja chyba wiem o tym najlepiej; dość czasu spędziłem w muzeach i dość dużo widziałem ko-

ści, więc się nie mylę. Największym darem ze wszystkich jest czas. Mogę uwolnić Carlo od trosk materialnych; mogę – oszczędzić mu najbardziej banalnej, ale i najokrutniejszej troski, która ogranicza fantazję człowieka. Mogę ofiarować mu czas. Czy mój obowiązek nie jest jasny? W imię czego miałbym być takim egoistą?

...On, zdaje się, nie ma żadnej bratniej duszy. Nikt chyba nie dbał o jego dobro. Nigdy w życiu nie miał najmniejszej fory. Czyż nie jest więc ludzką rzeczą, a więc i wybaczną, że znając tajemnicę bogatego człowieka próbuje to wykorzystać?

...Poza tym niedługo będzie potrzebował pieniędzy. Jego ukochana jest przy nadziei, a potem to dziecko będzie miało braci i siostry.

...Kto wie – zakończył – może nawet będę się cieszył, niańcząc małego chłopczyka na swoich kolanach”.

– Tak – odezwała się Miranda – to będzie wspaniałe uczucie.

Godzina 2.00, 20 maja 1959.

– O, w sam czas, wejdz, mój chłopcze! – kordialnie zawołał Giovanni uchylając drzwi, przez które natychmiast cichcem wsunął się Carlo, a potem zaryglował je i przyjacielskim ruchem wskazał mu krzesło przy jednym ze stolików w cichej, mrocznej jadalni.

– Wiem, że jest późno – rzekł – ale dziś po południu powziąłem decyzję, która gotowa zaważyć na twym losie, i chciałem o tym z tobą pomówić, zanim się położysz. – Umilkł, aby raz jeszcze zre-

widować w myśli swe postanowienie; tak, z pewnością było wielkoduszne i ludzkie. – Uważam, że winienem powiadomić cię o wszystkim, tu, w trattorii.

Oczy Carlo płonęły. \

– A więc zgadza się pan, abym pracował w tunelu?

Giovanni skinął głową.

– Stokrotnie panu dziękuję – twarz młodzieńca rozpromieniła się z radości i zadowolenia. – Nigdy pan tego nie pożałuje. Przysięgam! – rozejrzał się po jadalni. – No, nareszcie wydostanę się z tej kuchni i wejdę do interesu! To najszcześniejszy dzień w moim życiu – schwycił rękę Giovanniego i uścisnął ją wylewnie.

– Spodziewam się, że nikt cię nie widział, kiedyś tu wchodził?
– zapytał Giovanni.

Młodzieniec przecząco potrząsnął głową.

– Przeszedłem na drugi brzeg i powędrowałem jeszcze kilometr w dół rzeki, nim zawróciłem. Na ulicy nie było zresztą nikogo.

– Doskonale, doskonale – Giovanni namyślał się chwilę. – Musimy być bardzo ostrożni przy tej zmianie, rozumiesz. No, a kiedy zamierzacie wziąć ślub?

– Im prędzej, tym lepiej. Tak twierdzi jej matka.

– Chyba ma rację. Przede wszystkim trzeba uspokoić twoją narzeczoną – zapalił cygaro i zamyślił się. – A zatem powiedz jutro w zarządzie restauracji, że się żenisz, i zażądaj podwyżki. Z pewnością się nie zgodzą. Za tydzień oznajmisz, że dostałeś lepiej płatne zaję-

cie. Zwróć uwagę, jak na to zareagują. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, zaproponuj, aby przyjęli Edoardo na twoje miejsce. Powiedz, że jest on w biedzie i że zadowoli się byle jakim wynagrodzeniem. Podkreśl też, że jest silny jak wół.

Carlo promieniał ufnością,

. – Niech mi pan wierzy, to nie nastęczy żadnych trudności. Oni tylko myślą o tym, na czym by oszczędzić. Powiedziałem już: niech tylko zobaczą bicepsy Edoardo i dowiedzą się, że go wyszkolę, zgodzą się natychmiast.

– Wobec tego proponuję, abys wyznaczył datę ślubu, powiedzmy, od dziś za dwa tygodnie. W tym czasie Edoardo zapozna się dostatecznie z twoją pracą i będzie już stał przy windzie w kuchni UBITI. A ty będziesz musiał zginąć im z oczu.

Carlo skinieniem głowy wyraził zgodę.

– Na całej ulicy nikt mnie nie zna – wyjaśnił – ale, jak pan mówi, musimy być ostrożni.

Giovanni raz jeszcze zastanowił się nad swym planem.

– Powinno się udać – rzekł po chwili. – W czasie twojej nieobecności sam będę nosił dania przez tunel. Trzeba będzie zredukować liczbę przyjmowanych gości; nie jestem już taki zwinny jak kiedyś. Nie przyjdzie mi łatwo obsługiwać gości i biegać od windy do kuchni, od kuchni do windy, ale – uśmiechnął się – dam jakoś radę.. W każdym razie nie chcę, abys skracał sobie podróż poślubną tylko dlatego, że będę musiał przez ten czas pracować za dwóch.

Carlo wzruszył ramionami.

– Nie wyjadę przecież na długo, bo po pierwsze, hotele są drogie; nie mogę sobie pozwolić na taki wydatek – zmarszczył brwi – a po drugie, mówiąc jak mężczyzna do mężczyzny, w tym stanie, w jakim ona. jest, niewiele obiecuję sobie przyjemności w tej podróży.

Ciepłe uczucia ogarnęły serce Giovanniego.

– Mylisz się, mój drogi chłopcze! – zawołał. – Pomyśl, że twoja wybranka będzie przy tobie, że będzie dzielić każdą twoją myśl. Poznasz radość prawdziwego znaczenia słowa „my”; doświadczysz takiej głębi przeżyć”, jakiej sam nigdy byś nie doświadczył. W nocy, kiedy będziecie leżeli obok siebie, wyczujesz w łonie twojej małżonki bicie serduszka tego dziecięcia, które stanie się szczęściem waszego domu. Będziesz...

Rozentuzjasmowany, niepomny późnej godziny, przez dziesięć minut jeszcze odmalowywał te wszystkie rozkosze, jakie Carlo miał niebawem poznać. Swoim zwyczajem jednak, w czasie tej lirycznej recytacji, pięć minut poświęcił opisowi etruskich rytuałów ślubnych.

– *A proposito* – rzekł ocierając czoło rozpalone tą przemową. – Tam na górze mam coś, co cię bardzo zaciekawia. Chodź.

Poprowadził młodzieńca do schodów i weszli na pięterko. Giovanni otworzył drzwi bawialni i wkroczyli do środka.

Carlo aż usta otworzył ze zdumienia i stracił całą pewność siebie, kiedy po raz pierwszy spojrzął na pęki włóczni, toporów wojennych i potężnych hełmów, na olbrzymie błyszczące wazy z brązu,

które stały w pobliżu okna, na precudnie rzeźbione, brązowe zwierciadło przy drzwiach, na wielkie półki wypełnione setkami dzieł omawiających wszystkie aspekty etruskiej cywilizacji oraz na dwa barwne freski, świeżo przeniesione tu z grobowca i przytwierdzone do ścian.

– Spodziewałem się, że to cię zaskoczy – rzekł Giovanni. Był uszczęśliwiony. – Siadaj. Rozsiądź się wygodnie, mój chłopcze.

Carlo osunął się na fotel.

– Te rzeczy wyglądają jakby zabrane z muzeum! – wykrztusił.

Giovanni założył ręce do tyłu i z zadowoleniem pociągając dym z cygara, skinął głową potakująco. – Tak, to są etruskie wykopaliska – rzekł.

– Skąd pan je ma? – Carlo pochylił się w przód, aby lepiej przyjrzeć się rzeźbie na jednej z waz.

– Parę lat temu – odparł Giovanni – przeprowadzałem pewne badania archeologiczne pod okiem kogoś bardzo uczonego.

– Ale te rzeczy tutaj są rzadkością, prawda?

– Są nawet unikatami, o ile wiem – przyznał Giovanni. – Nie zrobiły jednak wrażenia na moim mistrzu. Pozwolił mi je zatrzymać. Nawet nie pomyślał o tym, aby napisać sprawozdanie z dokonanego odkrycia.

Zwrócił uwagę młodzieńca na rzeźbę na innej wazie.

– Kiedy mówiliśmy o etruskich ślubnych zwyczajach, pomyślałem sobie, że może chciałbyś obejrzeć ten okaz. Spójrz, widzisz te

dwie zawołowane postacie? Tu, przy ołtarzu. I przyjrzyj się wysokiej czapie kapłana. Jakie to wspaniałe! – Oczy mu błyszczały z zachwytu. – Kiedyś opowiem ci o etruskim zwyczaju zawołowywania pana młodego i panny młodej. Zdaje się, że zanikł on jednak po szóstym wieku p.n.e. Pozwól mi przeczytać ci, co Solari ma do powiedzenia na temat ślubnych obrządków u Etrusków. – Szybkim krokiem podszedł do półki, wyszukał potrzebny mu tom, zajrzał do spisu rzeczy, przerzucił parę stron, uśmiechnął się i zaczął śpiewnie czytać.

Kiedy skończył, Carlo poruszył się niespokojnie i z wielką uwagą przyjrzał się zabytkom zgromadzonym w pokoju.

– Z pewnością warto są kupę pieniędzy – rzekł.

– Tak, są prawie bezcenne. Nic jednak z tego, co znalazłem, nie pokazałem ludziom. Powiedz mi, czy słyszałeś kiedy o Larsie Porsenie?

Młodzieniec zastanowił się, a potem przecząco potrząsnął głową.

– Może pamiętasz – zaczął Giovanni – że Tarkwiniusze, królowie Etrurii, zostali wypędzeni z Rzymu w roku 509 p.n.e. na skutek gwałtu, jakiego dopuścił się na pewnej Rzymiance syn Lucjusza Tarkwiniusza Superbusa – wyciągnął kilka książek z półki – zabierz je do domu na noc. Dowiesz się z nich tej całej historii. Krótko mówiąc, Etruskowie przywołali na pomoc Larsa Porsenę, króla Clusium. Wyruszył on natychmiast i zdobył Rzym. Tu umarł i tu go też

pochowano. Wiem, że tak było, bo to ja odkryłem jego grób.

– Naprawdę?

Giovanni uśmiechnął się.

– To odkrycie nie przyniosło mi rozgłosu. Ów świątły człowiek, który kierował moją pracą archeologa, nie przejął się ani tym odkryciem, ani moimi teoriami. Co innego go zajmowało. Prawie natychmiast porzuciliśmy ten grób, aby kopać gdzie indziej.

Carlo wstał i podszedł do zwierciadła, by mu się lepiej przyjrzeć.

– Ale pan tam wrócił? – zapytał.

– Wracałem nieraz. Te wszystkie rzeczy pochodzą stamtąd. Tam też wydobyłem inny kosztowny przedmiot, którego tu nie umieściłem. Pokazałem ci ten pokój, abyś pojął znaczenie i wartość zgromadzonych w nim skarbów. Bo, widzisz, chcę ci to wszystko ofiarować w dzień ślubu.

Po tym oświadczeniu Carlo gorąco uścisnął Giovanniego.

– Pan jest dla mnie za dobry! – wykrzyknął. – Jakżeż zdołam się panu wywdzięczyc!

Ślub kościelny. Carlo odbył się 2 czerwca 1959 roku o godzinie 11.00. W przeddzień Giovanni był świadkiem na ślubie cywilnym w Campidoglio. Teraz w eleganckim żakiecie, wypożyczonym specjalnie na tę okazję, stał obok pana młodego w nawie kościoła Santa Cecilia na Zatybrzu i nucił cicho w takt organów, które pierw-

szymi tonami marsza weselnego zaczęły już wypełniać świątynię.

A chcąc uspokoić młodzieńca mówił mu o zwykłych sprawach i o miłej dlań perspektywie.

Więc o narzeczonej: „Jej twarz zdradza charakter. Zrobiłeś dobry wybór, mój chłopcze”.

O podróży poślubnej: „Przed wszystkim nie śpieszcie się. Dziś wieczór staniecie w Neapolu. Jeśli będziecie się tam czuli szczęśliwi – zostańcie dłużej. To najważniejszy dzień dla was. Niech ci się nie zdaje, że powinniście zaraz jechać na Capri, na Ischia lub popłynąć łódką na Amalfi. Są tam wprawdzie piękne widoki, ale widok to jeszcze nie wszystko”.

O trattorii: „W podróży zapomnij o pracy. Myśl tylko o rozrywkach. Świetnie się spisałeś wsadzając Edoardo zarządowi URITI. Zdobył już ich zaufanie i doskonale sobie radzi przy windzie. W czasie twojej nieobecności będę pracował w tunelu i w jadalni. Zapomnij teraz o wszystkim i myśl tylko o swojej młodej żonie.”

Krytycznym okiem zlustrował krawat oraz butonierkę młodzieńca i poprawił mu kołnierzyk.

– Trudno sobie wyobrazić piękniejszego oblubieńca – wyraził swój szczerzy zachwyt. – Nic dziwnego, że twoja wybrana tak się rozpromienia, kiedy spojrzy na ciebie – dodał.

Carlo uśmiechnął się i przejrzał się w kieszonkowym lusterku. A potem poszli w boczną nawę, gdzie miała się odbyć ceremonia ślubna.

Giovanni z zadowoleniem stwierdził w duchu, że sprawia mu ona niekłamana przyjemność. „Świeczek w sam raz, nie za wiele i nie za mało” – pomyślał. Kwiaty w kaplicy – wszystkie od niego – były świeże i pachnące. Ksiądz zdradzał żywe zainteresowanie młodą parą, a jego asysta znała się na swoich obowiązkach. Publiczność, prawie całkowicie składająca się z rodziny panny młodej, uśmiechała się pogodnie. Oblubienica, mimo że stworzenie niepozorne i nieśmiałe, miała dużo uroku, a na swojego męża rzucała rozkochane spojrzenia. Giovanni z satysfakcją stwierdził, że na przystojnym obliczu Carlo, gdy klękał u jej boku, malowała się ze wszech miar chwalebna stanowczość.

Zaraz po zakończeniu ceremonii Giovanni opuścił kościół i pośpieszył do małego hoteliku niedaleko za rzeką, aby dojrzeć ostatnich przygotowań do weselnego przyjęcia. Uważał bowiem, że nierozsądnie byłoby urządzić je w trattorii. Przed tygodniem więc zamówił wystawny obiad w jakiejś restauracji na mieście i kazał go dostarczyć do wspomnianego hotelu.

Restaurator nie zawiódł pokładanych w nim nadziei. Wielki stół uginał się od półmisek z apetycznie przyrządzonymi kurczętami na zimno, indykami, parmeńską szynką z melonem, pieczoną szynką, kiełbasami *alla cacciatore*, gotowanymi homarami, bogactwem wszelkich kanapek z kawiozem i koreczkami, od pater z lodami w trzech gatunkach i, oczywiście, z potężnym tortem weselnym. Prawdę mówiąc, było to pierwsze jedzenie, za jakie Giovanni zapła-

cił w ciągu ubiegłych bez mała trzech lat.

„No cóż – filozofował przy tym – we wszystkim trzeba znać miarę, jak często mawiał księgarz.”

Win dostarczył z własnej piwnicy albo, ściślej mówiąc, dostarczył kilka tuzinów Hochheimera, które parę dni przedtem zjechały na dół windą.

Ojciec panny młodej nieśmiało zaproponował, aby Giovanni wznosił pierwszy toast. Ale Giovanni certował się: nie przygotował sobie mowy. Szybko jednak zapalił się do tematu – ku szczeremu zmartwieniu tych, którzy byli głodni i spragnieni – i wygłosił długie przemówienie o pięknie małżeńskiego związku, o cnotach pana młodego i urodzie panny młodej. Stwierdził, że dzieci w małżeństwie są ogromnie pożądane i szczegółowo opisał ślubne zwyczaje Etrusków. Zakończył zaś długim i sentymentalnym błogosławieństwem udzielonym młodej parze.

Przez całe popołudnie krążył koło stołu dolewając gościom wina i zachęcając ich do jedzenia. Nie kazali się zresztą zbytnio prosić, toteż jeszcze nim zmrok zapadł, pełno już było w jadalni pustych butelek i opróżnionych półmisek, a ojciec panny młodej urznął się kompletnie.

Ale jeszcze na parę godzin przedtem Giovanni wywołał młodą parę do przyległego pokoju i wręczył im od siebie ślubne prezenty. Panna młoda wpadła w zachwyty na widok kosztownego serwisu z saskiej porcelany. Ten wspaniały prezent tak ją zaskoczył, że zalała

się łzami, nim jeszcze zdołała wyjąkać słowa podziękii.

A później Giovanni wyjął z kieszeni małe pudełko z safiano-
wej skóry i podał je panu młodemu, który trzęsącymi się z niecier-
pliwości palcami co prędzej uchylił wieczko: na białym atlasie leżał
przepiękny złoty pierścień rzeźbiony w dziwne wzory i ozdobiony
cennymi kamieniami. Giovanni uśmiechnął się: uradowało go zdu-
mienie Carlo.

– Nosił go kiedyś Lars Porsena – rzekł wkładając pierścień na
palec młodzieńca. – Ale od dziś ten klejnot należy do ciebie.

Oszołomiony Carlo pokiwał głową, jakby nie chciał wierzyć, a
gdy po chwili poruszył ręką, pierścień cudownie zalśnił w promie-
niach zachodzącego słońca.

– Ależ... ależ to wygląda jak złoto! – wykrzyknął.

– Bo i jest złoto. Czyste złoto. Nie zapominaj, że kiedyś należał
do samego króla – rzekł Giovanni.

Głęboka wdzięczność odmalowała się na twarzy młodzieńca.
Gorąco uścisnął dłoń Giovanniemu.

– Będę go nosił do końca życia – zapewnił łamiącym się gło-
sem.

Tej nocy o późnej godzinie Giovanni po raz ostatni zszedł do
podziemnego grobowca. Nalał sobie symboliczny kielich wina, sta-
nął przed sarkofagiem, skłonił się kamiennemu wojownikowi i rzekł:

– Kiedyś zapytałem księgarza, czy to grzech, że pragnę, aby
pamięć po mnie nie wygasła. Może miał rację, kiedy się na to roze-

śmiał, bo kimże ja jestem? Ale ty – uroczystym ruchem uniósł kie-lich – byłeś wielkim królem. Nie godzi się, by o tobie zapomniano. Oto, czemu włożyłem dziś twój pierścień na palec Carlo. Zaszczyci on jego rękę aż po ostatnie dni jego żywota, a potem – rękę jego syna i tak przez wieki; a każdy, kto będzie go nosił, wspomni Larsa Por-senę, króla Clusium.

Tak, jasno widział swój obowiązek. Musi wyrzec się egoi-stycznych pragnień; musi na zawsze zapomnieć o Mirandzie i resztę życia poświęcić młodej parze. Oczami duszy widział tych dwoje siedzących na hotelowym tarasie w Neapolu; przytuleni do siebie, przyglądają się blaskowi księżycy na wodzie i odległym stokom We-zuwiusza. Może mocno trzymają się za ręce, a oczy młodej małżonki z zachwytem patrzą na stary, złoty pierścień na palcu męża?

Westchnął. Na chwilę jeszcze przysiadł na sarkofagu i – wbrew postanowieniu – myślał o Mirandzie i przysłuchiwał się ka-paniu kropel z marmurowej kopuły grobowca. A potem życzył do-brej nocy królowi Clusium i poszedł się położyć.

Rankiem zbudziło go gwałtowne stukanie. Ktoś brutalnie wy-rwał go ze snu łomocąc pięściami we drzwi trattorii. Nasunął koldrę na głowę, ale łomotanie przybierało na sile. Otworzył więc oczy i, niechętnie, próbował zebrać myśli.

Pamięcią, zawieszoną, między rzeczywistością i pogma-twanymi wspomnieniami z przeszłości, sięgnął ku straszliwym

dniom nazistowskiej okupacji Rzymu. „Przyszli po księgarza” – pomyślał nagle i zerwał się z łóżka. Chciał biec do piwnicy, aby uprzedzić przyjaciela, który się tam krył. Potem otrzeźwiał. „To przecież 3 czerwca 1959 – pomyślał. – Gestapo już nie ma od piętnastu lat, a księgarz nie żyje”.

Podszedł więc do okna i otworzył okiennice. A gdy jasne promienie słońca wpadły do sypialni, zawrócił do łóżka, wziął ze stolika swój kieszonkowy zegarek i uważnie przyjrzał się wskazówkom. Była godzina 10.50.

Łomotanie w drzwi nie ustawało.

Przygryzł więc wąsy i spróbował się zastanowić. Nie, jak na obiad było dużo za wcześnie: a więc to nie obiadowi goście tak niecierpliwie szturmowali do drzwi słynnej „Trattorii Giovanniego”. Wszystkie rachunki miał popłacone, a zatem to nie natarczywy wierzyciel. Nie krzywdził sąsiadów, nie szukałby go więc żaden mściciel o tej porze.

„Może wybuchła trzecia wojna światowa, gdy spałem? – pomyślał. – Może przyjaciele z ulicy Skrybów przybiegli uprzedzić mnie o bliskim nalocie albo też sputnik lub inna rakieta kosmiczna wyrzucona przez signorę, Pandolfi wylądowała w pobliżu?”

Ściągnął nocną koszulę, wdział spodnie i szlafrok i znów podszedł do okna. Wyjrzał. „Jeżeli istotnie wojna wybuchła, to dziwna jest ta delegacja, która przyszła mnie o niej zawiadomić” – rzekł sobie.

Przed drzwiami trattorii stali trzej umundurowani policjanci i dwaj cywile, a w miarę jak się dobijali do drzwi, gromadził się coraz większy tłum.

„To jakaś idiotyczna pomyłka – myślał Giovanni. – Ulice w naszej dzielnicy są kręte i pogmatwane, łatwo w nich zabłądzić. Pewnie pomylili się w adresie.” Otworzył okno i wysunął głowę.

– Co to za hałasy? – wrzasnął.

Wyższy z policjantów przysłonił dłonią oczy przed blaskiem słońca i krzyknął spoglądając w górę:

– .Szukamy niejakiego Giovanniego Venturi. Czy zna go pan?

Giovanni cofnął się, szybko zamknął okno, zatrasnął okiennice i zdenerwowany, szybkimi krokami zaczął przemierzać pokój.

Łomotanie rozległo się z nową siłą. „O co tu chodzi? – zastanawiał się Giovanni. – Czy zapadł się strop tunelu, a wraz z nim podłoga w sklepie złotnika? A może kierownictwo restauracji URITI wykryło nareszcie szyb pod .windą? Czyżby głuchoniemy Edoardo coś naknocił w kuchni URITI?”

Kiedy jednak uprzytomnił sobie, że drzwi w końcu ustąpią pod naporem szturmujących, odważnie otulił się szlafrokiem, zszedł na dół, odryglował je i otworzył.

Trzej policjanci odstąpili z szacunkiem na bok, aby przepuścić dwóch cywilów, a potem też weszli do środka i zamknęli drzwi przed nosem tłumu zaintrygowanych i coś tam szepczących między sobą gapiów.

Wysoki policjant wylegitymował się jako inspektor policji kryminalnej i ostro spoglądając na Giovanniego powiedział:

– Poproszę o pański dowód.

Giovanni wyprostował się z godnością.

– Co to wszystko ma znaczyć? – zapytał oburzonym głosem. – Jestem lojalnym, ciężko pracującym i uczciwym obywatelem. Nie przywykłem do podobnych wizyt. Panowie nie macie prawa wdziierać się do mojej trattorii.

W końcu musiał jednak pójść na górę po dowód osobisty. Policjant obejrzał go uważnie i pokazał swoim towarzyszom, a gdy cała piątka porównała już fotografię na dowodzie z twarzą Giovanniego, drugi z policjantów mruknął: „Tak, to ten ptaszek. Bez wątpienia”.

– Pan jest właścicielem tej trattorii, o ile wiem, prawda? – zapytał wysoki policjant zwracając dowód Giovanniemu.

– Jeżeli panowie myślicie, że moje uprawnienia nie są w porządku, chętnie je panom pokażę.

Policjant zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie, nie po tośmy tu przyszli. Chodzi o coś dziwniejszego. – Dzień był upalny, zdjął więc czapkę i otarł czoło. – Może jednak usiądziemy.

Panowie w cywilnych ubraniach siedli przy jednym końcu największego stołu w jadalni, policjanci uplasowali się przy jego drugim końcu, a Giovanni ostrożni zajął miejsce między obiema grupkami.

– Może pan zacznie, profesorze? – z szacunkiem wiedział wysoki policjant.

Cywil nazwany profesorem – mężczyzna nieco przygarbiony, w grubych rogowych okularach – odchrząknął, położył teczkę przed sobą na stole i ostrożnie wydobyl z niej małą paczuszkę. Zawierała safianowe pudełeczko, które Giovanni poznał od pierwszego rzutu oka. Profesor otworzył je i wyjął złoty pierścień króla Clusium.

– Czy wolno zapytać – zaczął – czy pan już kiedyś widział ten pierścień, panie Venturi?

Giovanni ponuro skinął głową.

– Czy można wiedzieć, gdzie go pan widział?

– Należał do mnie – Giovanni wsparł łokcie na stole i pochylił się w przód. – Ale co pan ma z nim wspólnego?

– Pozwoli pan, że to my będziemy pytać – wtrącił się wysoki policjant i zajrzał do swego notesu. – A więc ustaliliśmy pańską tożsamość i dowiedzieliśmy się, że ten pierścień należał do pana. Następne pytanie brzmi: czy zna pan młodzieńca nazwiskiem Carlo Pediconi?

– Carlo? – nie było się już co wykręcać. – Tak, znam go.

– Czy dal mu pan ten pierścień?

– Tak, to był mój prezent ślubny.

Policjanci wymienili spojrzenia, a ten wysoki wpisał to oświadczenie do swego notesu.

– Od kiedy to dawanie ślubnych prezentów zostało prawnie

zabronione? – zapytał Giovanni.

Wysoki policjant zapalił papierosa i spojrzał na Giovanniego poprzez dym.

– Ten młodzieniec oznajmił, że dał mu pan pierścień do sprzedania.

– Co?! – wykrzyknął Giovanni własnym uszom nie wierząc.

Policjant przerzucił parę kartek w notesie.

– Mam tu jego zeznanie, przetelefonowane nam niespełna godzinę temu. Oświadczył, że wczoraj rano wziął ślub w kościele Santa Cecilia na Zatybrzu i że z tej okazji wydał dla zaproszonych gości przyjęcie w hotelu i w ich towarzystwie spędził kilka godzin. Zeznał dalej, że choć widział pana może dwa razy w życiu, to jednak zacepił go pan wczoraj mniej więcej koło godziny 16.00 pokazując mu ten oto pierścień. Zaproponował mu pan wtedy, aby go sprzedał, za co miał dostać prowizję w wysokości jednej trzeciej uzyskanej kwoty. O godzinie 17.00 wspomniany Carlo Pediconi – według jego zeznania – opuścił ze swoją małżonką hotel, i udał się na dworzec. Po drodze zajechał do znajomego lichwiarza i sprzedał mu pierścień za dwa miliony lirów. O 19.00 wsiadł do pociągu jadącego do Neapolu, do którego to miasta przybył w trzy godziny później. – Policjant spojrzał na Giovanniego sponad notesu. – Stał tam w wytwornym apartamencie jednego z najelegantszych hoteli, gdzie o godzinie 4.00 aresztowała go miejscowa policja. Przez jakiś czas zaprzeczał wszystkiemu, a potem się przyznał.

– Carlo naprawdę tak zeznał? – Giovanni nie mógł uwierzyć. Tępy spojrzeniem powiódł po twarzach ludzi siedzących przy stole. – To nie do wiary – wymamrotał oblizując spieczone wargi. Z ponurą miną potrząsnął głową. – Nigdy bym nie przypuszczał, że jest zdolny do takiej rzeczy.

Profesor skrzyżował ramiona na piersi i jeszcze bardziej się przygarbił. Przez grube szklę okularów badawczo przyglądał się Giovanniemu.

– Signor Venturi – rzekł – przyznał się pan do znajomości przedmiotu, o którym mowa. – Stuknął palcem w safianowe pudełeczko. – Czy pan wie, co to jest?

Musiał kilka razy powtórzyć pytanie, bo Giovanni przybity wiadomością, którą usłyszał z ust policjanta, siedział osowiały.

– Oczywiście, to etruski pierścień – odparł w końcu i westchnął. Tak, gra była skończona: gra fascynująca i rozkoszna. Poczul się niewypowiedzianie zmęczony. „Jeżeli Carlo nie powiedział jeszcze wszystkiego, to niebawem jednak powie – myślał. – Ale że też był tak gruboskórny? Jak mógł tak bezwstydnie zdradzić swego przyjaciela i dobroczyńcę?”

Tymczasem profesor przyglądał się Giovanniemu z rosnącym zainteresowaniem.

– A więc pan wiedział, co to jest? To znaczy, że orientował się pan w zawrotnej wartości pierścienia i mimo to nie zawahał się pan powierzyć delikatnej misji sprzedania go temu nieokrzesanemu pro-

stakowi?

– Ja mu podarowałem ten pierścień, a wiadomość, że go sprzedał, wstrząsnęła mną i zasmuciła – odparł Giovanni.

– No dobrze, ale skąd się ten pierścień wziął u pana? – po raz pierwszy odezwał się drugi cywil.

Giovanni spojrzał nań posepnie i odwrócił się. Potem spojrzał jeszcze raz: widział już kiedyś tę twarz. Ale gdzie? Zastanawiając się nad tym, zapomniał na chwilę o swoim bezpośrednim zmartwieniu. Czuł, że ogarnia go podniecenie.

– Przepraszam, ale. czy pan nie jest doktorem Alberto Musa? – zapytał impulsywnie.

Pytanie zaskoczyło zarówno policjantów jak i zapytanego. Nikły uśmiech zadowolenia prześliznął się po jego swoim obliczu. Tak, przyznał, istotnie jest doktorem Alberto Musa. Ale skąd Giovanni go zna?

Giovanni zaś zupełnie zapomniał o swoich troskach. Z zapalem potrzasał ręką doktora - wykrzykując przy tym:

– Cóż to za radość dla mnie! Cieszę się, że mam zaszczyt rozmawiać z autorem „Gli Etruschi e la loro civiltà”! Jakie to szczęście, że na obwolucie mojego egzemplarza było pańskie zdjęcie. Gdyby nie to, straciłbym tak wspaniałą okazję!

– Czytał pan moją książkę? – Najstłynniejszy z włoskich etruskologów z lekkim uśmiechem zmieszania wyprostował się na swoim krześle.

– Znam prawie wszystkie pańskie dzieła. Sześciotomowe studium „La topografia storica dell'Etruria” było może zbyt fachowe jak dla mnie, ale pańskie artykuły o grobach z Visentium są ozdobą mojej biblioteki.

– Hm! – zastanowił się słynny uczony. – Hm, hm. – Twarz mu się rozpromieniła. – Nie myślałem, że moje prace zainteresują... laika,

Giovanni wpadł w trans.

– Pańskie tłumaczenie napisu na wielkim nagrobku z Rusellae było mi bardzo pomocne przy studiowaniu języka etruskiego – mówił z ożywieniem. – Ale, jaka szkoda, że pańska praca „Ritmo della vita etrusca” jest całkowicie wyczerpana. Od dwóch lat daremnie staram się ją zdobyć.

– Dziś jeszcze przyślę panu jeden egzemplarz z moich własnych – oznajmił uczony, a jego oblicze zdradzało jak najlepszą wolę. – Ale zapomniałem o moim obowiązku – rzekł wstając. – Signor Venturi, pozwoli pan, że mu przedstawię profesora Nicolo Pamfredoni z Państwowego Urzędu Zabytków – i wskazał na sąsiada.

Profesor wstał również, niedbałym ruchem podał Giovanniemu rękę, mruknął coś niezrozumiałego i byłby znów usiadł, gdyby Giovanni nie przytrzymał mu dłoni w potężnym uścisku.

– Czyżby profesor Pamfredoni? – pytał jak w ekstazie. – Odkrywcą kopca w Falerii Novi? Miałbym szczęście uścisnąć rękę człowieka, który napisał to wspaniałe dzieło o urnie pokrywkowej?

Profesor nie próbował już uwolnić uwięzionej dłoni. Wolno odwrócił głowę i spojrzął na swojego zdumionego do głębi towarzysza. Potem znów odwrócił się do Giovanniego.

– Ależ to wprost niepojęte. Nie wiem, czy na całym świecie znajdzie się z pięćdziesięciu uczonych, którzy przeczytali to dzieło.

– Przeczytałem też uważnie pańską pracę na temat kultury z Villanova – ciągnął Giovanni – niestety jednak, nie mogę się zgodzić z pańskim poglądem, że...

Ale wysoki policjant, z osłupieniem przysłuchujący się tej rozmowie, stracił wreszcie cierpliwość..

– Basta! Stop! Dostyc tego! – wyjął chustkę z kieszeni i otarł czoło, po czym przepaszająco skłonił się dwóm uczonym. – Proszę mi wybaczyć – rzekł pokornie – zapomniałem się trochę. Może jednak panowie pozwolą mi kontynuować przesłuchanie.

Profesor Pamfredońi serdecznie ścisnął Giovanniego za ramię.

– Wrócimy jeszcze później do naszej dyskusji – siepnął. – Naprawdę, to zdumiewające. Nic nie rozumiem.

Policjant znów zajrzał do swego notesu, a później przeniósł nieufny wzrok na Giovanniego.

– Wspomniany młody człowiek sprzedał pierścień wczoraj o 17.30 lichwiarzowi nazwiskiem Archimide Festucci, zamieszkałemu na via Carlo Malfatti 17, który powiedział nam, że choć nie orientował się w prawdziwej wartości tego pierścienia, to jednak zdawał sobie sprawę, że jest to cenny antyk ze starego i czystego złota. Fakt,

że sprzedający od razu zgodził się na pierwszą ofiarowaną cenę, wzbudził w nim podejrzenie, zażądał więc formalnego pokwitowania. A potem zadzwonił do Komendy Policji, która powierzyła mi zbadanie tej sprawy. Przejrzałem kartotekę w ewidencji ludności i stwierdziłem, że ów młodzieniec pracuje tuż obok w restauracji URITI. Udałem się na miejsce i dowiedziałem się, że podejrzany osobnik już tam nie pracuje, przy czym zarówno kierownik restauracji, jak i jeden z kelnerów, stwierdzili, że wczoraj odbył się jego ślub. Bez trudu ustaliłem, w jakim to było kościele. Poszedłem więc do księdza, który mi powiedział, że młoda para zamierzała spędzić miodowy miesiąc w Neapolu. Wróciłem do swego biura, połączyłem się z Neapolem i kazałem roztoczyć obserwację nad hotelami i pensjonatami w tym mieście. Potem łatwo już było stwierdzić, dokąd zjechał ów młodzieniec. Początkowo – jak już wspomniałem – próbował wszystkiemu zaprzeczać, ale w końcu załamał się w ogniu krzyżowych pytań i wymienił pana jako swojego współnika – zawiesił ołówek nad otwartym notesem. – Czekam teraz na pańskie zeznania.

– Czemu miałbym je złożyć? – z ponurą miną zapytał Giovanni. – Pierścień jest moją własnością. Carlo dostał go ode mnie jako prezent ślubny. Bardzo mi przykro, że go sprzedał, ale nie mogę odpowiadać za jego czyny. Mówiłem już, że dawanie prezentów nie jest przestępstwem – to powiedziawszy skrzyżował ramiona.

– Nie – rzekł policjant – dawanie prezentów nie jest przestęp-

stwem. Jednakże i profesor, i doktor Musa stwierdzili, że pierścień jest cennym historycznym zabytkiem. Pan zresztą też przyznał, że wiedział o jego etruskim pochodzeniu. Czy nie tak? – uważnie obserwował zgnębioną minę Giovanniego, który odrzekł niechętnie:

– Tak, wiedziałem.

– Musi pan jednak także wiedzieć, że nasze prawo nakłada na każdego posiadacza podobnego, przedmiotu obowiązek zawiadomiania o tym Państwowego Urzędu Zabytków. Tak czy nie?

Giovanni zaczął się pocić.

– A zatem musi się pan przyznać do wykroczenia wobec prawa – policjant wyciągnął ku niemu wskazujący palec. – To już ustaliliśmy. Następne pytanie: skąd ma pan ten pierścień?

Giovanni milczał.

Policjant zauważył to milczenie. Jego kolega, który siedział z prawej strony, pochylił się i szepnął mu coś, czego tamten wysłuchał i skinął głową na znak zgody.

– Signor Venturi – rzekł surowo – czy ma pan jeszcze jakieś podobne relikty?

Giovanni żuł koniuszki wąsów i milczał.

– Pan chyba rozumie – odezwał się po chwili policjant – że jeżeli odmówi pan dalszych zeznań, będziemy musieli przeprowadzić rewizję. Niech się pan zastanowi nad konsekwencjami, jakie mogą wynikać z pańskiego uporu.

Giovanni myślał intensywnie. Lepki pot pokrył mu dłonie, gdy

wyobraził sobie, jak policjanci wchodzą na schody i otwierają drzwi do pokoju, w którym zgromadził swoje trofea z grobowca.

A kiedy profesor Pamfredoni delikatnie dotknął jego ramienia, drgnął odruchowo.

– Szczerze radzę panu powiedzieć, skąd wziął pan pierścień – łagodnie rzekł profesor.

– Sprawia pan wrażenie uczciwego człowieka – wtrącił się doktor Musa. – Jestem przekonany, że go pan nie ukradł, ale wobec pańskiego uporu, zeznania owego idiotycznego młodzieńca przemawiają przeciwko panu.

Giovanni poczuł, że ręce mu drżą. Tak, wszystko stracone. Gorący pot oblał mu ciało, ogarnęła go słabość, opuściła odwaga. Może jednak w chłodnej więziennej celi nie będzie tak źle?

– Wziąłem go z grobowca Larsa Porseny – rzekł.

Jeden z policjantów głośno wciągnął oddech, cywile wytrzeszczyli oczy. Wysoki policjant siedział zagapiony w Giovanniego.

– Przyznaje się pan do zabrania tego pierścionka z grobowca? – zapytał groźnie.

– Signor Venturi oczywiście żartuje – uśmiechnął się profesor.

– Lars Porsena w najlepszym razie był postacią na wpół legendarną. A nawet gdybyśmy przypuścili, że żył naprawdę – co jest rzeczą mocno wątpliwą – to i tak jego grób nie został odkryty.

– Ja też sądzę, że signor Venturi kpi sobie z nas – odezwał się drugi uczony. – Wie bowiem z pewnością, że etruskie ruiny w Clu-

sium zostały dokładnie zbadam i że nie wykryto tam grobu Larsa Porseny.

– W Clusium nie – zgodził się Giovanni. – Ale pan sobie chyba przypomina, że według rzymskiego historyka Siliusza Italikusa, króla pochowano na krańcach Rzymu. Co więcej, Stacjusz pisze, że etruskie wojsko starannie ukryło ów grób.

– Ależ drogi przyjacielu – zaproponował profesor – na słynnych wadimońskich tabliczkach, z co najmniej czwartego wieku p.n.e., nie znajdujemy żadnej wzmianki o istnieniu Larsa Porseny. Gdyby żył, czemu by o tym nie wspomniano?

– Istotnie – marszcząc brwi w zadumie wtrącił się doktor Musa. – Powinniśmy również wziąć pod uwagę, że Dionizy z Halikarnasu uważał...

– *Signori!* – z rozpaczą wykrzyknął wysoki policjant. – W ten sposób nawet za sto lat nie zakończymy śledztwa. – Z wyrzutem spojrzął na obu uczonych, otworzył notes i wlepił wzrok w Giovanniego.

– *Allora* – rzekł – a więc ten pierścień znalazł pan w grobowcu tego... jak się pisze to nazwisko?

Giovanni podyktował mu litera po literze.

– Zdaje sobie pan sprawę, panie Venturi – podjął policjant – że każde pańskie słowo będzie dokładnie zbadane przez policję. Jeśli się nie mylę, napytał pan sobie biedy. No więc, ten pierścień znalazł pan w grobie, o którym profesor i doktor Musa mówią, że nigdy nie

został odkryty?

– Tak, w grobowcu Larsa Porseny.

– Dlaczego złamał pan prawo i nie zameldował o tym rzekomym odkryciu?

– To był błąd – przyznał Giovanni.

– Wielki błąd. Z pewnością nie zabraknie panu czasu, by zań żałować. Gdzież jest ten grób, który pan miał odkryć?

Giovanni milczał.

– Jeżeli istotnie dokonał pan podobnego odkrycia – tonem łagodnej perswazji rzekł profesor Pamfredoni – to wdzięczność naszego urzędu będzie tak wielka, że z pewnością zdołamy nakłonić władze, aby przez palce spojrzwały na incydent z pierścieniem.

Ale Giovanni wciąż milczał.

Wysoki policjant zatrzasnął notes.

– Cóż, signor Venturi – rzekł szorstko – wobec takiej postawy, nie mamy wyboru. Muszę pana zabrać do Komendy Policji na dalsze przesłuchanie.

Otępiały Giovanni skłonił się bez słowa. Wstał i zgarbiony podreptał wraz z wszystkimi ku drzwiom: ale policjant go zatrzymał.

– Przecież nie pójdzie pan w szlafroku i spodniach! – rzekł. – Niech się pan ogoli i ubierze przyzwoicie. Radzę też zabrać walizkę z najniezbędniejszymi rzeczami. Kto wie, kiedy pan tu wróci: za parę dni czy za parę lat. – Polecił swemu koledze, aby poszedł z Giovannim na górę. – Tylko bez kawałów – dorzucił – już bez tego

wkopał się pan w ładną kabałę.

Wchodząc na schody z aniołem stróżem depczącym mu po piętach Giovanni uśmiechał się posępnie. Trudno było już o większy błąd. Zawierzył Carlo i został zdradzony. Ten nędznik z pewnością wyśpiewa niedługo wszystko. Powie o istnieniu tunelu i windy, a on, Giovanni, tak czy tak, uważany będzie za zwykłego przestępcę.

Gdy się golił i patrzył na swe żałosne odbicie w lustrze, policjant stał w łazience. Stał też na progu sypialni, gdy Giovanni się ubierał, a jego obecność budziła jeszcze bardziej ponure refleksje w zestawieniu z czarną żałobną opaską na szarym ubraniu, które wdział Giovanni.

– Niech się pan pośpieszy – rzekł policjant na widok apatycznych ruchów Giovanniego. – Musimy już iść.

Protesty na nic by się nie zdały. Giovanni wsunął więc chustkę do kieszeni i wziął ze stolika srebrny zegarek. Świetnie pamiętał ów poranek, kiedy przy upadku do grobowca pękła w nim sprężyna. Wskazówki na cyferblacie stały teraz na 12.35.

12.35!

Giovanni nagle zadrżał. O tej porze Miranda już mogła być w tunelu. A jeśli nie, to za parę minut zejdzie tam z mieszkania signory Pandolfi, aby ustawić półmiski na stole przy windzie, włączyć podgrzewacze, przygotować przyprawę i noże oraz przyszykować się do podawania obiadu.

„Nie wszyscy policjanci odejdą – myślał. – Przynajmniej jeden

zostanie z poleceniem przeszukania lokalu. Znajdzie zabytki w moim pokoju; zejdzcie do piwnicy i zastanowi się, po co to wąskie przejście między workami z tufem. Pójdzie dalej, odwali drzwi do tunelu, zejdzcie po stopniach i na końcu przekopu ujrzy Mirandę przy tej przekłętej windzie.”

Perlisty pot wystąpił mu na czoło. Widział już, co się stanie: aresztują Mirandę, wyciągną ją z tunelu. Brutalnie wyprowadzą na ulicę, gdzie tłum powita ją krzykiem i gwizdem. Będą z niej szydzić i obrzucać wyzwiskami. Policja ją znieważy. Jeśli ją wystawią popółstwu na pośmiewisko, może nawet posypią się na nią kamienie i grudy błota. Zostanie sama, bezradna, zdana na pastwę losu. Ona, taka szlachetna, rozmiłowana w życiu, pogodna i ufna, ruchliwa jak żywe srebro.

Gdy schodzili na dół, policjant trzymał Giovanniego za rękę, Giovanni zaś gorączkowo szukał jakiegoś wyjścia. Oczywiście mógł się wyrwać i zbiec do piwnicy. Ale nie, jego prześladowcy byli czujni: inny policjant stał przy schodach i blokował drogę.

– Zaraz, niech no pan poczeka – rzekł ten, który go eskortował.
– Inspektor mówił, że dobrze by było zabrać trochę rzeczy. Będą panu potrzebne w więzieniu. Chyba znajdzie się tu jakaś walizka?

Giovanni obojętnie skinął głową.

A gdy policjant ujął go za ramiona i obrócił mówiąc: „To niech ją pan spakuje, tylko migiem!” – bez protestu powłókł się na górę. I wtedy wpadł na pewien pomysł. Gęsia skórka wystąpiła mu na ciele.

Słaba to była nadzieja, ale kto wie? Prawie niepodobieństwo. A może jednak?

Serce waliło mu, kiedy odmykał i uchylał drzwi do bawialni. Na szczęście policjant usiadł na najwyższym stopniu schodów, a stamtąd nie było widać ani fresków, ani innych zabytków.

Giovanni wszedł do pokoju. Drżącymi palcami otworzył dużą szufladę biurka i wyciągnął na wierzch skórzaną teczkę, którą podarował mu księgarz. Prócz powiązanych w grube pliki dziesięciotyśięcznych banknotów, dla których jego zmarły przyjaciel nie znalazł za życia zastosowania, przechowywał w niej także własne oszczędności, swój paszport, nieco przezornie zakupionych obligacji oraz złoty etruski naszyjnik. Szybko przeglądał zawartość teczki i aby zmylić czujność policjanta, gwizdał. przy tym jakieś urywki popularnej piosenki. Nie był to popis, który zapewniłby nieśmiertelność jego nazwisku, ale policjant ani się poruszył, ani się odezwał.

Potem, zasunąwszy szufladę i zamknąwszy drzwi za sobą, przeszedł do przedpokoju i do sypialni, gdzie wrzucił do walizki parę sztuk bielizny. Policjant poszedł za nim do łazienki i z progu przyglądał się, jak zabiera szczotkę do zębów, mydło i brzytwę.

– Już? No, to chodźmy – rzekł.

Giovanni skinieniem głowy wyraził zgodę. Spojrzał na zegarek. Była 12.43.

Policjant znów ujął go pod ramię, gdy schodzili na dół. Jego kolega nadal stał u stóp schodów, a wysoki inspektor czekał przy

drzwiach sprężony do skoku na wypadek, gdyby aresztowany próbował uciekać.

Przy schodach przylegających do kuchni Giovanni przystanął i melancholijnie rozejrzał się po jadalni. Postawił walizczkę na podłodze i podszedł do wysokiego policjanta. Potem odwrócił się i wzrokiem zaapelował o pomoc do dwóch uczonych.

– Pójdę – głos mu się łamał ze wzruszenia. – Pójdę, oczywiście, ale proszę, pozwólcie mi panowie powiedzieć przedtem parę słów. – Z rozczuleniem pogładził palcem blat jednego ze starych stolików. – Wiem, że postąpiłem, źle, signori. Nie mam do was żalu. Spełniacie swój obowiązek. Racja jest po waszej stronie. Ale zrozumcie, proszę, mój ból, że muszę opuścić miejsce, które przez trzydzieści lat było mi domem: opuścić ze świadomością, że może nigdy tu już nie wrócę. – Błagalnie spoglądał wszystkim w oczy. – Czy pozwolicie mi więc, panowie, abym na chwilę usiadł i popatrzył na butelkę wina na stoliku w trattorii, którą tyle lat temu otworzyłem? – westchnął ciężko i spuścił głowę. – Z tym pokojem łączy się wiele niezapomnianych dla mnie przeżyć. Więcej, niż potrafiłbym panom opowiedzieć. Byłbym niezmiernie wdzięczny, gdybyście mi ofiarowali tę jedną chwilę dla rozmyślań i wspomnień.

Wysoki policjant spojrzał nań nieufnie.

– To byłoby niezgodne z regulaminem. Ale prawdę mówiąc, wszystko w tej sprawie jest niezgodne z regulaminem.

Giovanni zwrócił się wprost do niego:

– Na dworze jest upał, a tu panuje przyjemny chłód. Co za różnica, czy pójdziemy do Komendy zaraz, czy za kwadrans? Pan i pańscy ludzie zrobicie mi wielką przyjemność wypijając ze mną szklanczkę wina, może dla mnie ostatnią.

- Signor Venturi nie jest zwykłym zbrodniarzem – zabrał głos profesor. – Nie może go pan traktować jak kryminalistę. Nie wydaje mi się, aby jego prośba mogła budzić jakieś zastrzeżenia, toteż uważam, że powinien się pan na nią zgodzić.

– Dobrze – rzekł policjant – skoro pan tak mówi.

– Poza tym – profesor zwrócił się do swego uczonego kolegi – ciekaw jestem usłyszeć zdanie pana Venturi na temat prawnego znaczenia corocznych zgromadzeń Etruskiej Konfederacji w świątyni bóstwa Voltumna.

Giovanni przeszedł przez kuchnię i otworzył drzwi do piwnicy. Pilnujący go policjant oczywiście poszedł za nim.

– Co to jest? – zapytał wskazując na setki pękatych worków spiętrzonych aż pod sufit. – Pierwszy raz widzę coś podobnego.

Nie mogąc doczekać się odpowiedzi powtórzył głośniejszym głosem:

– Hej, panie! Co znaczą te worki?

Giovanni na chwilę stracił kontenans. Pochylił się nad skrzynką z winem stojącą pod schodami i na razie nie mógł wpaść na żadną odpowiedź. Wybrał więc jedną butelkę i wciąż milcząc podszedł do policjanta czekającego nań u stóp schodów. Gorączkowo usiłował przy tym przypomnieć sobie radę, którą signora Pandolfi dała mu na

podobny wypadek.

– Pytam, co to znaczy? Coś pan, głuchy? – dopytywał się policjant i raz jeszcze wskazał na worki, które wypełniały piwnicę wszereż i wżwyż, tak że pozostawało między nimi tylko wąskie przejście. – Co to znaczy?

Giovanni nagle odetchnął z ulgą. Przypomnił sobie!

– Ach, te worki? To przecież mój schron przeciwlotniczy – rzekł. – Nastraszyły mnie ciągle gadania o wojnie atomowej.

Policjant pomacał jeden z worków i ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Słusznie – rzekł. – Czasy są niepewne. Może i ja powinienem pomyśleć o czymś takim w mojej piwnicy – i zaczął wchodzić po schodach.

Giovanni poszedł za nim, zamknął piwnicę i schował klucz do kieszeni. Potem wyjął tacę z kredensu, ustawił na niej butelkę z winem, sześć szklaneczek i zaniósł to wszystko do jadalni.

Twarze uczonych i policjantów rozjaśniły się na widok butelki szampana Veuve Cliquot.

– Ale czy to nie przesada? – mruknął profesor.

– Och, nie – ze skruszoną miną odparł Giovanni. – Cóż, to z pewnością ostatnia butelka, jaką otwieram w mojej trattorii – i usunąwszy drut i kapsel zaczął mocować się z grubym korkiem, który dość łatwo, powoli wysuwał się z szyjki. „O, do licha” – pomyślał i nacisnąwszy mocniej ułamał mu łebek.

– A to idiota ze mnie! – zawołał pokazując ukruszony kawałek w rozdygotanej ręce. – Przepraszam, zaraz przyniosę korkociąg.

Siedzący przy stole nawet się nie poruszyli. Wysoki inspektor czytał etykietę na butelce, a policjant pilnujący Giovanniego nie zadał sobie trudu, żeby pójść za nim do kuchni. Zatrzymał się w pół drogi i wrócił na swoje miejsce przy stole, gdy Giovanni wyłonił się z drzwi z korkociągiem w ręku. Obejrzał się jednak, a siedzący przy stole unieśli głowy, kiedy Giovanni przystanął na progu i zawołał:

– *Senti!* Panie! *Fai il cameriere!* Niech pan odkorkuje butelkę! – i wysokim łukiem cisnął mu korkociąg.

Spojrzał wówczas w górę i wyciągnął rękę ku lecącemu korkociągowi. W tym momencie Giovanni schylił się, błyskawicznie pochwycił skórzaną teczkę, przemknął przez kuchnię, zbiegł dwa stopnie w dół, zatrzasnął za sobą drzwi, zaryglował je i przekręcił klucz w zamku.

Przez chwilę w jadalni panowała głucha cisza, ale wkrótce rozbrzmiała ona wzburzonymi głosami. Drzwi do piwnicy zatrzęsły się od gwałtownych uderzeń.

Giovanni zbiegł ze schodów, wpadł w wąski korytarz, zatrzymał się jednak po paru krokach i cisnął wszy teczkę w stronę wejścia do tunelu, zawrócił ku schodom wiodącym do kuchni. Tu sięgnął wysoko nad głowę i nateżając mięśnie zaczął ściągać pękaty, ciężki wór, który leżał na samym szczycie prawego stosu. Początkowo nie mógł dać sobie rady, ale po chwili worek drgnął, przechylił się i

spadł tarasując korytarz. Dwa inne pod nim zachwiały się, runęły i pękły wysypując swoją zawartość. Chmura kurzu podniosła się z ziemi.

Giovanni nie tracił czasu. Odchrząknął, odwrócił się, znów szarpnął za najwyższy worek w lewym stosie i ledwie zdążył odskoczyć w tył przed lawiną kamieni i pyłu.

Gęsty kurz pokrył mu szeroką twarz, dyszał ciężko z wysiłku. Ale nie dbał o to: cofał się ściągając w dół ciężkie wory. Setki kilogramów kamieni, które zwały się w korytarz, utworzyły zapórę sięgającą mu powyżej głowy. Czarna chmura kurzu wypełniła ciasną przestrzeń pomiędzy nią i pułapem piwnicy.

Tymczasem drzwi ustąpiły pod naporem policjantów, którzy zbiegli na dół. Giovanniemu zdawało się, że poprzez huk spadających kamieni słyszy ich krzyki i przekleństwa. W panice zdwoił i potroił wysiłek.

Cofał się krok za krokiem przy łoskocie spadających worków, który wstrząsał fundamentami domu. Co chwila sięgał w górę i ściągał kilka worków; i znów kilka, i znów kilka.

Wreszcie przystanął przy końcu korytarza i jał nasłuchiwać. Tysiące kilogramów kamieni oddzielało go teraz od schodów piwnicy. A worki poruszone z miejsca wciąż spadały: mógł słyszeć, jak pękały w zetknięciu z pokrywającymi ziemię chropowatymi wapiakami i wysypywały swoją zawartość. Policjanci w drugim końcu piwnicy z trudem łapali oddech. On sam nic nie widział poprzez du-

szący, gęsty, szary pył.

Usunął worki zagradzające wejście do tunelu. Pochylił się, namacał teczkę i otworzył drzwi.

Gdzieś daleko wysoki policjant zduszonym głosem wykrzykiwał rozkazy: „Czekać, aż kurz opadnie... nie wydostanie się... wpadł w pułapkę!...”

Giovanni odwrócił się i zszedł do tunelu. Oparł się o ścianę, chustką otarł czoło i ręce. A kiedy krew przestała pulsować mu w skroniach, kiedy zaczął spokojniej oddychać – z powrotem wszedł po schodach i nadstawił ucha. W piwnicy było cicho, tylko czasem rozlegał się pojedynczy łoskot spadającego i pękającego worka. Nikt go nie gonił. Nie można go było gonić nie utorowawszy sobie drogi poprzez zwały kamieni. Zamknął więc drzwi i wrócił do tunelu.

Był w strachu, podniecenie nie ustępowało. Drżał na całym ciele. Nie uspokoił się nawet wtedy, gdy podszedł do Mirandy, która stała przy podgrzewaczu w drugim końcu tunelu. Ale kiedy ujrzał jej twarz, którą tak gorąco ukochał i zapamiętał w każdym szczególe, poczuł w sercu wielką radość i ogromną wdzięczność dla losu. Powściągliwość, którą sobie od roku nakazywał, nagle ustąpiła. Spojrzał na Mirandę i nie hamowane już niczym słowa instynktownie popłynęły mu z ust:

– Och, najdroższa moja. Jesteś, nic ci się nie stało. Przysięgam, że cię obronię!

Objął ją ramieniem, a ona mocno się do niego przytuliła. Ukrył

twarz w jej miękkich włosach, czołem dotknął gładkiego policzka, usłyszał bicie najprzód własnego, a po chwili i jej serca.

Aż nagle zdał sobie sprawę ze swego postępu. Zarumienił się. Puścił Mirandę i schylił się po teczkę.

– Policja przyszła – rzekł szybko, odwracając głowę. – Carlo nas zdradził. Jeszcze nie wiedzą o tunelu, ale niebawem go znajdą. Odkryją otwór do mieszkania signory Pandolfi; musisz uciekać!

Zamilkł na chwilę, a w jego ręku iskrzył się i mienił kosztowny naszyjnik.

– W tej teczce jest moc pieniędzy – rzekł. – Nie zaznasz biedy. Z pewnością minie też parę dni, zanim policja przekopie się przez rumowisko w mojej piwnicy. Zdążysz uciec, dokąd zechcesz. – Uniósł trzymany klejnot i zapiął go na szyi Mirandy. Złote misterne ogniwa precudnie załśniły na jej gładkiej skórze. Giovanni cofnął się o krok i z uśmiechem patrzył na zdumioną twarzyczkę dziewczyny, która oszołomiona i zaskoczona dotykała palcami, cennego naszyjnika.

– Mam go już od roku – powiedział – i od pierwszej chwili, od tej najpierwszej, pragnąłem ci go dać. Bałem się jednak, abyś mnie źle nie zrozumiała. Ale teraz, kiedy musimy się rozstać, to już nie ma znaczenia.

Otworzył teczkę i wyjmując z niej pliki banknotów układał je na stole. Nie patrzył przy tym na Mirandę. Był skrupowany tym, co przed chwilą zrobił i powiedział. Przygryzł wargi; co ona sobie o

nim pomyśli?

Usłyszał jej śmiech i podniósł wzrok.

– Ty kochany głuptasie – mówiła Miranda. – Czy nie rozumiesz, że nigdzie nie pojedę bez ciebie? Jeżeli w ogóle mamy uciekać, to razem. – Ujęła jego głowę w swoje dłonie. – Nie mów nic – czule ciągnęła dalej. – Nie myśl o tym, co dla mnie będzie lepiej. Po prostu stój tak przy mnie.

Giovanni nie mógł sobie potem przypomnieć, czy trwało to godzinę, minutę, czy pół życia, kiedy przytuleni do siebie, nieświadomi ani miejsca, ani czasu, zajęci tylko pieszczotami, szeptali sobie do ucha odwieczne zaklęcia miłosne i przysięgi dozgonnej wierności.

– W głowie mi się kręci. Nie wiem, co się ze mną dzieje.

– Och, moje ty kochanie!

– Całuj mnie jeszcze.

– Niczego więcej nie pragnę.

– Bądźmy rozsądni. Musimy przecież coś przedsięwziąć. – Wciąż trzymając się za ręce spojrzeli oboje w głąb długiego, jasno oświetlonego tunelu. Panowała w nim cisza, cicho też było w odległej piwnicy.

– Uciekniemy stąd daleko – rzekł Giovanni rozmarzonym głosem. – Włochy nie są dla nas bezpiecznym miejscem. Czy masz jeszcze swój zagraniczny paszport?

Miranda skinęła głową. Jej szare oczy błyszczały z podniecenia.

– Tak – powiedziała.

Szybkim krokiem poszli w dół tunelu, pod sklepem złotnika i zieleniarza i wdrapali się po drabinie do mieszkania signory Pandolfi. A kiedy Miranda szukała swego paszportu, Giovanni stał przy oknie, na schodach wiodących na górę, i ostrożnie uchyliwszy okiennicy obserwował ulicę.

Była prawie całkiem zablokowana samochodami i tłumem podnieconych gapiów. Przed wejściem do trattorii stały trzy wozy policyjne. Wokół nich aż kotłowało się od okolicznych kupców, służących i ciekawskich przechodniów.

Udręczony i stojący w pełnym słońcu policjant nie wyjmował gwizdka z ust i próbował jedną ręką regulować ruch, a drugą odpychać napierający tłum. Obaj uczeni trzymali się nieco na boku od tego zbiegowiska i potrząsając co chwila głowami dyskutowali o czymś beznamiętnie.

– *Ma cosa succede?* Co się stało? – krzyknął ktoś.

– Giovanni Venturi zabarykadował się w piwnicy!

– *Cosa?*

– Bo policja przyszła po niego.

Giovanni drgnął na dźwięk swego nazwiska i szybko przytknął okiennicę. Przygryzł koniuszki wąsów i spróbował zebrać myśli. Nadbiegła Miranda. Otworzyła teczkę i wetknęła do środka swój paszport i jakąś pękatą paczkę.

– Masz tu jeszcze trochę dodatkowej forsy do twoich zapasów

– powiedziała. – Zostawiła mi ją signora Pandolfi. Uważa, że pieniądze to najlepsza gwarancja szczęścia dla dziewczyny.

Giovanni objął ją i przycisnął do piersi. Całował jej czoło, policzki, usta. W końcu wziął ją za ramię i leciutko odsunął od siebie.

– Nie ma mowy, abym zdołał się wymknąć – powiedział. – Wyjrzyj przez okno. Czekają na mnie. Kochanie, musisz uciekać sama.

Miranda uchyliła okiennicy i spojrzała w dół.

– Rozejdą się wszyscy za godzinę lub dwie. Jeszcze przed nocą ulica się opróżni i wtedy wyjdziemy – próbowała go przekonać.

– Nie – odparł Giovanni – trattoria nabrała już zbyt dużego rozgłosu. Przyjdą ciekawi turyści, aby zobaczyć, co się stało. Sąsiedzi w dzień i w nocy będą czatować na moment, kiedy policja wyciągnie mnie z piwnicy. A policja za parę dni odgrzebie zwały kamieni i odkryje tunel. – Pocałował ją, westchnął i stanowczo, choć ze smutnym uśmiechem na ustach, spojrzał jej w oczy. – Musisz już uciekać. Możesz wyjść frontowymi drzwiami. Nie zwrócisz niczyjej uwagi. Ciebie nie podejrzewają.

– Nigdy w życiu cię nie opuszczę – odparła głosem drżącym z podniecenia i objęła go mocno. – Jeżeli nie możemy uciec razem, pozostanę z tobą.

– Jeśli mnie kochasz, uciekniesz. Za cztery, pięć dni wykryją, że mnie nie ma w piwnicy. Zawiadomią wtedy wszystkie punkty graniczne. Dowiedzą się też, że i ty jesteś w to wszystko wmieszana:

znajdziesz się na listach gończych. Teraz możesz jeszcze uciec i nikt nigdy cię nie złapie. Możesz wyjechać gdzieś daleko za granicę i żyć bezpiecznie. Jeżeli mnie naprawdę kochasz, mój skarbie, weź tę teczkę i odejź nie oglądając się za siebie. Idź, błagam cię, idź. – Rozplótł ramiona, którymi go obejmowała, i spojrzał na nią surowo. A kiedy nawet się nie poruszyła i tylko znów go objęła z lekkim uśmiechem, wyjął zegarek z kieszeni. – Jest teraz 1.25 – rzekł. – Jeżeli nie wyjdiesz do 1.27, to ja...

Nie dokończył zdania, bowiem nowy pomysł przyszedł mu do głowy.

Godzina 1.25.

Edoardo, kuzyn księgarza, silny jak byk i niezmordowany, jak muł, Edoardo potężny w barach i z mięśniami niby powrozy, w tej właśnie chwili ciągnął za liny windy w restauracji URITI.

Giovanni chwycił Mirandę za rękę. Zbiegli na dół, do piwnicy mieszkania signory Pandolffi, i po drabinie zeszli do tunelu. – Tu przystanęli nasłuchując: było zupełnie cicho.

Giovanni na moment odszedł, w bok i, przechyliwszy się przez żelazną balustradę wokół marmurowej kopuły grobowca, spojrzał w dół na kamienne, niewzruszone oblicze wojownika.

– Cześć – rzekł podnosząc rękę w pożegnalnym ukłonie. – Do zobaczenia.

Wrócił do Mirandy i oboje pobiegli w stronę windy. Tu Giovanni trzy razy pociągnął za sznur. A gdy nie odpowiedziano mu

na ten sygnał, gorączkowo powtórzył go raz jeszcze.

Wtedy, o cztery metry wyżej, Edoardo zdjął drewnianą pokrywę: elektryczne światło z kuchni URITI padło na szare ściany szybu.

Giovanni chwycił bloczek i nakreślił polecenie: „Ześlij windę. Na nowy sygnał ciągnij jak sto diabłów” i przymocował je do liny.

Biały skrawek papieru popłynął w górę. Po krótkiej przerwie liny znów zadrgały: winda powoli zjeżdżała w dół.

Gdy już opuściła się na dno szybu, Giovanni zręcznie wszedł na nią. Miranda przyciskając teczkę do piersi przykucnęła u jego nóg.

Uśmiechnąwszy się, jakby chciał jej dodać odwagi, Giovanni po raz ostatni tęsknie spojrział w głąb tunelu i nie zdradzając wahania, trzy razy pociągnął za linę.

Winda poderwała się raptownie, na sekundę zawisła w powietrzu, zachwiała się i opadła.

Z otworu nad nimi wyrzało zdumione oblicze Edoardo. Giovanni potrząsnął pięścią i palcem wskazał w górę. Kiedy zaś głuchoniemy siłacz wciąż nie mógł go zrozumieć i tylko wytrzeszczał oczy, rzucił mu gniewne spojrzenie, znów trzy razy pociągnął za sznur i wskazał w górę. Wtedy Edoardo kiwnął głową i splunął w dłoń. Jego oblicze znikło z otworu.

Liny zadrgały; winda szybko poszła w górę. Giovanni przy-mrużył oczy na widok przesuwających się obok szarych wilgotnych ścian. A potem nagle znalazł się twarzą w twarz z Edoardo: olbrzym

patrzył nań szeroko rozwartymi oczami mięśnie na jego ramionach napięły się, pot pokrył, mu dłonie.

Za jego plecami widać było kucharzy krzątających się przy piecach. Kilku kuchcików biegało tu i tam z półmiskami w ręku, pomywacze stali przy zlewach pełnych naczyń.

Giovanni znów uniósł wskazujący palec i wymownie spojrzął w oczy młodemu olbrzymowi, a ten przesunął potężną dłoń w górę liny, uchwycił ją i z całej mocy ją ciągnąć w dół. Winda drgnęła i uniosła się.

Ale nawet dla herkulesowych mięśni tego olbrzyma zadanie było trudne, toteż szła w górę zrywami, lecz mimo to w trzydzieści sekund później i o parę metrów wyżej Giovanni i Miranda wyłonili się w restauracji URITI.

Miranda wychyliła się z szybu i postawiwszy teczkę na podłodze jadalni, zwinnie wyskoczyła z windy, a za nią Giovanni.

Lękał się złego przyjęcia; zdawało mu się, że groźny, niesympatyczny kierownik będzie stał u wylotu windy i zauważy ich przybycie.

Ale nic podobnego.

Giovanni doświadczonej okiem objął całą scenę, jaka się przed nim otwierała. Był upalny, słoneczny dzień; o tej obiadowej porze na placu przy stolikach pod parasolami nie było ani jednego wolnego miejsca. Z pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu gości siedziało przed frontem wielkiej restauracji; tu było trochę chłodniej i lekki

wietrzyk poruszał nawet obrusami okrywającymi stoliki. Natomiast miejsca w tyle restauracji, w pobliżu windy, były wolne. „Rzecz zrozumiała – pomyślał – godzina jest wczesna, a wielu mieszkańców Rzymu je obiad dopiero po drugiej”. Zaskoczyło go jednak to, że nigdzie nie mógł dostrzec ani kierowników, ani kelnerów. Niektórzy goście wyraźnie okazywali nawet niezadowolenie z tego powodu; paru, stukając łyżeczkami w szklanki, usiłowało przywołać obsługę.

Poprawił więc węzeł krawata, podniósł teczkę, mocną dłonią ujął Mirandę pod łokieć i ruszył ku wyjściu.

Już w drzwiach zetknęli się z dwoma kelnerami w białych bluzach, ale żaden nie zwrócił uwagi ani na nich, ani na denerwujących się gości; byli podnieceni i najwidoczniej rozbawieni. Rozprawiali o czymś z ożywieniem, śmieli się i pokazywali w stronę ulicy. Zatarasowali jednak wyjście.

Zbiegowie musieli więc przystanąć.

– *Permesso?* Czy można przejść? – uprzejmie zapytał Giovanni.

– *E proprio cosi!* – jeden z tych kelnerów z zapalem informował drugiego, ale obaj zignorowali postawione im grzeczne pytanie.

– Podobno skradł kosztowności i chciał je opylić. Policja sądzi, że od lat się tym trudnił. Nic dziwnego, że mógł się tak długo utrzymać.

– *Permesso?*

– Zawsze mówiłem, że to podejrzany ptaszek – rzekł drugi kelner. – Dlaczego wydawał tylko dwadzieścia siedem obiadów

dziennie? Przecież to nie miało sensu. W ten sposób nikt jeszcze pieniędzy nie zrobił! Trattoria była tylko przykrywką; może prowadził ukryty dom gry albo uprawiał paserstwo? A może miał tam dom schadzek? To desperat, zdolny był do wszystkiego!

Jeden z kelnerów nie przerywając rozmowy machinalnie odsunął się i obojętnym wzrokiem spojrzął na Giovanniego, który wraz z Mirandą przekroczył próg i wyszedł na ulicę zalaną jasnym, czerwonym słońcem.

Ich wyjście nie zwróciło uwagi ludzi siedzących przy stolikach na placu, bo gdy jedni starali się przywołać kelnerów, drudzy, osłoniwszy dłonią oczy, patrzyli w kierunku trattorii. Niektórzy jednak byli bardziej czynni; zaciekawieni tym, co się dzieje, poszli na róg, gdzie o dziesięć metrów dalej zebrała się cała starszyzna restauracji wraz z kelnerami. Mówili jeden przez drugiego, z podnieceniem na swój sposób interpretując niezwykle wydarzenie na tej spokojnej zresztą ulicy. Jeden z kierowników coś wykrzykiwał piskliwie, drugi, ująwszy się pod boki, aż się pochylił w przód z uciechy. Inni uśmiechali się radośnie na widok licznych samochodów policyjnych zaparkowanych nieco dalej. Czterdzieści klaksonów ryczało rozpaczliwie, a ze dwa tysiące gestykujących rąk gorączkowo poruszało się w powietrzu, gdy każdy z tysiąca Włochów próbował zdobyć dla siebie jak najlepszy punkt obserwacyjny przed, trattorią; w tym tłumie i gwarze nie słysząc już było policjanta regulującego ruch i nikt zresztą nie zwracał na niego najmniejszej uwagi.

Giovanni nagle pochwycił Mirandę za rękę, popchnął ją w stronę wolnego stolika, porwał jadłospis i zasłoniwszy sobie twarz, udał, że czyta.

Poprzez tłum blokujący ulicę przedzierał się ku nim wysoki inspektor z oficerem policji! Żywo nad czymś dyskutując spieszonym krokiem weszli na plac. Przystanęli na chodniku obok stolików przed wejściem do restauracji i obejrzelisię za siebie. Chcieli z perspektywy objąć cały widok. Giovanniemu na zawsze utkwiły w pamięci ich spokojne, rzeczowe głosy. Sponad jadłospisu spojrział na mówiących i znów schylił głowę. Inspektor i jego przełożony obserwowali zbiegowisko i powstały zator.

– Stąd będzie pan lepiej wszystko widzieć, poruczniku – rzekł inspektor. – Myślę, że kiedy nasi ludzie przybędą, postawimy dwóch tam na rogu, a trzech na początku ulicy. W pięć minut powinni uporać się z tym bałaganem.

– Dobrze – grubym basem zahuczał porucznik. – Pierwsza rzecz, to rozproszyc tłum i przepuścić samochody. Niech ci ludzie nareszcie rozejdą się do swoich zajęć. *Capito?* Zrozumiał pan?

– Tak jest, panie poruczniku.

– A jeśli chodzi o tego idiotę w piwnicy, to siedzi w pułapce. Wcześniej czy później musi wyjść po żarcie i wodę. Bóg wie, kiedy ten piekielny kurz opadnie. Moglibyśmy wprawdzie użyć gazu łzawiącego, ale gotów się zmieszać z kurzem i zadusić naszych ludzi. Niech więc ten frajer siedzi i łyka kurz; nawet gdyby to miało po-

trwać tydzień. Mamy czas, będziemy czekać. Niech tylko jeden z naszych ludzi stanie na górze schodów, żeby go aresztował, kiedy wreszcie wylezie. *Capito?*

– Tak jest, panie poruczniku.

– Głupia sprawa – huczał bas. – O, nadjeżdżają posiłki. Chodźmy wydać rozkazy.

Giovanni znów zerknął sponad jadłospisu. Policjant i inspektor szli w stronę policyjnego samochodu, który zatrzymał się w miejscu, gdzie rozfalowany tłum zagroził przejazd.

Uśmiechnął się i rzekł:

– Chodźmy. Teraz albo nigdy – ujął rękę Mirandy w swoje dłonie. Wargi miał spieczone, nerwy napięte do ostatnich granic, oddychał z trudem, ale śmiało; przewyciężył słabość. – Idziemy razem przez plac – powiedział.

Odłożył jadłospis, wziął teczkę stojącą przy krześle, wstał i podał ramię Mirandzie.

Słońce nieznośnie paliło mu głowę, kamienie piekły stopy. Nie rozglądając się na boki ruszyli w poprzek placu. Po jednej stronie minęli dwóch pasterzy pędzących wielkie stado niesfornych owiec, kilka obładowanych zakupami gospodyń, którym wcale nie było spieszno do domu, oraz paru żebrzących franciszkanów w brunatnych habitach, a po drugiej – dwóch wieśniaków wracających wozami z targu oraz grupkę zagadanych z sobą kupców, którzy stali na środku placu przy fontannie.

Pot spływał Giovanniemu na oczy. W gardle mu zaschło, ale szedł jak automat. Bał się, że lada chwila zatrzyma go rozkazujący okrzyk, a może nawet kula kłaśnie o bruk. Czy ktoś ich obserwuje na tym zalanym słońcem placu? Z pewnością już czyjś palec wskazuje na jego kark. Niewątpliwie zauważono ich pospieszne wyjście z restauracji URITI. Przełknął ślinę i, mocniej przycisnąwszy ramię Mirandy do swego boku, oblizwał spieczone wargi.

Ale nikt nie krzyknął. Nie padł żaden strzał. Upalne słońce piekło jego rozgorączkowane ciało. Kamienie bruku paliły coraz mocniej, a plac przed nimi zdawał się nie mieć końca.

Aż wreszcie przeszli go i zanurzyli się w chłodnym cieniu bocznej uliczki. Oparli się o mur, by złapać oddech. Giovanni objął Mirandę ramieniem i oboje odwrócili się, by spojrzeć za siebie.

Dziki harmider na ulicy Skrybów jeszcze nie ucichł. Kelnerzy z restauracji URITI wciąż łokciami torowali sobie drogę, chcąc dotrzeć w pobliże trattorii, klaksony ryczały, policjant bez przerwy dął w gwizdek, rozgardiasz trwał w najlepsze.

Na placu panowało szalone podniecenie. Wieśniacy podjechali pod sam wylot ulicy i próbowali przedostać się przez tłum, gospodynie zginęły w skłębionej gromadzie rozkrzyczanych ludzi, franciszkanie stali obok wysokiego inspektora i kiwając głowami słuchali jego wyjaśnień, trzej kupcy weszli na któryś ze stolików i – odwróceniem tyłem do placu – spoglądali w ulicę, a dwaj pasterze porzucili swoje stado i dołączyli się do zbiegowiska. Owce rozbiegły się mię-

dzy restauracyjnymi stolikami. Otoczyły mnichów i wysokiego policjanta i do reszty zablokowały ruch uliczny: ich żałosne beczenie dołączyło się do ogólnego rozgwaru.

W centrum miasta Giovanni i Miranda wysiedli z taksówki i poszli szerokim bulwarem. Nie spieszyli się: oglądali po drodze wystawy, uśmiechali się do przechodniów i z radością patrzyli na błękitne niebo. Przystawali też raz po raz, by spojrzeć na siebie i z uśmiechem zetknąć dłonie.

Doszli na Piazza Esedra i z prawdziwą przyjemnością patrzyli na kruszejące termy Dioklecjana które dominowały nad nim, na wspaniałe wysokie cyprysy, rosnące na ruinach i wokół nich, na lśniące bryzgi wody nad dużą fontanną na samym środku placu i na fasadę kościoła Michała Anioła.

Przeszli pod arkadami i usiedli przy stoliku jednej z licznych tu kawiarni. Czekając na zamówioną kawę, Giovanni palił cygaro i rozmyślał leniwie. Teraz już czas nie nagli, niebezpieczeństwo na razie minęło: pójdą może na dworzec i kupią bilety do Londynu, do Kairu lub do Aten. Obojętne dokąd; są przecież razem.

Kiedy tak siedział i obracał cygaro w swych krótkich, grubych palcach, wzrok jego padł na trzy barwne afisze w oknie biura podróży obok kawiarni. Pierwszy z nich przedstawiał mężczyznę, który wygodnie rozparł się w fotelu wspaniałego samolotu, podczas gdy stewardessa o ponętym biuście stawiała przed nim wystawny obiad,

drugi ukazywał bezbrzeżne, oślepiająco błękitne morze, biały piasek, zielone wzgórza i drapacze chmur, na trzecim widać było wielki, wspaniały port. A nad tymi afiszami wisiał olbrzymi zapraszający napis: „Dziś jeszcze leć do Rio de Janeiro!” Giovanni z głębokim namysłem przyglądał się tym afiszom.

– Byłaś kiedy w Rio de Janeiro? – zapytał wreszcie.

– Nie – odparła Miranda.

– Wygląda zachęcająco – rzekł.

Zapłacił za kawę, wziął teczkę i weszli do biura podróży.

– Chcielibyśmy dziś jeszcze polecieć do Rio de Janeiro – rzekł Giovanni.

– Dziś? – zapytała zdumiona dziewczyna zza kontuaru.

– Jak najszybciej.

Była tak zaskoczona, że musiał jej przyjść z pomocą młody urzędnik, bardziej bystry, który szybko przejrzał wielką, czarną księgę.

– Samolot linii SAS odlatuje o szóstej – rzekł. – Zadzwoń do nich, może jeszcze mają dwa wolne miejsca.

Dziewczyna podniosła słuchawkę, nakręciła numer, zaczekała, w krótkich słowach powiedziała, o co chodzi,

I znów czekała. Jej spojrzenie nabrało uwagi; skinęła głową ku Giovanniemu: tak, mają dwa miejsca na samolot o szóstej. Wysłuchała czegoś jeszcze, zacisnęła usta i znów spojrzała na Giovanniego.

– Ale tylko w pierwszej klasie – wyjaśniła.

– To nie gra roli – odparł.

– Poproszę państwa o paszporty.

Giovanni pogrzebał w teczce i wyciągnął żądane dokumenty. Urzędniczka nie odkładając słuchawki przejrzała je szybko, zamówiła miejsca i skończyła rozmowę.

– Samolot ma odlecieć punktualnie – powiedziała. – Autobus przyjedzie tu po państwa o wpół do piątej.

Zajrzała do jakiejś innej książki, obliczyła i powiedziała: – Dwa miejsca będą kosztować 917 500 lirów.

Giovanni pochylił się nad teczką stojącą u stóp kontuaru i szybko, ale uważnie wyciągnął z jednej z paczek dziewięćdziesiąt dwa banknoty po dziesięć tysięcy lirów. Spoza jego pleców nie można było dostrzec zawartości teczki. Po chwili znów się wyprostował i położył pieniądze na kontuarze.

W ciągu pięciu minut wypisano bilety. Giovanni obejrzał je starannie. A kiedy zadowolony uniósł wzrok, spostrzegł, że urzędniczka patrzy na jego żałobną opaskę.

– Przepraszam – powiedziała rumieniąc się pod jego pytającym spojrzeniem. – Nie chciałam pana urazić. Zauważyłam, że pańska żałoba jest całkiem świeża. Czy pan leci na pogrzeb?

Skinął głową.

– Zmarły był moim serdecznym przyjacielem.

– Wyrządziłam panu przykrość – urzędniczka była wyraźnie

zasmucona. – Proszę mi wybaczyć.

Giovanni westchnął.

– To był szlachetny człowiek. Bardzo szlachetny – szepnęła. Urzędniczka, nerwowo kręcąc w palcach ołówek, przeniosła wzrok na Mirandę.

– Czy panią też coś łączyło ze zmarłym? – zapytała.

– O tak, jak najbardziej – odparła Miranda. – Dobrze go znałam. Ale przede wszystkim mam towarzyszyć panu Venturi w roli tłumaczki. Wie pani, wykładałam kiedyś w brazylijskiej szkole.

– To chyba bardzo rozsądnie z pana strony – przyznała urzędniczka po krótkim namyśle. – Słyszałam, że w Rio mało jest Włochów, jeżeli się więc ma pieniądze, lepiej zabrać ze sobą tłumacza.

Po wyjściu z biura podróży Miranda i Giovanni powędrowali w dół via Nazionale. Giovanni wstąpił jeszcze do sklepu z tytoniem, gdzie nabył grubą kopertę, arkusik papieru i znaczki. Potem skreślił parę słów do Edoardo: „Natychniast porzuć pracę. Sycylia wspaniale nadaje się na długie wakacje. Ale północna Afryka może być jeszcze lepsza. Postaraj się zarabiać jako cyrkowy atleta. Gdyby ci się to nie udało, znajdź sobie posadę ratownika na jakiejś zagranicznej plaży. I nie zostawiaj swojego adresu. Addio”. Załączył do tej karteczki pięć milionów lirów, starannie zalepił kopertę, umieścił na niej adres restauracji URITI na Zatybrzu oraz nazwisko młodego olbrzyma i wrzucił do narożnej skrzynki.

Następnie spokojnie zjedli obiad i ruszyli na zakupy. Miranda

sprawiła sobie trochę garderoby, a Giovanni jeszcze jedną walizkę. Punktualnie o wpół do piątej byli już w biurze podróży.

Giovanniego zaskoczyło to, że na ich widok urzędniczka natychmiast wyszła zza kontuaru i grzecznie towarzyszyła im do samochodu, w którym mieli już zarezerwowane dwa najlepsze miejsca tuż za kierowcą. Zdziwiony tymi względami spojrzał na dziewczynę.

– Postaraliśmy się również o dobre przyjęcie dla państwa w porcie – powiedziała patrząc na niego ze współczuciem w oczach.

Kierowca zatrzaskał drzwiczki i uruchomił, silnik. Dobrze znane budynki, ulice i pomniki jęły się przesuwać za oknem. Santa Maria Maggiore, kościół świętego Jana, mury Starego Miasta i brudne, zaśmiecone przedmieścia. A potem zielone pola i fragmenty akweduktów rozpiętych nad zalanym słońcem wiejskim krajobrazem,

Giovanni rozmyślał ujawszy Mirandę pod ramię. Tak, wszystko skończyło się jak należy. Ci z URITI zamierzali upokorzyć i zniszczyć trattorię, ale nie udało im się i drogo musieli za to zapłacić. Carlo padł ofiarą własnej chciwości. Edoardo ma zapewnioną przyszłość. Kiedy wreszcie opadnie kurz w piwnicy i policja przekopie się do tunelu, wspaniały sarkofag króla Clusium zostanie odkryty po wielu tysiącach. On zaś, Giovanni, ma teczkę wypchaną pieniędzmi i być może zrobi nawet wspaniałą i porywającą karierę jako restaurator w Nowym Świecie. A Miranda jest u jego boku.

Na lotnisku pierwsi wysiedli z samochodu. Do biura SAS szli,

jakby ich skrzydła niosły.

Kiedy nadeszła ich kolej, okazali paszporty i bilety. Urzędnik siedzący przy biurku, wysoki blondyn, wprawnym okiem zaczął je przeglądać. Gdy odczytał nazwiska, uniósł głowę.

– Ach, signor Venturi. A to pańska tłumaczka. Miałem już telefon w pana sprawie – ostemplował bilety i zwrócił je. Potem szybko powiedział coś po szwedzku do stewardessy w zgrabnym mundurze, która wysłuchała go i skinęła głową.

– Proszę państwa za mną – powiedziała postąpiwszy krok na przód i poprowadziła Mirandę i Giovanniego o jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, do biura, gdzie siedzieli włoscy urzędnicy.

– To jest ten pasażer, o którym panom mówiłam – powiedziała. Urzędnicy przybrali współczujące miny.

– Poproszę państwa o paszporty – rzekł jeden z nich. Giovanni nieco niepewnie podał mu oba. Ostemplowali je szybko i natychmiast zwrócili. Wstali nawet, aby się uklonić odjeżdżającym.

– Zaraz już będzie po wszystkim – rzekła stewardessa prowadząc Giovanniego i Mirandę do komory celnej. – Niech pan będzie dzielny do końca.

Celnicy powitali Giovanniego podejrzliwym spojrzeniem. Jeden wyciągnął rękę po teczkę, drugi zaś przeglądał listę rzeczy objętych zakazem wywozu. Na pierwszym miejscu figurowała włoska waluta.

– To właśnie jest ten pan – oznajmiła stewardessa. Twarz cel-

nika, który trzymał już teczkę Giovanniego, złagodniała. Jego kole-dzy wymruczeli jakieś słowa współczucia. Teczki nawet nie otwo-rzono. Celnik postawił na niej znak żółtą kredą i zwrócił ją Giovan-niemu. Taki sam znak zrobił na walizce Mirandy.

– Powiedziano nam o smutnym celu pańskiej podróży. Pozwoli pan, że mu złożę kondolencje – rzekł.

– To bardzo uprzejmie z pańskiej strony – odparł Giovanni.

Przeszli korytarzem, do poczekalni, w której stały fotele i ka-napki.

– Z pewnością jest pan zmęczony i zdenerwowany – powie-działa stewardessa zwracając się do Giovanniego. – Proszę więc usiąść wygodnie i odpocząć - spojrzała na teczkę i walizki. – Nie powinien pan teraz myśleć o bagażach. Jeżeli pan sobie życzy, przy-się tragarza, żeby się nimi zajął. Przetransportuje je do samolotu.

– Chyba tylko walizkę mojej współtowarzyszki – odparł Giovanni. – Swoje rzeczy wolałbym zachować przy sobie.

– Oczywiście, w czasie długiej podróży chciałby pan zajrzeć do pamiątek po zmarłym przyjacielu – stewardessa ze zrozumieniem pokiwała głową i spojrzała na zegarek. – Do odlotu pozostaje jeszcze pół godziny. Będzie pan mógł trochę odpocząć.

Ujęła go pod ramię, podprowadziła do wygodnego, głębokiego fotela i pomogła mu usiąść. Potem pochyliła się i powiedziała ze współczuciem:

– Biedaku!

Przyjacielsko, jakby dzieląc jego cierpienie, poklepała go jeszcze po ramieniu i szybko odeszła.

Powoli poczekalnia wypełniała się pasażerami. Giovanni dostrzegł, że większość z nich spogląda nań z nie ukrywanym współczuciem. Czuł się tym trochę zmieszany. W rogu poczekalni był bar. Przez chwilę przyglądał mu się z namysłem, aż wreszcie rzekł do Mirandy:

– Chodź, mój skarbie. Napijmy się czegoś.

Mocno ujął teczkę i podeszli do lady. Barman podbiegł natychmiast.

– Słucham pana?

– Dwa Campari – zamówił Giovanni.

Gdy nalewano napoje, myślał o tym, ile to razy pił taki sam aperitif ze swoim wielkim przyjacielem i niezapomnianym sąsiadem. A później uśmiechnąwszy się do Mirandy trącił się z nią kieliszkiem.

– Wznieśmy toast – powiedział.

– Wznieśmy wiele toastów – odpowiedziała. Oczy jej błyszczały radośnie. – Wznieśmy jeszcze wiele toastów i spędźmy razem wiele szczęśliwych lat.

Giovanni unióś kieliszek.

– Za zdrowie profesora, który wyłożył księgarzowi prawo Breachy'ego.

Miranda uśmiechnęła się i też uniosła kieliszek.

– Na cześć życia! – powiedziała.

Głośnik zacharczał: miał zaraz oznajmić odlot samolotu. Szmer podniecenia przeleciał przez salę; pasażerowie ożywili się. Giovanni podniósł teczkę z podłogi, a Miranda ujęła go pod ramię. Ruszyli naprzód i wraz ze wszystkimi wynurzyli się z poczekalni zmierzając ku szeroko otwartej bramie.